

Świat, który przeżył Buchenwald i Katyń – niczego już nie czuje. Może ktoś znów nakazać współczucie, przepisać żałobę, zapłakać po umarłych. To wielka najwyższa sprawa. Jeśli się to nie stanie – to znaczy, że bolszewizm już podeptał to, co było podstawą chrześcijańskiego czucia, i już jego piąta kolumna jest w naszych duszach.

Jan Lechoń

SPIS TREŚCI

‘ABY ŻYJĄCYM DAĆ ŁASKĘ NAWRÓCENIA’	2
AKTUALNOŚCI	
XVI Zjazd Kresowiaków na Jasnej Górze	9
Finał I edycji konkursu „Czar Polesia”	11
Krok ku przyszłości	13
Żegnaj Szkoło!	14
Letnia Szkoła Języka i Kultury Polskiej w Brześciu	15
Klub Inteligencji Katolickiej zaprasza	16
Helena Kaczan, Na Kobryńskiej Ziemi „Kukułeczka” kuka	17
Ryszard Boś, Potomkowie rycerzy...	18
Jarosław Książek, POLESIE	19
HISTORIA NASZYCH MAŁYCH OJCZYZN - KOBRYŃ	
Bohdan Miłaczewski, Zarys dziejów Ziemi Kobryńskiej...	27
Kobryniacy (37). Bitwy o Kobryń (39)	
LEKTURA DLA CIEBIE	
Helena Pietura-Szpak, Ze wspomnień Kobrynianki	45
HISTORIA	
Piotr Boroń, Rok 2010 rocznic bitew polskich	53
Z PRASY POLONIJNEJ	
Nieznani polscy bohaterzy	54
FORUM CZYTELNIKÓW	
Wiesław Gołębiowski, Apel o poparcie dla projektu nowej ustawy o repatriacji Polaków ze Wschodu	57
Zbigniew Drela, Mistrzowie polityki odgławiania	60
Aleksy Dubrowski, Niewypłakane łzy	62
Ludmiła Romanowicz, Len na Polesiu	64
PODRÓŻE	
Józef Adamski, Szlakiem Romualda Traugutta po Polesiu	67
Jarosław Książek, Do zobaczenia!	69

‘ECHA POLESIA’

*Kwartalnik Zjednoczenia
Społecznego „Związek
Polaków na Białorusi”*

Założyciel:

ODDZIAŁ BRZESKI
ZS „Związek Polaków
na Białorusi”

Adres Redakcji:

Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:

Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
współudziale Senatu RP,
Fundacji „Pomoc Polakom
na Wschodzie” i Fundacji
Pomocy Szkołom Polskim
na Wschodzie im. T. Goniewicza
oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:

Fundacja im. T. Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 747-6163
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@gmail.com.pl

Okładka s. I

– foto J. Szymańczyk

Skład i łamanie:

Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne
POLIHYMNIA

„ABY ŻYJĄCYM DAĆ ŁASKĘ NAWRÓCENIA...”



Przeżycie tej beatyfikacji mówi, że dopóki są tacy ludzie jak ks. Popiełuszko, to Polska jest jeszcze Polską, a Kościół Kościołem. To jest dar Opatrzności, która wyszła naprzeciw ludzkim oczekiwaniom.

Abp Józef Michalik

W słoneczny poranek 6 czerwca 2010 roku przybyliśmy na Plac Piłsudskiego w Warszawie, zjednoczeni z setkami tysięcy naszych Rodaków tam na placu i z dziesiątkami milionów na całym świecie. Przyjechaliśmy z Białorusi, by pokłonić się Kapłanowi-Męczennikowi Jerzemu Popiełuszce, by wyrazić swoją wdzięczność, by oddać hołd. To był wielki dzień dla Polski, dla naszego Kościoła. Na naszych oczach dzieje się Historia.

Znamienne były słowa homilii: „Był świadomy, że zło dyktatury miało swoje źródło w szatanie, dlatego zachęcał, aby zło zwyciężać dobrem i łaską Bożą”. Abp Amato wymienił ideologię marksistowską jako zło i system oparty na kłamstwie, nieuznający wartości ewangelicznych, których bronił ks. Jerzy. „Był wytrwałym oraz niestrudżonym świadkiem Chrystusa: zło dobrem zwyciężył aż do przelania krwi” – te słowa z listu Papieża Benedykta XVI odczytał abp Angelo Amato.

Abp Kazimierz Nycz zwrócił się do uczestniczącej w uroczystościach Jego Matki Marianny Popiełuszki: „Kochana Mamo Księdza Jerzego, dziękujemy za syna, kapłana i męczennika”. Uczestnicy Mszy św. powstałi z miejsc i nagrodzili Matkę Kapłana-Męczennika długą owacją. *„Niech ta beatyfikacja zaowocuje zjednoczeniem wszystkich Polaków wokół tych spraw i wartości, za które ksiądz Jerzy poniósł męczeńską śmierć”* – mówił abp Kazimierz Nycz. Podczas Mszy św. beatyfikacyjnej Księdza Jerzego modlono się m.in. za

sprawców Jego śmierci, „aby zmarłym Bóg okazał swoje miłosierdzie, a żyjącym dał łaskę nawrócenia”.

Uroczystości beatyfikacyjne zakończyła procesja z relikwiarzem oraz wniesienie relikwii Błogosławionego Męczennika do Świątyni Opatrzności Bożej w warszawskim Wilanowie.

Beatyfikacja ks. Jerzego – to wielki gest sprawiedliwości, zwycięstwo prawdy. Ta beatyfikacja ma swoją wielką wymowę w naszej rzeczywistości, w Polsce początku XXI wieku, zniewolonej kłamstwem i półprawdami, konsumpcjonizmem i prymitywnym liberalizmem moralnym, gdzie wszystko wolno.

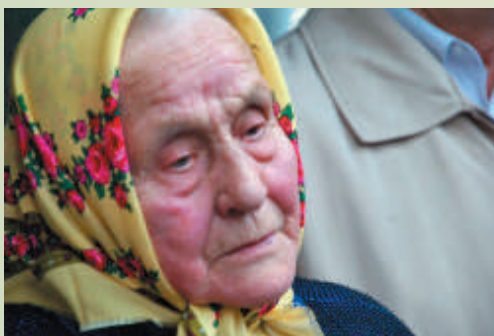
Drogi księżu Jerzy! Byłbyś przerażony tą Polską dzisiejszą. Po tylu walkach, po tylu ofiarach nie ma prawdziwej wolności kraju i jednostki. Nie ma Polski wolnej i niezależnej. Ale jest tyle Polski zbydlęconej. I znowu - tyle Polski ukrzyżowanej. Realizacja wyższych wartości uchodzi dziś w Polsce za naiwną utopię. System wartości szeroko się załamuje. I znowu usuwają krzyże, tym razem Krzyż Smoleński, ten żywy znak, który pozwala naszym umarłym wielkim Rodakom żyć między nami. Ty wszystko widzisz, Drogi Księżu Jerzy, jesteś sumieniem Narodu, uczyni by Polska się opamiętała, by poszła właściwą drogą. „Nie zabijajcie Polski!”- niech Polacy usłyszą ten głos Marianny Popiełuszki, która jest żywym testamentem błogosławionego syna Jurka. O tym myślały polskie nauczycielki z Białorusi na placu Piłsudskiego w Warszawie.

Nowy rok szkolny w naszej Polskiej Szkole Społecznej im. J. Domyki rozpoczniemy od lekcji o ks. Jerzym Popiełuszcze. O jego drodze do świętości, jakim był w dzieciństwie i w młodości.

Urodził się w małej wsi Okopy, która leży 5 km od Suchowoli, miasteczka przy drodze z Białegostoku. 14 września 1947 r. w rodzinie Marianny i Władysława Popiełuszków, skromnych i pracowitych rolników.

Świadectwo matki Marianny Popiełuszek:

„Jako dziecko modlił się w domu razem ze wszystkimi. Modlitwa u nas była wspólna. W środę zbieraliśmy się razem w kuchni i modliliśmy się przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, w piątek do Serca Pana Jezusa, a w sobotę do Matki Boskiej Częstochowskiej. Tak było zawsze. Pierwsze wskazówki i pierwsze seminaria miał to on w domu. A co było w nim dobrego, to Boża łaska. Ale widziałam, że on sam siebie pilnował. Pan Jezus był dla niego ważny. Dlatego już od małego stawiał ołtarzyki na stole. Układał obrazki, robił kapliczki, przynosił kwiatki, nawet przebierał się, by wyglądać jak ksiądz. Pamiętam też, że jak został ministrantem, to miał komżę, ale krótką. A on koniecznie chciał mieć długą! Tymi sprawami po prostu żył. I to w każdy czas. Nieważne, jaka była pora roku, czy był deszcz czy mróz. Codziennie wstawał o piątej i cztery kilometry szedł przez las do kościoła – z Okopów do Suchowoli na Mszę św., kiedy był ministrantem. I nigdy nie narzekał, że jest zmęczony. W ogóle na nic nie narzekał. Takie to było dziecko”.



Mama Jerzego Marianna bała się wilków. Zimowymi świtami podchodziły blisko ludzkich zabudowań. Prosiła syna, żeby nosił ze sobą dwa kamienie. Ponoć wilki bały się ich dźwięku.

Od początku staramy się ogrodzić swoje dzieci od wszystkich trudów, niewygód, staramy się spełnić życzenia i marzenia naszych pociech. Co z tego często wychodzi w przyszłości – hodujemy kapryśnych, egoistycznych ludzi, którzy potrafią tylko brać, nie umieją współczuć... Pamiętajmy „Szkolę” Pani Marianny Popiełuszek, mądrej i kochającej mamy ks. Jerzego.

„Był dobrym chłopcem. Nie musiałam na niego krzyczeć. Jak coś do niego powiedziałam, to zawsze usłuchał. Już od początku można było po nim wszystko zauważyć. Na przykład, że lubił ludzi. Ciągnęło go do ludzi. Z każdym chciał porozmawiać. Żyła koło nas pewna staruszka, która codziennie sama pała krowy.



Kościół parafialny w Suchowoli,
tu służył do Mszy ks. Jerzy

Często do niej podchodził, lubił z nią rozmawiać. Nawet jak już był w seminarium i przyjeżdżał w wakacje do domu – za każdym razem szedł i rozmawiał z nią. Zawsze zresztą powtarzałam mu: „Kochaj ludzi, kochaj Boga, to do nieba prosta droga...”.

Gdy przygotowywał się do I Komunii św., to można było u niego zauważyć chęć do nauki, cierpliwość. Był wytrwały. I pracowity. Ksiądz proboszcz powiedział mi kiedyś: „Matko, z tego chłopca może wyrosnąć najlepszy, może też wyrosnąć najgorszy; wszystko zależy od was, od waszego wychowania”. Starałam się dobrze go wychować. Bez kłamstwa. On wiedział, że u nas w domu nigdy kłamstwa nie było. I że nie wolno podnieść gruszki leżącej na drodze, bo to cudze”.

Wychowywany bez kłamstwa. Rodzice byli sami przykładem życia bez kłamstwa, bez udawania. Byli szczerzy i kochający. Pracowici i pomagający. Byli dla syna, dla dzieci autorytetami. Rodzina i Kościół były jego światem, nauczycielami dobra i prawdy. Ale i szkoła! W liceum w Suchowoli uczyły wybitne autorytety – absolwenci Uniwersytetu Wileńskiego. Z tej szkoły wyszło w świat aż 100 księży!

Dom Popiełuszków w Okopach

Świadectwo Marianny Popiełuszko:

„Przez lata prosiłam o to Boga. Modliłam się, by być matką kapłana. I już wtedy, gdy nosiłam go w swym łonie, ofiarowałam go Bogu. Ale czy dlatego został księdzem? Czy mnie Pan Bóg wysłuchał, czy kogo innego, sam Bóg to wie...”

Po prostu po balu maturalnym pojechał do Warszawy i złożył dokumenty do seminarium. Nie bał się, chociaż pojechał sam, pierwszy raz w życiu pociągami, a drogi nie znał. Nigdzie poza Suchowolą nie był. Ale jakoś trafił.

Warszawskie Seminarium wybrał chyba, dlatego, że blisko stolicy Niepokalanów. A on miał sentyment do tego miejsca. Może dlatego, że jako dziecko u babci w Grodzisku znalazł wiele numerów „Rycerza Niepokalanego”. Złożył je w stosik i ciągle przeglądał. Chciał wtedy koniecznie jechać do Niepokalanowa. Potem chciał zszyć te numery „Rycerza”, aby była z tego całość. Później zauważyłam też, że zaczął nosić pasek św. Franciszka. Mówił też dużo o o. Maksymilianie Kolbie, który żył w Niepokalanowie. To był dla niego wzór. Pamiętam, kiedy przyjeżdżał do domu z seminarium na ferie albo wakacje, przywoził obrazki ze św. Maksymilianem, a także przeźrocza. Wyświetlał je ludziom z całej wioski, którzy wtedy zbierali się u nas w domu. Opowiadał o życiu św. Maksymiliana i przejmował się bardzo jego aresztowaniem, pobytem w obozie i męczeńską śmiercią. Był bardzo wrażliwy.

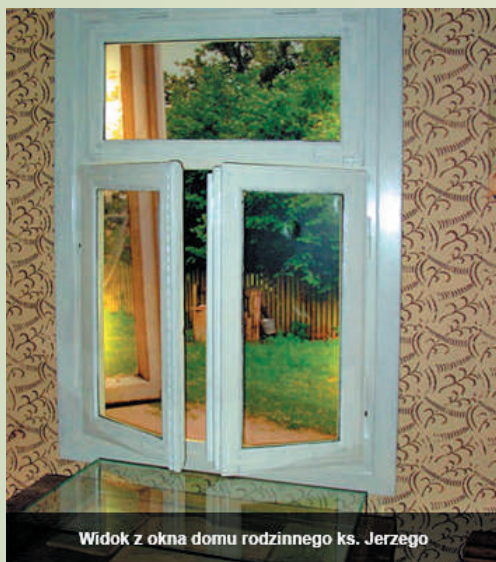
Cieszyłam się, kiedy został księdzem i stale modliłam się, aby był wierny Bogu, bo to jest w życiu najważniejsze.

Najczęściej już tylko na ferie i wakacje. Ale pomagał nam trochę przy żniwach



i przy budowie stodoły. Był jednak słabejgo zdrowia. Zwłaszcza po wojsku, jak musiał się poddać operacji tarczycy. W wojsku zniszczono mu zdrowie. Dużo tam przeszedł, ale nigdy o tym nie opowiadał, nie żalił się nam. Taki już był. Dopiero po jego śmierci koledzy z wojska opowiadali mi, co tam się działo, jak na przykład boso stał na śniegu i nie chciał oddać różańca.

Potem już przyjeżdżał coraz rzadziej. Powiedział mi kiedyś już jako kapłan: „Miełście Matko wiele dzieci i dobrze ich pilnowaliście. Ale ja mam więcej dzieci. I przyjdzie mi przed Bogiem rachunek zdać z ich pilnowania...”. A kiedy był w domu ostatni raz przed śmiercią, zostawił mi do zaszcucia sutannę. I nie wiem, dlaczego, powiedział: „Odbiorę następnym razem. Albo najwyżej będzie Mama miała na pamiątkę”. I trzymam ją na pamiątkę do dziś.”



Widok z okna domu rodzinnego ks. Jerzego

Diakon Popiełuszko przyjął święcenia kapłańskie 28 maja 1972 r. z rąk kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ksiądz Jerzy był zawsze skupiony, przeżywał każdą Mszę św., był niezwykle uduchowiony. Było w nim tyle spokoju, dobroci i łagodności. 20 maja 1980 r. został skierowany do parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

„Po wybuchu stanu wojennego szybko rozpoczęły się liczne aresztowania, represje i procesy sądowe. Ks. Popiełuszko wiele czasu spędzał na



Szkoła w Suchowoli

sali rozpraw sądowych, co było wyrazem solidarności z rodziną oskarżonego. Podczas odczytywania aktu oskarżenia Ksiądz Jerzy jako pierwszy patrzył internowanym w oczy, podtrzymując ich w ten sposób na duchu i modląc się za nich,

Pierwszą Mszę św. za Polskę i Polaków ks. Popiełuszko odprawił 17 stycznia 1982 r. Na niej zgromadzili się wierni reprezentujący całą Ojczyznę w ogromnej liczbie, aby w ten sposób wyrazić więź z prześladowanymi robotnikami, dezaprobatę dla panującego reżimu komunistycznego i łączność z Kościołem, który jako jedyny bronił godności człowieka”.

Msze św. za Ojczyznę stały się niezwykle popularne, przyjeżdżało bardzo wielu ludzi z całej Polski. Najczęściej sprawowane były w kościele, czasami jednak liczba osób pragnących uczestniczyć w liturgii była tak duża, że odprawiano ją na balkonie, na zewnątrz



kościół – ludzie stali dookoła i na placu przed kościołem. Te Msze św. miały ogromne znaczenie społeczne szczególnie pod koniec życia Księdza Jerzego – stały się najślawniejszymi Mszami za Ojczyznę w Polsce.

Ksiądz Jerzy nie lękał się mówić prawdy, która jako jedyna wyzwalała, toteż wiernie i wytrwale ją głosił, choć dla wielu była niewygodna i trudna do przyjęcia. Przestrzegał, „że należy lękać się jednego – zdrady Chrystusa za kilka srebrników jałowego spokoju”.

W jego kazaniach nie było żadnych akcentów politycznych, chociaż wtedy takie zarzuty oficjalnie przedkładały mu organy władzy ludowej. Ksiądz Jerzy był człowiekiem głębokiego pojednania, nigdy nie wzywał do buntu czy też zamieszek.

Od 1980 r. ks. Popiełuszko stał się celem silnych ataków ze strony władz komunistycznych. Był śledzony, podsłuchiwany i szantażowany. W grudniu 1982 r. ktoś wrzucił do jego pokoju cegłę z materiałem wybuchowym. Prokuratura znalazła okazję, aby fałszywie oskarżyć sługę Bożego o to, że w kazaniach nadużywał prawa wolności sumienia i wyznania oraz że zniesławia władze państwowe politycznymi treściami. Celowo urządzono lub wymyślano prowokacje, aby skompromitować księdza katolickiego.

W czasie stanu wojennego wziął opłatek i poszedł do pilnujących go żołnierzy, rozstawionych dookoła kościoła, by się z nimi podzielić.

19 października 1984 r. ks. Jerzy Popiełuszko udał się do kościoła Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy. Tam celebrował Mszę św. i prowadził nabożeństwo, które zakończył znaczącymi słowami: „Módlmy się, abyśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzy odwetu i przemocy”.

Nie wiedzieliśmy, że w kościele są już mordercy. Że zabójstwo jest zaplanowane – wspomina ks. Biniak.

Ks. Popiełuszko czuł się tego wieczoru źle, miał gorączkę, był zmęczony. Proboszcz Biniak prosił, żeby został. Ksiądz Jerzy nie zgodził się. Założył sutannę, zapiał ją po samą szyję i poprosił swego kierowcę, by już jechali. Noc była piękna, jesienna. Wyjechali po 22 – wspomina ks. Biniak.

Samochód, którym wyruszył Ksiądz Jerzy w drogę powrotną z Bydgoszczy do Warszawy, został zatrzymany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, przebranych w mundury milicji drogowej. Jego kierowcę – Waldemara Chrostowskiego skuto kajdankami; podczas jazdy udało mu się uciec z samochodu. Księdza Jerzego oprawcy związali i zamknęli w bagażniku, a potem zakatowali i wrzucili do Wisły z tamy pod Włocławkiem. Informacje o zaginięciu i porwaniu Księdza Jerzego rozchodziły się ekspresowo. Władze potwierdziły to wieczorem. Wierni zaczęli gromadzić się w kościele św. Stanisława Kostki na modlitwie w intencji jego uratowania. Dopiero 30 października ok. godz. 20 ogłoszono, że odnaleziono ciało ks. Popiełuszki.

Ks. Popiełuszkę pochowano 3 listopada przy kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie. W pogrzebie wzięło udział ok. 800 tys. wiernych oraz blisko tysiąc księży. Po pogrzebie ustawiały się kilkukilometrowe kolejki wiernych do grobu Męczennika.

Jego kult był oddolny i spontaniczny. O świętości ks. Jerzego byli przekonani niemal wszyscy, którzy go bliżej znali.

Papież był bardzo poruszony morderstwem Księdza Jerzego i porównywał je do wielkich męczeństw Józefa Kuncewicza, Andrzeja Boboli. Już wtedy mówił, że Ksiądz Jerzy to wielki męczennik Kościoła naszych czasów.



- Nie da się wykreślić z powojennej historii Kościoła w Polsce roli prostego księdza, wiernego polskiemu ludowi, oraz roli samego ludu, do którego należy decydowanie o ukierunkowaniu państwa, co we wszystkich dorastających do demokracji państwach trzeba szanować – abp Józef Michalik.

Ale czekamy, Polacy w Polsce, na Białorusi i na świecie, naprawdę o księżach: Sylwestrze Zychu (1950-1989), Stefanie Niedzielaku (1914-1989), Stanisławie Suchowolcu (1958-1989). O księżach polskich wymordowanych przez UPA na Ukrainie. O księżach na Wschodzie, wymordowanych przez reżim komunistyczny. Może wyproszą oni nawrócenie ludziom przewrotnego sumienia, bo żeby nawrócić takiego człowieka, trzeba modlitwy i ofiary ludzi świętych.

„Trzeba przypominać i przestrzegać przed ideologiami kłamstwa, bo zawsze rodzą zło, nieszczęście, śmierć. Przecież zachodni (ani wschodni) marksiści nigdy nie przeprosili za komunizm, który w jednym tygodniu mordował więcej ludzi, niż całe lata wojen historycznych” – abp Józef Michalik.

Zleceniodawcy zabójstwa Ks. Jerzego Popiełuszki, innych księży nie byli ukarani, są znani każdemu, oni i ich rodziny mają życie dostatnie. Ciężko zrozumieć pełne bólu, ale i chrześcijańskiej mądrości słowa Marianny Popiełuszko:

„No tak, ale oni uderzyli nie w Popiełuszkę, ale w sutannę. Uderzyli w Kościół. Dla mnie jego śmierć to kamień na całe życie. Co tu mówić, to taka wielka boleść. Odnawia się stara rana, a ta rana zawsze jest i będzie, bo kto może coś takiego zapomnieć.

Ale nikogo nie osądzam, śmierci niczyjej nie żądam. Pan Bóg sam kiedyś osądzi. Ile trzeba, tyle mordercy będą musieli odpokutować. Niech im Pan Jezus daruje. Najbardziej bym się cieszyła, żeby się oni nawrócili”.

* * *

„Aby zwyciężać zło dobrem, trzeba troszczyć się o cnotę męstwa. Cnota męstwa jest przewyciężeniem ludzkiej słabości, zwłaszcza lęku i strachu. Chrześcijanin musi pamiętać, że bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju. Chrześcijaninowi nie może wystarczyć tylko samo potępienie zła, kłamstwa, tchórzostwa, zniewolenia, nienawiści, przemocy, ale sam musi być prawdziwym świadkiem, rzecznikiem i obrońcą sprawiedliwości, dobra, prawdy, wolności i miłości. O te wartości musi upominać się odważnie dla siebie i innych. Prawdziwie roztropnym i sprawiedliwym – mówił Ojciec Święty – może być tylko człowiek mężny”.

Polacy „liberalni” dziś codziennie sprzedają swoje sumienie, naszą Polskę „za parę srebrników jałowego spokoju” – przez kultywowanie poprawności politycznej, poprzez konsumpcjonizm i tępe spożywanie papki twnowskiej. Ta Polska „liberalna” zdradziła także ks. Jerzego przez to, że nie ukarała nikogo ze zleceniodawców tego morderstwa, ogłaszając ostatnio wielkim autorytetem generała Jaruzelskiego. Nie ujawnia i nie karze winowajców innych morderstw politycznych. Sprawcy tych morderstw i ich rodziny są bogaci i wpływowi, czują się bezpiecznie i komfortowo. Rodziny ofiar są biedne, żyją skromnie i sumiennie, doświadczają wielkiej niesprawiedliwości i hipokryzji władzy. Widzą, jak władza i część społeczeństwa polskiego nie chcą znać prawdy o morderstwie ks. Jerzego ani o tajemnicy Tragedii Smoleńskiej, bo to narusza ich komfort i wygodne życie. Ks. Jerzy gdyby żył, zupełnie by nie pasował do tej obecnej Polski liberalnej, do palikotyzmu społecznego, jak nie pasował do niej nasz śp. Prezydent Lech Kaczyński, który był gotów zginąć za to, w co wierzył. „Biada społeczeństwu – wołał Prymas Tysiąc-

Nielegalne kwiaty

Wiele polskich kwiatów rozkwitało już, pod Cassino maków, pąków białych róż, kwiatów, co czerwieniejsze były niżli krew, w wierszu i piosence, i w okopów mgle...

Ale takie kwiaty, jakie kwitną tu, na warszawskim placu, to prawdziwy cud. Szpicle i armaty stoją przeciw nim, palki, automaty, tresowane psy.

Nielegalne kwiaty, zakazany krzyż, co dnia rozkwitają z betonowych płyt. Ludzie je składają, wierni sercom swym, co w nadziei trwają przeciw mocom złym.

To najdroższe kwiaty, jakie widział świat. Można za nie płacić w celi parę lat, można stracić zęby za goździki trzy, liczyć krwawe pręgi, długo łykać łzy...

Takich drogich kwiatów co dzień świeży stos niosą warszawiacy kiedy mija noc. Ciemna noc dla tamtych, dla nas jasny dzień. Z nami słońce prawdy, z nimi zdrady cień.

Niepodległe kwiaty, niezniszczalny krzyż. Huczą gabinety i imperium drży. Szydzi z generałów, nie lęka się wojska nielegalny naród, zakazana POLSKA.

Jan Pietrzak

lecia – którego obywatele nie rządzą się męstwem”. Męstwa brakuje dziś Polsce, jej obywatelom, męstwa bycia wolnym od poprawności politycznej, męstwa bycia wiernym wartościom, bycia patriotą, męstwa nie być „rusofilem”, nie być „trendy”, męstwa być sumiennym i uczciwym człowiekiem i o Polskę dbać jak o matkę. O tym rozmawiały zwykłe polskie nauczycielki z Białorusi, wracając z uroczystości beatyfikacyjnych z Warszawy.

Jakże dziś aktualnie brzmią dla nas słowa ks. Jerzego z kazania ze stycznia 1984 r. sq, mottem Polaka: „Kariera każdego człowieka na ziemi zaczyna się w pieluszcze, choćby dziś nosił mundur ambasadora czy generała, i w pieluszcze, może nieco większej się skończy.” Dlatego nie wystarczy urodzić się człowiekiem. Zachować godność – to być sobą w każdej sytuacji życiowej, to stać przy prawdzie, choćby ona miała nas wiele kosztować. Bo prawda wypowiedana w słowie kosztuje. Tylko za plewy się nie płaci. Za pszeniczne ziarno prawdy trzeba zapłacić. Każda rzecz, każda sprawa wielka, musi kosztować i musi być trudna. Tylko rzeczy małe i liche są łatwe (...) Kłamstwo poniża ludzką godność i zawsze

było cechą niewolników, cechą ludzi małych.

Zachowanie godności to życie zgodne z sumieniem. To budzenie i kształtowanie w sobie sumienia prawego. To dbanie o sumienie narodowe. Bo wiemy, że gdy sumienie narodowe zawodziło, dochodziło do wielkich nieszczęść w naszej historii. Gdy sumienie narodowe zaczynało się budzić, ożywiać się poczuciem odpowiedzialności za dom ojczysty, wtedy następowało odrodzenie Narodu. Tak było podczas powstania styczniowego, tak było i w czasie Solidarności. „Polacy – tu znowu zacytuję zmarłego Prymasa – mają wyrobione sumienie narodowe, umieją walczyć o ład swojej Ojczyzny, o obywatelskość, o pokój Boży i o możliwość korzystania z wolności, która się nam wszystkim należy”. Musimy w sobie tę umiejętność walki pielęgnować, jeżeli chcemy pozostać Narodem, który choć z krzyżem na ramionach, ale z godnością kroczy ku zmartwychwstaniu (...)

W każdym człowieku jest ślad Boga. Zobacz, bracie, czy nie zamazałeś go zbyt mocno. Bez względu na to, jaki pełnisz zawód, jesteś człowiekiem. Aż człowiekiem”.

Opr. Red.

Modlitwa za wstawiennictwem błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki

Boże, nieskończenie dobry, który obdarzyłeś błogosławionego księdza Jerzego Popiełuskę, łaską wierności kapłańskiemu powołaniu aż do męczeńskiej śmierci, prosimy Cię słowami Papieża, Jana Pawła II, „aby z tej śmierci wyrosło dobro, tak jak z Krzyża Zmartwychwstanie”.

Miłosierny Boże, udziel mi, za wstawiennictwem błogosławionego ks. Jerzego, tej łaski, o którą Cię gorąco proszę. Niech ofiara życia ks. Jerzego i Jego wstawiennictwo u Ciebie, Boże, przyczyniają się do wzrostu chrześcijańskiej wiary, jedności i pokoju w świecie. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Ojcze nasz...



XVI ZJAZD KRESOWIAN NA JASNEJ GÓRZE

Dawni mieszkańcy Kresów Wschodnich II RP i ich rodziny przybyli w niedzielę z 16. pielgrzymką tego środowiska na Jasną Górę. Kresowianie apelują, by do opinii publicznej dotarła prawda historyczna o ich losach oraz popełnionych na Kresach zbrodniach.

Uczestnicy XVI Zjazdu Kresowian wysłuchali Mszy św. w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej odprawionej przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego w intencji Ojczyzny, ofiar Katynia 1940, Katynia 2010, poległych i pomordowanych na Wschodzie, o jedność w narodzie i błogosławieństwo dla Kresowian i Dobroczyńców w kraju i poza jego granicami. Homilię jak każdego roku wygłosił duszpasterz Ormian w Polsce ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

„Jeżeli mówimy dzisiaj o tych trudnych sprawach, to nie po to, żeby jątrzyć i rozdzierać rany, ale właśnie po to, żeby te rany się zagoiły – ale na prawdzie, na uszanowaniu mogił, na postawieniu krzyży, na pamięci” – mówił w homilii ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Ksiądz podkreślił, że mieszkańcy Kresów nigdy nie szczędzili krwi dla ojczyzny - ginęli w powstaniach, w okresie walk o niepodległość i w okresie II wojny światowej - w Katyniu, na Syberii, w Kazachstanie, w więzieniach NKWD, a także - jak mówił - «z rąk okrutnych nacjonalistów ukraińskich».

Ks. Isakowicz-Zaleski wspominał niedzielę 11 lipca 1943 r., kiedy rozpoczęto ludobójstwo na Wołyniu. Ukraińscy nacjonaści wymordowali wówczas Polaków idących do kościołów i uczestniczących w mszach.

«Napadano na kościoły, w których znajdowali się ludzie na mszach świętych; kościoły podpalano (najczęściej były one drewniane), a ludzi tam zgromadzonych mordowano siekierami. Straszliwy los dotknął także księży (...), wielu z nich zostało zarąbanych siekierami czy zakłutych bagnetami przy stopniach ołtarzy (...). To są autentyczni męczennicy» – podkreślił duszpasterz.

«Niestety, Kościół w Polsce z różnych powodów nie chce rozpocząć procesów beatyfikacyjnych tych osób. Ale wierzymy głęboko, że wcześniej czy później prawda o tych przemilczanych i niechcianych męczennikach trafi także do wszystkich podręczników szkolnych» - dodał ksiądz.

Wskazał, że akty ludobójstwa miały także miejsce na Podolu, Polesiu, ziemi lwowskiej, tarnopolskiej, stanisławowskiej, przemyskiej, rzeszowskiej, zamojskiej czy chełmskiej. Jak mówił, wielu pomordowanych wciąż nie ma nawet grobu.

«Jeżeli o coś upominamy się tutaj, na Jasnej Górze, to właśnie o to, żeby krzyże stanęły na miejscach tych zbiorowych mogił ludzi, którzy ginęli tylko dlatego, że byli Polakami i katolikami; oni mają prawo do chrześcijańskiego pochówku, a władze mają obowiązek o to się zatroszczyć» - podkreślił Isakowicz-Zaleski.

Ks. Isakowicz-Zaleski przytoczył opinię brytyjskiego historyka, wskazując, że „jeszcze nikt nigdy w historii nie zbudował pojednania i przebaczenia na kłamstwie czy na przemilczeniu”. Przypomniał też zapisaną w pamiętniku przez swojego ojca myśl, iż „Kresowian zabito dwukrotnie - raz przez ciosy siekierą, drugi raz przez przemilczenie. A ta śmierć przez przemilczenie jest jeszcze bardziej okrutna od śmierci fizycznej” - mówił.



W swojej homilii ksiądz wspominał istotne wydarzenia z historii Kresów. Podkreślił, że u podstaw ich funkcjonowania była idea Jagiellonów, „że każdy obywatel Rzeczypospolitej, niezależnie od swego wyznania i narodowości, ma te same prawa”. Przypomniat, że na Kresach żyło prawie 20 narodowości - Polaków, Rusinów, Żydów, Ormian, Niemców, Tatarów, Karaimów, Litwinów, Łotyszy i bardzo wielu innych. „Narody te żyły na tej samej ziemi, ale w zgodzie i wzajemnej tolerancji” - powiedział.

Według księdza, przyjazd Kresowian do Polski w nowych granicach po II wojnie światowej nie był repatriacją, czyli powrotem do ojczyzny, ale ekspatriacją - wypędzeniem z ojczyzny. Wielu ludzi cierpiało potem, kiedy w ich dowodach osobistych jako miejsce urodzenia wpisano: Związek Radziecki.

„Nie wolno było w ogóle mówić o Kresach - i o tych rzeczach pozytywnych i o tych rzeczach tragicznych. Również niestety po 1989 r., ze względu na tzw. poprawność polityczną, nie można do końca powiedzieć prawdy, czym były i są nadal Kresy” - uważa Isakowicz-Zaleski.

Sprawy historyczne oraz współczesne problemy środowiska Kresowian i Polaków żyjących na tych terenach zdominowały tematykę towarzyszącego pielgrzymce forum kresowego i Światowego Zjazdu Kresowian.

„Priorytetem są niezwykle trudne sprawy, z jakimi borykają się Polacy za naszą wschodnią granicą, m.in.



Kresowianie w Sali Papieskiej na Jasnej Górze

dyskryminacja polskiego szkolnictwa, sprawa własności polskiej na Litwie oraz języka, w tym pisowni nazw polskich; dyskryminacja Polaków na Białorusi i Ukrainie Zachodniej, gdzie zakłamuje się historię, szczególnie tę dotyczącą II wojny światowej” - powiedział prezes Światowego Kongresu Kresowian i współorganizator zjazdu, Jan Skalski.

„Chcemy poruszyć niezłatwione do tej pory sprawy upamiętnienia miejsc kaźni naszych rodaków na Kresach i należytego miejsca dla tych tematów w naszych mediach i programach szkolnych; także problem postępującej ukrainizacji kościoła rzymskokatolickiego i sprawę powołania Muzeum Kresów” - dodał Skalski.

Msza, której przewodniczył ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, (duszpasterz Ormian, historyk, autor książki „Przemilczane ludobójstwo na Kresach”) została odprawiona w intencji ojczyzny, ofiar katastrofy smoleńskiej i mordu katyńskiego, poległych i pomordowanych na Wschodzie, a także z prośbą o jedność w narodzie i błogosławieństwo dla Kresowian.

Po raz pierwszy w spotkaniu na Jasnej Górze uczestniczyli przedstawiciele Europejskiej Unii Narodów Wysiedlonych i Wypędzonych z siedzibą w Trieście, której członkiem został w maju Związek Wypędzonych z Kresów Wschodnich - jedna z organizacji należących do Światowego Kongresu Kresowian. Brała udział w XVI Zjeździe Kresowian i redakcja „Ech Polesia”, reprezentując Polaków na Białorusi.

Red.



Stoisko z wydawnictwami 'Ech Polesia'

Finał konkursu

„Czar Polesia”

W dniach 21-23 czerwca w Brześciu odbył się finał I edycji konkursu „Czar Polesia”. Celem konkursu było ukazanie piękna Ziemi Poleskiej, utrwalonego w literaturze lub własnoręcznie wykonanych fotografiach czy też pracach plastycznych. W konkursie wzięło udział 231 dzieci i młodzieży z Brześcia, Kobrynia, Pińska, rejonu brzeskiego. Współorganizatorami i fundatorami nagród konkursu były Senat RP, Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie,” Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, fabryka cukiernicza „Solidarność” w Lublinie.

Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali nagrody książkowe i słodcze, a zwycięzcy – kamery, aparaty fotograficzne, MP3 i MP4, magnetofony, plecaki. W konkursie recytatorskim w starszej grupie wiekowej I nagrodę otrzymał Taras Krasienkow, II nagrody

– Wiktoria Stepańczuk i Daria Szewczuk, III – Alicja Druż i Elina Burcewa. W młodszej grupie recytatorzy I nagrodę otrzymała Maria Prużanec, II – Małgorzata Siech, III – Jana Szewczuk. W konkursie fotograficznym Grand Prix – kamerę cyfrową, dostała Drużyna harcerska im. Ryszarda Snarskiego za pracę zbiorową – film o działalności Związku Obrońców Wolności na Polesiu. I miejsce – Jana Szewczuk, II – Daria Szewczuk i Anna Klimowiec, III – Stanisława Jurkiewicz i Karina Pucykowicz. W konkursie plastycznym Grand Prix otrzymała praca zbiorowa Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki o historii rodu Tołłoczaków na Polesiu, inne główne nagrody dostali młodzi utalentowani plastycy - Anna Buziuma, Wiktoria Stepańczuk, Aleksandra Juskiewicz, Małgorzata Siech, Jerzy Siech.

Red.



Daria Szewczuk, Kobryń, 14 lat



Nadzieja Kisiel, Pińsk, 13 lat



Alicja Druż, „Słoneczna kropla”



Weronika Chocimko, 12 lat, Kobryń

KROK KU PRZYSZŁOŚCI

Miesiąc maj dla absolwentów szkół średnich ogólnokształcących na Białorusi można określić jako najbardziej przełomowy i znaczący. W tym czasie młodzi ludzie podejmują decyzję czy chcą dalej się uczyć i zdawać na studia, czy poprzestać na średnim wykształceniu i rozpocząć pracę.

Maj jest szczególnie ważnym okresem dla młodzieży białoruskiej mającej polskie korzenie. Musi ona zebrać wszystkie swoje siły i umiejętności, aby przystąpić do egzaminu, który daje jej możliwość studiów w Polsce. Takie egzaminy odbyły się w Brześciu również w roku bieżącym a uczniowie szkół obwodu brzeskiego mieli możliwość wykazania swojej wiedzy przed komisją egzaminacyjną z Polski.

Egzaminy rozpoczęły się 19 maja. Na początku głos zabrał Konsul Generalny RP w Brześciu – Pan Dr Jarosław Książek, który życzył wszystkim zdającym „połamania piór”. Po nim powodzenia na egzaminach życzył przedstawiciel brzeskiego kuratorium. Po wystąpieniach gości rozpoczęto egzaminy pisemne. Do egzaminów ust-



nym przystąpili ci, którzy pozytywnie zaliczyli część pisemną.

Do tegorocznych egzaminów przystąpiło 76 osób a najpopularniejszymi kierunkami studiów były: turystyka i rekreacja (12%), ekonomia (9,2%), finanse i rachunkowość (9,2%) oraz stosunki międzynarodowe (6,5%).

Przyszłym studentom życzymy powodzenia i zadowolenia z nauki na wybranym przez nich kierunku.

Lilia Potonia



ŻEGNAJ SZKOŁO!



Wieloletnią tradycją Polskiej Szkoły Społecznej im. Ignacego Domeyki w Brześciu jest uroczyste zakończenie roku szkolnego. Pozwala ono, zarówno młodzieży jak i nauczycielom, nie tylko uświadomić zakończenie pewnego procesu zdobywania wiedzy, ale podsumować, publicznie ujawnić wszystkie osiągnięcia i sukcesy. 17 czerwca 2010 r. na dziedzińcu Konsulatu Generalnego w Brześciu odbyła się uroczystość zakończenia roku szkolnego 2009/2010. Spotkanie przebiegało w niezwykle miłej atmosferze. Na uroczystość zaproszono wielu znakomitych gości: Pana Józefa Adamskiego, Prezesa Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, wieloletniego przyjaciela PSS, Pana Dra Jarosława Książka Konsula Generalnego RP w Brześciu oraz zasłużonych działaczy Związku Polaków na Białorusi, kombatanów, Sybiraków.

Na spotkaniu wszystkim absolwentom wręczono świadectwa i dyplomy. Najlepsi zaś otrzymali jeszcze wyróżnienia i nagrody za udział w konkursach, olimpiadach i turniejach.

Warto nadmienić, że w dniu uroczystości 35 absolwentów PSS miało już status studenta. W części artystycznej wystąpił zespół muzyczny „Tacy Młodzi” oraz teatr szkolny „Tarabuk”, który przedstawił współczesną interpretację bajki Adama Mickiewicza „Żaby i ich króle”.

Lilia Potonia

Letnia Szkoła Języka i Kultury Polskiej w Brześciu

Już drugi z kolei rok w Brześciu odbywała się Letnia Szkoła Języka i Kultury Polskiej. Zainteresowanie było ogromne. Mimo iż były dwa turnusy nie wszyscy zostali zakwalifikowani jako uczestnicy. Program przewidywał przybliżenie młodzieży zagadnień związanych z mediami. Młodzi ludzie mieli możliwość zdobycia umiejętności autoprezentacji, przygotowanie i udzielania wywiadu, zebranie materiałów a następnie realizację reportażu filmowego. W trakcie zajęć z języka polskiego nauczycieli umiejętnie korzystali z różnych metod pedagogiki zabawy. Forma ta cieszyła się ogromnym zainteresowaniem ze strony młodzieży. Wyróżniającą cechą Letniej Szkoły były również zajęcia, związane z twórczym myśleniem. Wykorzystano tutaj arteterapeutyczne metody i techniki (np. rysowanie muzyki F. Chopina).



Tradycyjnie już w programie znalazły się wycieczki do miejsc związanych z życiem wybitnych Polaków – Skoki (Julian Ursyn Niemcewicz), Rakowice (siedziba Tołłoczaków), Wołczyn (Stanisław August Poniatowski). 600-lecie bitwy pod Grunwaldem była okazją aby zapoznać uczestników Szkoły Letniej z kulturą średniowiecza, uczestnicy wzięli udział w uroczystościach w Nowogródku i Kamieńcu.

Teatralne inscenizacje, konkursy oraz inne sposoby zaangażowania młodzieży pozwoliły w trakcie dwutygodniowych zajęć przybliżyć Polskę, poznać język, kulturę, historię, znaleźć nowych przyjaciół i po prostu dobrze wypocząć. Serdecznie dziękujemy Senatowi RP, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, Konsulowi Generalnemu RP w Brześciu Jarosławowi Książkowi za pomoc w organizacji Letniej Szkoły Języka i Kultury Polskiej w Brześciu.

Lilia Potonia



Klub Katolickiej Inteligencji zaprasza

KIK w Brześciu działa od roku 2004. Zrzesza 16 osób. Przez pierwsze lata jego działalnością kierował ks. biskup Kazimierz Wielikosielec, ówczesny proboszcz parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Brześciu, a w roku 2007 kierownictwo przejął ks. Edward Migaj. Również od roku 2007 wydawana była gazetka parafialna „Pod Krzyżem”, którą redagował ks. Edward Migaj. Jednakże po wyjeździe ks. Edwarda Migaja do Pińska potrzeba własnej gazetki dla Brześcia katolickiego, jak i strony internetowej (prowadzonej w językach polskim i białoruskim) nadal pozostawała aktualna. W roku 2010 dzięki wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” uruchomiono wydawnictwo nowej dwujęzycznej gazety Klubu pod tytułem „Brześć Katolicki” i strony internetowej www.bresckatolicki.com. Inicjatywy te powinny wspomagać księży trzech katolickich parafii Brześcia, być źródłem informacji o życiu katolickim w mieście nie tylko dla wiernych i przyczyniać się do budowania wspólnoty katolickiej w Brześciu.

KIK w Brześciu jest jednym z inicjatorów założenia tradycji Festiwalu Pieśni Religijnej w Łahiszynie wieńczącego sierpniową pielgrzymkę do Cudownego Obrazu Matki Bożej Łahiszyńskiej. Członkowie Klubu wspólnie z redakcją „Ech Polesia” wykonali w roku 2008 foldery informacyjne dla dwóch parafii, które miały służyć ujawnieniu problemów tych parafii i poszukiwaniu pomocy sponsorskiej na ich remont. Klub wspiera młodzież kościelną, która uczestniczy w pielgrzymkach religijnych do sanktuariów w Łahiszynie, Budślawiu, Częstochowie, Kalwarii Zebrzydowskiej, Wadowicach, Rzymie, Monte Cassino, Padwie, Asyżu, a także bierze udział w spotkaniach Taize. W takiej sprzyjającej atmosferze powstał w roku 1998 w Brześciu młodzieżowy zespół pieśni religijnej, noszący od r. 2005 nazwę „Jedność” i działający przy parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i brzeskim oddziale ZPB. Pierwszy album zespołu „Kocham – więc nie lękam się” prezentuje twórczość muzyczną młodzieży katolickiej miasta Brześć. Został on zrealizowany dzięki pomocy ojców Misjonarzy z Baranowicz i ZPB w Brześciu oraz

Fundacji im. T. Goniewicza w Lublinie w roku 2008. Dochód ze sprzedaży 100 płyt ich pierwszego albumu został przekazany na odbudowę ołtarza głównego w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Brześciu, prace nad którym trwają od roku 2005. Zespół występował m.in. w Ostrowcu Świętokrzyskim z koncertem „Gdzieś na Kresach”, na otwarciu wystawy „Napoleon Orda – litografie z Albumu Widoków Historycznych Polski” 15 czerwca 2008 roku, na XXV Międzynarodowym Sympozjum Kościuszkowskim w Maciejowicach 10-12 października 2008 roku, w Domu Polonii w Pułtusku w styczniu 2010 roku. W wakacje uczestnicy tego zespołu śpiewają podczas pielgrzymek do Budślawia i Łahiszyna, w parafiach Berezy, Prużany i Brześcia.

KIK w Brześciu posiada swój statut i raz na miesiąc organizuje spotkania, gdzie są omawiane najważniejsze sprawy parafialne, ciekawe artykuły z prasy religijnej itd. Formy pracy Klubu opierają się głównie na spotkaniach, prelekcjach, przeglądach filmów i wykładach o tematyce religijnej, ekumenicznej, społeczno-kulturalnej, historycznej i przyrodniczej, jednakże priorytetem Klubu jest przede wszystkim zgłębianie nauki społecznej Kościoła. Prelegentami na wykładach, odczytach i spotkaniach są przede wszystkim duchowni, ludzie nauki, kultury i sztuki. Mają miejsce również spotkania towarzyskie. Biblioteka Klubowa z czytelną dysponuje bogatym księgozbiorem i szerokim wachlarzem czasopism. Klub organizuje także pielgrzymki do miejsc świętych na Białorusi i zagranicą.

Zadaniem KIK w Brześciu jest wsparcie aktywności społecznej Polaków i wszystkich wiernych, aktywizacja życia religijnego Polaków w Brześciu, organizacja stałej opieki nad cmentarzami polskimi w Brześciu, wychowanie młodzieży katolickiej Brześcia według zasad chrześcijańskich, a także zbieranie i dokumentowanie informacji o działalności parafii katolickich miasta Brześć.

Hanna Paniszewa
Brześć



Na kobryńskiej ziemi 'Kukułeczka' kuka...

Wita Państwa zespół „Kukułeczka” z Kobrynia! Tak zaczyna się każdy występ dzieci, które uczą się języka polskiego w Kobryniu.

Naukę języka ojczystego rozpoczęto w roku 1994 w Szkole Średniej Nr 1 w Kobryniu. Początkowo kółko składało się z 15 osób. Było ciężko, brak podręczników, pomocy dydaktyczno-metodycznych, ale jakoś sobie radziliśmy. Najpierw ćwiczyliśmy wymowę polską, akcent wykorzystując wiersze dla dzieci polskich poetów: Jana Brzechwy, Juliana Tuwima, Marii Konopnickiej, Anny Kamieńskiej i innych. Praca taka pomagała nie tylko doskonalić wymowę polską, ale uzupełniała słownictwo. Podczas nauki poznawania liter były wykorzystywane wierszyki, piosenki, zabawy, bajeczki, zagadki, wyliczanki. To wszystko dzieci opanowywały szybko i dzieliły się swymi umiejętnościami z kolegami. Postanowiliśmy, że na podsumowanie lekcji „Podróż do krainy języka polskiego” zaprosimy rodziców, dziadków, nauczycieli, koleżanki i kolegów. I to był pierwszy występ publiczny, który uczynił wielkie wrażenie zarówno na „artystach” jak i na gościach.

Od tego czasu w szkole regularnie odbywały się podobne występy. Ponadto rozpoczęły się konkursy recytatorskie, festiwale piosenki polskiej, imprezy kulturalne, jak np. „Pieśniarka ziemi polskiej – Maria Konopnicka”, „Mój ulubiony poeta – Julian Tuwim”, „Najpiękniejsze utwory Jana Brzechwy”, „Jesień, jesień już...” „Nasze polskie ABC”, „Najmilsze słowo – mama”, - to tylko niektóre tytuły z programu występów zespołu. Naturalnie, pamiętaliśmy o Bożym Naro-

dzeniu, Zmartwychwstaniu Pańskim, 3 Maja, 11 Listopada. W roku 1997 zespołowi nadano imię „Kukułeczka”. W latach 1998-2002 zespół wyjeżdżał na Światowe Festiwale Poezji Marii Konopnickiej do Przedborza i Gór



Mokrych. Zespół i soliści wielokrotnie był odznaczany, zdobywał pierwsze nagrody i dyplomy. I tak np. solistki Tatiana Wasiluk i Alina Liskowicz zdobyły III nagrodę, zaś w 2000 r. Dimitry Kiryluk, Mikołaj Paszkiewicz oraz solistka Artiom Chotimko zdobyli wyróżnienia, a zespół otrzymał Nagrodę Główną. Podobnie było w latach następnych i to nie tylko na tym festiwalu, lecz także i innych imprezach obwodu brzeskiego.

Od 2006 roku uczy się języka polskiego kolejna grupa dzieci, a wraz z językiem polskim poznajemy kulturę, tradycje i obyczaje naszych przodków, które następnie odradzamy w Kobryniu. Corocznie organizujemy spotkania Wigilijne, Wielkanocne czy nawet Zapusty. Występujemy z programami artystycznymi w Dniu Matki, 3 Maja, 11 Listopada. Odbywają się konkursy

„Kukułeczka” z Kobrynia
w Warszawie. W środku
– Helena Kaczan.



recytatorskie, konkursy kolęd, piosenki polskiej, na które zapraszamy mieszkańców Kobrynia i przedstawicieli Konsulatu RP w Brześciu. I tak np. w I. Festiwalu Piosenki Dziecięco-Młodzieżowej Obwodu Brzeskiego w 2009 roku, który odbył się w Baranowiczach, zespół zajął I miejsce.

W czerwcu 2010 r. odbyło się podsumowanie Konkursu „Polesia Czar”, w którym braliśmy również udział. II miejsce w recytacji otrzymały Wiktoria Stepańczuk i Daria Szewczuk, zaś w konkursie fotograficznym Jan Szewczuk uzyskał I miejsce za fotografię „Wody wiosenne”, a Daria Szewczuk – II miejsce za fotografię „Wiejski pejzaż”. Podobnie w konkursie plastycznym zostały wyróżnione prace Wiktorii Stepańczuk i Aleksandry Juszkiewicz.

Zespół każdy występ rozpoczyna szkolnym hymnem „Hej rodacy!” Na znaną melodię napisaliśmy tekst i tą pieśń nam towarzyszy wszędzie. Są w niej m.in. takie słowa:

*My polskiego się uczymy
I wymowę też ćwiczymy.
Przyszłość nasza jest przed nami,
Zostaniemy Polakami.*

Helena Kaczan
Kobryń

POTOMKOWIE RYCERZY CHORAĞWI ZIEMI BRZESKIEJ NA POLACH GRUNWALDZKICH

W dniu 17 lipca 2010 roku w uroczystościach jubileuszowych 600-nej rocznicy bitwy pod Grunwaldem brała również udział 50-osobowa delegacja mieszkańców Obwodu Brzeskiego. Wyjazd ten zorganizowało Brzeskie Międzyrejonowe Stowarzyszenie Społeczne im. Tadeusza Kościuszki w Brześciu, którego prezesem jest dr Leonid Michajłowicz Nieścierczuk. W skład delegacji weszli architekci i konserwatorzy zabytków, specjaliści ochrony dziedzictwa kulturowego, pracownicy muzealni, bibliotekarze, regionaliści, historycy, przewodnicy oraz młodzież i studenci. Niejednokrotnie podkreślali oni, że są potomkami Rycerów Brestkoj Horugby z Wielkiego Księstwa Litewskiego, którzy pod wodzą księcia Witolda brali udział w bitwie z Zakonem Krzyżackim pod Grunwaldem. Na wzgórzu przy pomniku, mieszkańcy Polesia rozwinęli swoją chorągiew z herbem starożytnego Brześcia, który posiada na niebieskim

tle łuk z naciągniętą cięciwą i grotem gotowym do strzału. To właśnie tu w Brześciu w 1409 roku odbyła się tajna narada wojenna króla Polski Władysława Jagiełły, księcia Witolda i chana Ordy Tatarskiej, na której omawiano strategię działań wojennych przeciw Krzyżakom. To wydarzenie jest utrwalone na pomniku w Brześciu.

Razem z delegacją z Brześcia udali się członkowie warszawskiej Fundacji Kościuszkowskiej, aby świętować jubileusz 600-lecia na polach Grunwaldu. Filię Fundacji powiatu bialskiego reprezentowali: Alina Bandarzewska wiceprezes, Jan Bondarzewski z Kodnia i Ryszard Boś radny powiatu bialskiego z Janowa Podlaskiego.

Ten wyjazd na długo pozostanie w pamięci wszystkich uczestników z Polesia i Podlasia.

Ryszard Boś
Janów Podlaski

Polesie



Kilka lat temu dużym powodzeniem cieszył się film pt. „Wodny świat” - hollywoodzka opowieść o świecie zalanym wodą, życiu ludzi (i nie tylko...) w obcym – bo wodnym – środowisku. I o poszukiwaniu kawałka stałego lądu.

W samym centrum naszego kontynentu, bez żadnych wielkich zmian klimatycznych, istniało w naturze coś na kształt odrębnego „wodnego świata”. Jego mieszkańcy przywykli do niezwykłych warunków. Nie szukali stałego lądu, ich światem były bagna, płytkie jeziora, obszerne rozlewiska, a wreszcie rzeki. Polesie – bo o nim mowa – to obszar specyficzny, piękny, ale i mroczny, może nawet na swój sposób groźny...

Polesiu i Poleszukom od zawsze towarzyszyła aura niezwykłości, pewnej tajemniczości. Mit pochodzenia Poleszuków, jako pre-ludu świata słowiańskiego, który dzięki pewnej izolacji od świata „ziemnego” przechował najdawniejsze cechy rozbudzał wyobraźnię.

„Tu cichy, zbożny lud, odcięty przez
pustkowie
Pierwotny wiedzie byt, jak żyli praoj-
cowie...
W postołach z łyka lip, odziany w sa-
modziały
Praojców naszych typ, Prastłowian typ
wspaniały!”

(G. Winogrodzki, nauczyciel
z Lubieszyna na Polesiu)



Ale poezja to jedno, a życie, codzienność – to już coś innego. Przecież świat się zmieniał, a i ziemie poleskie poddawały się jego działaniu. Ale, do pewnego przynajmniej czasu, jakby z pewnym opóźnieniem... Polesie było krainą specyficzną, w jakiejś mierze autonomiczną wobec świata zewnętrznego – spajającą przez to mocno ludzi tam żyjących i przyrodę. Z jednej strony wodny poleski świat pozwalał przeżyć, dzielił się bogactwami przyrody w takiej mierze, w jakiej wynikało to z istniejących warunków. Wodny żywioł dawał się swym mieszkańcom ujarzmić i wykorzystać, karmił rybami, dzielił się trzcinaми, z braku dróg stwarzał możliwości transportu. Ale stawiał też wymagania, bardzo niekiedy wysokie. Trzeba się było przystosować do warunków narzucanych przez przyrodę, w pewnej mierze się im poddać, ale i wtopić się w nie – jak-



by zapominając, że jest gdzieś daleko inny, „ziemny świat”. I w takiej koegzystencji rodziła się legenda Polesia i jego mieszkańców - Poleszuków.

W dwudziestoleciu międzywojennym powstało województwo poleskie z centrum administracyjnym w Brześciu nad Bugiem. Trzeba jednak powiedzieć, że w II RP kraina ta pozostała w pewnym uśpieniu cywilizacyjnym, ominęły ją i czasy euforii niepodległością i późniejsze wysiłki modernizacyjne – czasy budowy COP.

Poleszucy



„Tutejszość” jakby wpisała się w dwudziestolecie. W porównaniu z faktami „Polesia czar” wiele tracił ze swej atrakcyjności. Wiele gorzkich prawd zawiera w tym względzie przygotowany w 1937 r. memoriał Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich (TRZW) złożony premierowi RP. Towarzystwo „...zwróciło szczególną uwagę na wyjątkowe gospodarcze i kulturalne zaniechanie jednego z największych naszych regionów – Polesia... Województwo poleskie, będące największym z województw, zajmujące obszar 36.867 km.kw i stanowiące 10% obszaru Polski – jest pod względem rozwoju gospodarczego i kulturalnego województwem najbardziej upośledzonym i zacofanym”.

To bardzo gorzkie, ale niestety w znacznej mierze prawdziwe słowa. W przytaczanym memoriale rozpisano to na wiele faktów, przytaczano zatrważające dane. Ogromny obszar leżący w dorzeczu Piny, Prypeci i Horynia, przecięty na wschodzie sztuczną linią „granicy ryskiej” pozostawał jakby żywym skansenem. Zmiany, nawet te najbardziej konieczne, wymagały wielkich nakładów. Twierdzenie autorów cytowanego powyżej memoriału, iż „Kluczem do zdobycia gospodarczego Polesia, do zbliżenia go i związania z centrami gospodarczymi i kulturalnymi Państwa są bezsprzecznie inwestycje gospodarcze i kulturalne”, razi oczywistością.

Tak więc w Polsce międzywojennej sięgająca czasów mitycznych odrębność Polesia brała górę nad modernizacją. Utrwalony na nielicznych zdjęciach Targ Wodny w Pińsku to nie folklor, czy ówczesny Disneyland, atrakcja dla turystów – ale wyraz poleskiej normalności. Przewóz towarów i ludzi na łodziach był powszechny. Niewielkie, ale niesłychanie sprawnie obsługiwane łodzie zastępowały furmanki (choć te, z charakterystycznymi, mocno wygiętymi nad łbami niewielkich poleskich koników drewnianymi uprzężami także terkotały

po piaszczystych drózkach – o ile takie były...). Od transportu towarów, poprzez handel („stoiska obwoźne” – choć trzeba by raczej powiedzieć – „pływające”), aż po zwożenie płodów rolnych. Mam przed oczami zdjęcie (zamieszczone w 59 numerze kwartalnika „Karta” (2009), poleskiej łódki wyładowanej (tak, jak dziś przyczepy traktorów) sianem – sama łódka ginie w tafli wody, przygnieciona ogromnym objętościowo, ładunkiem siana...

Ale to, co dziś wzrusza i trochę może bawi – nie było elementem sprzyjającym rozwojowi województwa

Poleszuczka z dzieckiem podczas żniw



i jego mieszkańców. Dawne połączenia wodne, tworzone w czasach zaborów wiodły na wschód, ku Dnieprowi, a zresztą zostały zniszczone i zaniedbane w czasie I wojny. Dróg wodnych w kierunku województw zachodnich, umożliwiających kontakt z bardziej rozwiniętą częścią kraju, praktycznie nie było. Lokalne drogi wodne umożliwiały przewozy i kontakt w wymiarze poleskim, ale nie wyprowadzały łódek i barek ku Bugowi i Wiśle... A tymczasem szansą Polesia była rozbudowa połączeń w kierunku Morza Bałtyckiego, którego skrawek znajdował się w polskich rękach. Równie słaba sytuacja miała miejsce w odniesieniu do połączeń lądowych. „Województwo poleskie obok znikomej ilości dróg bitych, posiada najrzadszą w Polsce sieć kolejową”... a „administrowanie terenem, ciągnącym się na 300 km. wzdłuż i 200 wszerz, a pozbawionym dróg jest niezwykle utrudnione”.

To prawda - i przekonano się o tym w latach 20. XX stulecia, kiedy przez słabo strzeżoną granicę wschodnią bez trudu przenikały oddziały agitujące (niekiedy z bronią w ręku) za „świe-tlanym życiem” na Białorusi Radzieckiej... Bieda, jak nic innego, sprzyjała powodzeniu demagogii. Powołanie do życia Korpusu Ochrony Pogranicza

ukróciło działalność oddziałów bolszewickich, nie usunęło jednak (bo nie mogło!) przyczyn powodzenia sowieckiej demagogii, która dawała o sobie znać w całym dwudziestoleciu, a w tragicznych dniach września 1939 r. zebrała tragiczne żniwo.

Tak więc Polesie – to nie tylko życie barwne, oryginalne, sławione przez twórców, opiewane w poezji, ale i bardzo trudne, biedne, a przez specyficzne warunki - nieco dzikie. Trzeba było je szanować – by żyć, a także uodpornić się na ich oddziaływanie – by nie zginąć. „Polesia czar” miał, jak widać, swoje mało romantyczne przejawy. Podziwianie poleskich bagien i szuwarów, opadających mgieł było z pewnością bardzo atrakcyjne dla turystyki, dla poszukujących niecodziennych wrażeń mieszczuchów. Ale dla stałych mieszkańców „wodnego świata” to były realia, z którymi musieli się mierzyć każdego dnia. I to nie dla wyczynu, nie dla sensacji. Zagubienie się wśród bagien, złe pokierowanie chwiejną łódką na porywistym prądzie Piny czy Prypeci mogło skończyć się tragicznie. Nie dotarło tam żadne pogotowie, ani dobroczynny kuter z ekipą ratowniczą.

Prawdziwą stolicą Polesia był Pińsk. Miasto piękne, starożytne, jak to się kiedyś mówiło. Z dominującą bryłą XVIII-wiecznego kościoła katedralnego i kościoła (wraz z dawnym Kolegium) O. Jezuitów. Z tego drugiego do dnia dzisiejszego nic nie zostało. Władza radziecka rozebrała go (wysadziła w powietrze?) w początkach lat 50. Gmach Kolegium ocalał – dziś mieści się w nim Muzeum Białoruskiego (a jakże by inaczej...) Polesia i galeria. Na miejscu kościoła jezuickiego pustką zieje ogromny plac, z lekka tylko wypełniony pomnikiem Lenina. To – jeżeli już jesteśmy przy białoruskiej współczesności, stały element krajobrazu centralnych części miast i miasteczek Polesia... Entuzjazm jakby mniejszy, ale Lenin – póki co – pomnikowy i wiecznie żywy...

Port rzeczny w Pińsku





Kościół O.Jezuitów w Pińsku, który w początkach lat 50-ch władze wysadzili w powietrze

Inne, na swój sposób bardziej związane z Polską elementy – to ulice lub place „17 września”. Niewiele, naprawdę niewiele osób w naszym kraju zdaje sobie sprawę, że u naszego wschodniego sąsiada kultywowany jest stalinowskiego rodzaju pogląd o „wyzwoleniu” i „złączeniu” ziem okupowanej przez Polskę „zachodniej Białorusi” z Białorusią radziecką. To dzień radosny, dzień „oswobodzenia”. Obecna Białoruś nie ma szansy korzystania z historycznych wzorców państwowości. Poza „Białorską Socjalistyczną Republiką Sowiecką”. Obecne kierownictwo białoruskie nie widzi przeszkód, by nie tylko czerpać z tej, czysto sowieckiej tradycji pełnymi garściami, ale i uznawać ją za wzór dla „niepodległej Białorusi”.

Dzień Niepodległości świętowany jest oficjalnie 4 lipca – upamiętniając zajęcie Mińska przez Armię Radziecką. Nie ma tu sprzeczności między tradycją radziecką, a „własną” niepodległością. Dziś przy okazji oficjalnie celebrowanych uroczystości mówi się często o naszej wielkiej, wspólnej ojczyźnie. To takie „dwa w jednym” – i ZSRR i Białoruś – radzieckiego rodzaju. Takie podejście jest kamieniem

niezgody z tymi kręgami społecznymi, które nie godzą się - wzorem większości społeczeństw dawnego „bloku” - z braniem tradycji sowieckiej za własną i wpisywaniem niepodległości w sowieckie realia. I są za to mocno krytykowane (jeżeli nie gorzej) przez oficjalną propagandę. Oczywiście w tej grupie odnotować trzeba obecność polskiej mniejszości, która zdecydowanie nie tęskni za czasami radzieckimi. Z tego też względu podejmowane przez stronę białorską próby „wkomponowania” Polaków żyjących na Białorusi w struktury oficjalnych organizacji (a przede wszystkim „łuczniowski”, a teraz „siemiaszkowski” ZPB, reanimowany na kolejnych „zjazdach” w 2005 i we wrześniu 2009 r. przez Mińsk z uporem godnym lepszej sprawy) nie przynoszą pozytywnych rezultatów. Co zasługuje na naprawdę wielki podziw, biorąc pod uwagę białoruskie realia z początku XXI stulecia.

W 2009 r., w 70 rocznicę 17 września, w Brześciu na miejscowym uniwersytecie organizowana została z tej okazji konferencja dla młodzieży studenckiej. Bo – jak wyjaśniono w pra-



Stały element poleskiego krajobrazu, pomnik Lenina w Pińsku



sie – w dobie Internetu sączone są różne poglądy, w tym taki, że 17 września miała miejsce jakaś agresja... Więc trzeba młodym wyjaśnić, że nie – żadna agresja, tylko wyzwolenie. I już.

Ziemie Polesia zostały w sensie przenośnym i dosłownym przeorane przez historię. Przedwojenne, nieśmiałe plany stworzenia na tzw. Zahoryniu (Polesiu znajdującym się w granicach II RP na wschód od rzeki Horyń), z ziem należących do księcia Karola Radziwiłła, rezerwatu przyrodniczego nie zostały zrealizowane. W pewnej jednak mierze – całe Polesie pozostało terenem dziewiczym, by nie odwoływać się do pojęcia „rezerwatu”. Ludzie żyli „po swojemu”. Ludzie „tutejsi” – bo znaczny odsetek nie potrafił inaczej zdefiniować swego pochodzenia. Koloryt ziem poleskich uzupełniała ludność żydowska. W 35. tysięcznym do 1939 r. Pińsku stanowiła 90% ludności. Ale poza miastami i miasteczkami królowała poleszucka „tutejszość”. Z całym tego słowa ciężarem. Bowiem w wrześniu 1939 r., kiedy Polska starła się najpierw z totalitaryzmem narodowosocjalistycznym, Poleszacy na chwilę zostali wyrwani z letargu. Po agresji sowieckiej często korzystali z okazji, by odreagować lata nędzy i stagnacji, brać odwet na pojedynczych oddziałach wycofujących się przed agresorami oddziałów WP. Niekiedy mówi się nawet o „po-

leskim Katyniu”. Bo wprawdzie nie zgoniono tu jednorazowo kilkunastu tysięcy jeńców, by ich zamordować strzałem w potylicę, ale mordowano okrutnie i z ukrycia – w wielu, bardzo wielu miejscach... Słowa o mizerii Polesia z memoriału TRZW potwierdziły okrutną prawdę – zaniechanie i niemożność dokonania koniecznych zmian o czasie mści się stukrotnie...

A nowa, radziecka władza rozgościła się na dobre. „Wyzwoliła” Polesie, ale szybko uleczyła z entuzjazmu wielu swoich, cierpiących pod „polskim panowaniem” nieopisane (a raczej teraz opisywane – patrz poniżej) męki, zwolenników. We współczesnej brzeskiej prasie lokalnej przedstawiany jest idylliczny obraz „marszu wyzwolenczego” sił radzieckich. I czarny nad czarnościami obraz „pańskiej Polszy” – kolonizatora, wyzyskiwacza i gnębiiciela mas białoruskich. Przy wielu artykułach fatalny obraz Polesia z przedstawionego wcześniej memoriału TRZW wprost wieje nadmiernym optymizmem. Nie było szkół, lekarzy (nieliczni – płatni dostępni byli tylko dla bogaczy – oczywiście polskiego pochodzenia), Białorusini sadzani byli masowo do więzień za politykę, policja zajmowała się głównie zaganianiem chłopów do roboty i obroną „ziemi dziedziców”. W miastach i miasteczkach dzisiejszej Białorusi stoją powstałe w czasach radzieckich pomniki upamiętniające „opór” mas białoruskich przeciw polskiemu uciskowi – a za przyłączeniem do BSRR. We wrześniu 1939 r. to marzenie po prostu się spełniło... Trudno w takich warunkach przebić się nie tyle z polską koncepcją historii XX wieku, ale w ogóle zaprezentować bardziej zrównoważone poglądy. Ale próbować trzeba. Bo ta oficjalna propaganda, tak jak u nas „za socjalizmu”, wyrządza cały czas szkody, ale często okazuje się, że ludzie tu swoje wiedzą. Tyle, że mimo ogromnych zmian wywołanych wędrówkami ludów po II wojnie światowej i na jej skutek – mentalność poleska znakomicie współgra z elementami „człowieka



Dworek T. Kosciuszki
w Mereszczowczyźnie, lata 30
XX w.

radzieckiego”. Nie podskakuj, źle nie jest – aby tylko wojny nie było...

Na ziemi poleskiej – trudnej i dzikiej, ale może przez to kwitnącej od wieków postaciami nieprzeciętnej miary. XVII-wieczny męczennik i święty Andrzej Bobola, a potem cały szereg wybitnych polityków, wojskowych, artystów... Począwszy od Kościuszki (Mereczowszczyzna – to już skraj Polesia), poprzez J. U. Niemcewicza spod Brześcia, Romualda Traugutta z Szostakowa, Napoleona Ordę spod Pińska, J. I. Kraszewskiego w Dolhego, całe rody Skirmunttów i Butrymowiczów... Dziś pozostały po nich resztki resztek. A i te odżywają często jako relikty... białoruskości. Bo w obowiązującej dziś teorii homogenicznego społeczeństwa białoruskiego, kto na terenie dzisiejszej Białorusi się urodził, to Białorusinem był i jest – choć może sam o tym nie wiedział. Obowiązująca „ideologia państwowa” nie uwzględnia złożoności historycznych. Dzisiejsza Białoruś jest projektowana na przeszłość – tak w kształcie terytorialnym, jak i w zakresie dziedzictwa kulturowego. Wielu z wielkich ludzi Polesia i Ziemi Brzeskiej

walczyło kiedyś „o wolność”. To takie miłe, często używane określenie. A o jaką konkretnie wolność chodziło? No cóż... Wolność – to wolność. Powstanie Styczniowe to tu (o ile w ogóle się o tym cokolwiek mówi) powstanie Kostusia Kalinowskiego. Kim był ów „Kostuś”? Z kim i o co walczył? Ano – Białorusin. I starczy, bo dalsze pytania niosłyby problemy niepotrzebne i zmylne. Nie ma na razie takiej potrzeby...

Władza radziecka wniosła także „element postępu”. Polesie zostało w znacznym zakresie zmeliorowane. W okresie międzywojennym melioracja była dokonywana w minimalnym zakresie, głównie przy okazji dokonywania zmian własnościowych, parcelacji itp. To zdecydowanie za mało. Ale nowe porządki po przyłączeniu do ZSRR przeprowadzono z przegięciem w drugą stronę. Skala melioracji była ogromna, choć nie zawsze przemyślana. Dziś mówi się o zjawisku stepowacenia wymeliorowanych do cna gruntów, a poza tym – zanikają te rejony, na których woda pełniła rolę czynnika przyrodotwórczego. Bagna poleskie stają się elementem bardziej historycznym, niż fragmentem współczesnym. Dzieje



Niemni świadkowie dawnych
dziejów tej ziemi



Wysokie Litewskie – nagrobki żołnierzy
przeniesione z pól bitewnych I wojny światowej

się to oczywiście z pożytkiem dla gospodarki, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że tracimy coś bardziej znaczącego niż płony zbóż i kukurydzy pastewnej...

Polesie do dziś usiane jest miejscami, przed którymi tylko przykłąknąć lub zadumać by się trzeba. Gdyby ktoś chciał się pochylić nad resztkami połamanych krzyży i prośb o westchnienie i modlitwę na dawnych cmentarzach, to już chyba moment ostatni, bo giną one w oczach...

Ale gdyby kto inny składał kwiaty na licznych, bezimiennych i duszy pozbawionych memoriałach „wielkiej wojny ojczyźnianej”, to może się, póki co, nie spieszyć. Stoją one sobie spokojnie. Postacie anonimowych czerwonoarmistów patrzą spokojnie ponad horyzont tego, co człowiek swą pamięć

cią wyrazić powinien. Patrzą w nicość wielkiego wysiłku, który dziś wspomagany sztucznie odżywa, jako zasadnicza treść oznaczająca i przeszłość i teraźniejszość i – wyorywaną ciągle w kołchozach – przyszłość ziem tak Polsce bliskich i dla „bycia Polakiem” w świadomości historycznej potrzebnych. Bo przecież:

„... Tajemny jakiś urok w mych oczach
owiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa...
Gdzie w spokojnej mogile pomieszał
się społem
Stary popiół pradziada z prawnuka
popiołem...”

/W. Syrokomla, „Polesie”/

Przy tworzeniu niniejszego tekstu korzystałem m.in. z wydawnictwa „Karta”, nr 59, a szczególnie z materiału T.K. Kozłowskiego „Polesie”, ss. 2-5 i kolekcji zamieszczonych tamże zdjęć z międzywojennego Polesia.

Jarosław Książek

*Redakcja serdecznie dziękuje Panu
Aleksmu Dubrowskiemu z Pińska za
udostępnione fotografie Józefa Szymań-
czyka oraz za fotografie własne.*



Zarys dziejów ziemi kobryńskiej i jej mieszkańców

Lata dawne

Długa i burzliwa jest historia tej ziemi. Cechuje ją niezliczona liczba przemarszów wojsk, przeważnie na kierunku wschód–zachód i odwrotnie. Pierwsi zdobywcy przyszli jednak z północy. Byli to Waregowie — wojownicy księcia szwedzkiego Ruryka. Syn jego Oleg, po zdobyciu w 882 roku Kijowa, tworzy rozległe państwo, zwane Rusią Kijowską. W jego skład wchodziła ziemia kobryńska. Tak powstała dynastia Rurykowiczów, która przetrwała do końca XVI stulecia.

Za panowania w Polsce **Mieszka I**, ziemia ta zostaje przyłączona do jego państwa. Następnie podlega księciu halicko-wołyńskiemu. Z tych czasów pochodzi pierwszy zapis o mieście Kobryniu. Datę tego zapisu — **rok 1287**, przyjmuje się za początek istnienia miasta. Na początku XIV wieku książę litewski **Gedymin** włącza ziemię kobryńską do Litwy. W połowie wieku opanowuje ją na niespełna **20 lat Kazimierz Wielki**. W 1387 roku jeden z potomków Gedymina przyjmuje oficjalnie tytuł księcia kobryńskiego. Księstwo Kobryńskie jako lenno Wielkiego Księcia Litewskiego trwa do **1518 roku**. Po śmierci ostatniej księżnej kobryńskiej **Anny**, która ufundowała w 1500 roku w Kobryniu kościół pod wezwaniem **Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny**, dobra kobryńskie, decyzją Króla Polskiego i Wielkiego Księcia Litewskiego — Zygmunta Starego, przejmuje w dożywocie, otrzymując jednocześnie urząd starosty królewskiego — mąż księżnej **Anny**, marszałek królewski **Wacław Kostewicz**. Po jego śmierci starostwo kobryńskie staje się bezpośrednią własnością „stołu królewskiego”. Władą nim **królowa Bona**. Poniosła ona wielkie zasługi dla rozwoju miasta. Często też je odwiedzała. Píše o tym pięknie **Paweł Jasienica** w „Polsce Jagiellonów”. *Czytamy, że nakazywała budować domy „pod sznur”, przedkładać sobie plany rozbudowy i upiększania miast. Dbła o higienę miast i wsi. Nakazywała systematycznie sprawdzać czystość. Jak w całym kraju, wprowadzała tu nowe rodzaje i sposoby*



Dawny herb Kobrynia

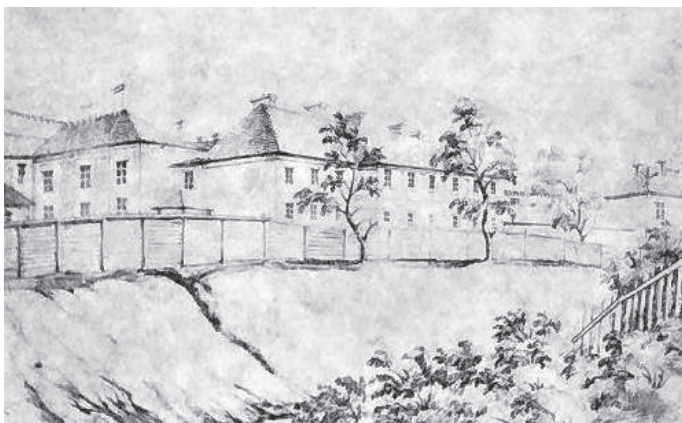


Obecny herb Kobrynia

upraw rolnych. Poleciała przeprowadzać melioracje. Tak powstał istniejący do dziś Kanał Królowej Bony (obecnie zwany kanał Bona).

W **1586 roku** ziemię kobryńską przejmuje córka Bony — **Anna Jagiellonka**, w owym czasie już wdowa po królu **Stefanie Batorym**. Nadała ona Kobryniowi **prawo magdeburskie**, a więc znaczną samorządność. Korzystano z niej różnie. W krótkim czasie, na przykład, powstało około czterdziści karczm, które dość szybko doprowadziły do zubożenia mieszkańców. Mimo to można powiedzieć, że przez 130 lat sprawnego zarządzania ziemią kobryńską przez obie panie, mieszkańcy zażywali spokoju i względnego dobrobytu. Ciągłe wojny XVIII wieku i ogólny upadek kraju w czasach saskich, spowodowały całkowity upadek miasta. W rezultacie król **Stanisław August Poniatowski** znosi prawo magdeburskie, a administrowanie powierza podskarbiemu **Antoniemu Tyzenhausowi**. Ważną datą w dziejach Kobrynia był rok **1784**. Po dziesięciu latach budowy zostaje otwarty kanał łączący rzekę **Muchawiec** z **Piną**. W ten sposób powstał szlak wodny **Bałtyk–Morze Czarne**. Otwarcia dokonał osobiście król **Stanisław August Poniatowski**, stąd nazwa kanału — **Królewski**. Była to ostatnia wizyta władcy **Rzeczypospolitej** w Kobryniu. Wkrótce następuje **III rozbiór Polski**, a ziemia kobryńska zostaje darowana przez **carycę Katarzynę II** za zasługi wojenne, a przede wszystkim stłumienie powstania **kościuszkowskiego**, **feldmarszałkowi Aleksandrowi Suworowowi**.

Nieudane powstania, spowodowały znaczne pogorszenie położenia szlachty polskiej na „ziemiach zabranych”, w tym na ziemi kobryńskiej. Szczególnie tragicznie zakończyło się powstanie styczniowe. Represje carskie dotyczyły nie tylko powstańców, ale także ziemian ich wspierających. Karą były wywózki na Sybir, konfiskata majątków i zakaz nabywania ziemi przez obywateli narodowości polskiej.



Szpital w Kobryniu. Rys. Napoleona Ordy



Bazar w Kobryniu, pocz. XX wieku



Kobryń z okresu I wojny światowej na niemieckich pocztówkach



Powrót do Macierzy

W lutym 1919 roku na ziemię kobryńską wkra-
cza armia od niespełna czterech miesięcy niepodle-
głej Polski. Ludność polska wita ją entuzjastycznie,
młodzież masowo wstępuje do wojska. Rozpoczyna
się wojna z bolszewikami.

Danina krwi tym razem nie okazała się darem-
na — Kobryń wraca do Polski jako stolica powiatu
w województwie poleskim. Nastąpiły lata stopnio-
wego rozwoju gospodarczego i repolonizacji zrusy-
fikowanej podczas zaborów ludności, szczególnie
wiejskiej. Ziemianstwo przystępuje do odbudowy
swych majątków, zdewastowanych i rozgrabio-
nych podczas I wojny światowej, rewolucji i wojny
z bolszewikami. Odradza się rzemiosło, drobny
przemysł i handel. W Kobryniu powstają niewiel-
kie fabryki: gillz papierosowych, mydła i pasty do
obuwia, świec, sznurów, wyrobów koszykarskich.
W sumie w 1919 roku było 47 zakładów produk-
cyjnych zatrudniających 402 ludzi. Funkcjonuje
kilka restauracji, hoteli, kawiarni i piwiarni. Rozwi-
ja się szkolnictwo i życie kulturalne. W 1923 roku
powstaje **Państwowe Gimnazjum**, które 3 lata
później otrzymuje imię **Marii Rodziewiczówny**,
znakomitej pisarki, mieszkającej w pobliżu. Kobryń
osiąga ok. 20 tysięcy mieszkańców. Zabytkowy ko-
ściół, ufundowany w 1500 roku przez księżną Annę,
a zbudowany na nowo w 1843 roku, staje się kościo-
łem garnizonowym WP.

Województwo poleskie było największym z 16
województw, zajmowało prawie 10% powierzchni
kraju. Natomiast miało najniższą gęstość zaludnie-
nia (kraj średnio 83 osoby na 1 km², powiat ko-
bryński — 32. Podstawowym źródłem utrzymania
ludności było rolnictwo (81% ludności zawodowo
czynnej). Skomplikowany był też problem narodo-



Kobryń, lata 30-te XX wieku



wościowy. Ogromną przewagę stanowiła rdzenna ludność tych ziem, używająca mieszaniny języka ukraińskiego, białoruskiego i polskiego, określająca się jako „tutejsi” (63% ogółu ludności, z tego na wsi 70%, w miastach 12%). Powszechnie zwano ich Poleszukami. Używających języka polskiego było ok. 15% (w miastach 30% — tutaj najliczniejszy był żywiół żydowski, prawie 50%), ponadto, używających języka: białoruskiego ok. 7%, ukraińskiego ok. 5%, rosyjskiego ok. 1,5%.

Biorąc pod uwagę fakt, że według statystyk, województwo poleskie było na ostatnim miejscu w Polsce pod względem rozwoju gospodarczego oraz, że światowy kryzys gospodarczy lat 1929–1933 szczególnie ciężko dotknął rolnictwo — główną gałąź gospodarki Polesia — należy ocenić, że w krótkim czasie zaledwie 20 lat uczyniono dużo dla rozwoju tej ziemi i jej mieszkańców.

Trudna sytuacja gospodarcza, znaczne bezrobocie, duży odsetek ludności niepolskiej stwarzał jednak pewien grunt dla propagandy komunistycznej, inspirowanej i finansowanej przez ZSRR. Nielegalną działalność prowadziła Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi. Jedną z jej akcji warto przytoczyć, bowiem związana jest ona z Bolkowem. Sowiecka encyklopedia białoruska z dużą przesadą nazywa ją „Kobryńskie zbrojne wystąpienie chłopów” i pisze, że dla solidarności z wystąpieniami chłopskimi w krakowskim, KPZB postanowiła zorganizować 4 sierpnia 1933 r., wiec chłopów powiatu kobryńskiego w majątku państwa Miłaczewskich w Bolkowiu. 3 sierpnia z okolicznych wsi wyruszyło czterema drogami około 100 chłopów, grabiąc po drodze gospodarstwa osadników wojskowych oraz napadając na

posterunek policji w Nowosiólkach. Rano 4 sierpnia przybyłe z Brześcia posiłki policji rozpedziły uczestników marszu. Tak to, państwu Miłaczewskim nie dana była przyjemność oglądania wiecu w swym majątku, zaś ich nazwisko zostało uwiecznione w białoruskiej encyklopedii... (Brouka P.U., 1972).

Prowodyrzy zamieszek zostali surowo ukarani w trwającym we wrześniu procesie kobryńskim. Nawiasem mówiąc, spokojne musiało być życie na Polesiu i „wielkie” sukcesy działalności komunistycznej, jeśli taki drobny incydent zasłużył na miejsce w encyklopedii.

Nadeszły tragiczne dni września 1939 roku. 19 września do Kobrynia wkroczyli Niemcy, a 22 września Armia Czerwona. Zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow, wojsko niemieckie odeszło na zachód. Zaczął się nowy rozdział w historii Kobrynia.

Okupacja radziecka

Entuzjastyczne powitanie „wyzwoliciele” przez miejscowych komunistów i agitowaną przez nich ludność białoruską, ukraińską i żydowską, zapowiadało ciężkie czasy dla Polaków. Rzeczywiście, natychmiast rozpoczęły się aresztowania oficerów, ziemian, policjantów i innych funkcjonariuszy poprzedniej władzy. NKWD miało wcześniej przygotowane listy tych osób, jednakże znaczną pomoc uzyskało od miejscowych donosicieli, wśród których prym wiodły osoby narodowości żydowskiej. Trzeba przyznać, że donosy te dotyczyły nie tylko Polaków, lecz także osób innych narodowości w tym bogatszych Żydów. Zadenuncjowany i aresztowany w swym majątku Bolkowo został Bolesław Miłaczewski, a w czasie powrotu z frontu, w Brześciu, Władysław Miłaczewski. Po krótkim pobycie w brzeskim więzieniu NKWD, obaj zaginęli bez wieści. Według relacji świadków, niestety nieudokumentowanych, Władysława Miłaczewskiego zadenuncjował znajomy właściciel restauracji, pochodzenia żydowskiego. Zaszedł on do jego restauracji, aby zasięgnąć języka o rodzinie i możliwości dotarcia do Zadercia. Restaurator zaprosił go na zaplecze obiecując, że załatwi transport, po czym powiadomił NKWD.

Władza radziecka wprowadziła nową administrację i nowe porządki. Kobryń stał się stolicą

rajonu, jednostki mniejszej od dawnego powiatu. Rozpoczęto upaństwowienie przemysłu i majątków ziemskich oraz kolektywizację gospodarstw chłopskich i rzemiosła. Zorganizowano kombinat przemysłowy, który wchłonął dotychczas prywatne fabryczki i warsztaty rzemieślnicze. Upaństwowiono majątki ziemskie, rozpoczęto kolektywizację chłopskich gospodarstw rolnych.

Przystąpiono do intensywnych prac nad modernizacją kanału Królewskiego, zwanego teraz Dnieprobugski. Już w 1940 roku został on oddany do użytku i służył jako dogodna droga wodna do Bałtyku w handlu z Niemcami. Przede wszystkim płynęły nim barki z ropą naftową. Przy jej pomocy już za rok pancerne i zmotoryzowane jednostki armii niemieckiej miały przepędzić daleko na wschód wojska swego sprzymierzeńca. Jeszcze jeden cichot historii...

Z początkiem roku 1940 rozpoczęły się deportacje ludności polskiej włąb ZSRR. Pierwsza, nastąpiła 9 lutego i dotyczyła ziemian, żołnierzy zawodowych, policjantów, służby leśnej, pracowników aparatu państwowego. Punktem docelowym były okolice Archangielska. Następna wywózka rozpoczęła się w kwietniu i objęła rodziny poprzednio wywiezionych, rodziny aresztowanych „wrogów komunizmu”, bogatszych chłopów. Punktem docelowym był Kazachstan. Trzecia deportacja miała miejsce na przełomie czerwca i lipca. Objęła głównie uchodźców wojennych z centralnej Polski. Czwarta została przeprowadzona 19/20 czerwca 1941 r. Dotyczyła głównie inteligencji i wykwalifikowanych robotników. Wywieziona została m.in. właścicielka majątku Perki, Jadwiga z Miłaczewskich Dworenko-Dworkinowa z małymi dziećmi (2, 6 i 7 lat). Cudownym zrządzeniem losu udało im się przeżyć w skrajnie trudnych warunkach i w 1946 roku powrócić do Polski. Wywózki przerwał 22 czerwca wybuch wojny niemiecko-radzieckiej, ale wysłane już eszelony, pod niemieckimi bombami, pracowicie sapiąc jechały na wschód.

Procedura deportacji była standardowa: według wcześniej sporządzonych wykazów, pod wskazanymi adresami zjawiali się w nocy funkcjonariusze NKWD, dawali dwie godziny na spakowanie rzeczy i całą rodzinę dowozili na punkty zborne. Machina działała sprawnie, chociaż na szczęście zdarzały się zacięcia. Dzięki temu losu swej szwagierki z Perek, nie podzieliła Irena Miłaczewska

z trojgiem dzieci (2, 4 i 6 lat). Funkcjonariusze mieli w wykazie pomyłony adres i zjawili się w sąsiednim domu. Mieszkańcy, znali prawidłowy adres, lecz oświadczyli, że taka rodzina, co prawda tu mieszkała, ale wyprowadziła się w nieznanym kierunku. To na szczęście wystarczyło, aby funkcjonariusze udali się dalej, czyniąc swą powinność według przygotowanych spisów.

W Kobryniu NKWD przygotowywała dla młodzieży „wyprawę naukową” do szkoły zawodowej w Nowobielicku koło Homla. Obecnie nazwalibyśmy to „zieloną szkołą wakacyjną”. Zbiórkę naznaczono na godz. 13⁰⁰, 23 czerwca. Nakazano zabrać zapasową bieliznę i żywność na 3 dni. Fakty te mogły wskazywać, że chodzi tu o kamuflaż deportacji młodzieży. O 4⁰⁰ rano dnia poprzedniego spadły pierwsze bomby na lotnisko wojskowe w Kobryniu. Można powiedzieć, że wycieczka nie doszła do skutku „z przyczyn technicznych”. Następnego dnia rano wojsko niemieckie wkroczyło do Kobrynia.

Okupacja niemiecka

Natychmiast po wkroczeniu, Niemcy zaczęli tworzyć swoje struktury władzy. Polaków początkowo traktowano poprawnie, próbowano ich nawet zjednywać m.in. poprzez powierzanie stanowisk w samorządzie i administracji. Oprócz urzędów czysto niemieckich, jak gestapo, żandarmeria, komenda miasta — utworzono miejscową policję, do której werbowano Białorusinów, Ukraińców i... Rosjan-białogwardystów. Była to przemyślana polityka mająca poprzez pobudzenie waśni narodowościowych, uniemożliwić powstanie ruchu oporu. Natychmiast zabrano się za eksterminację Żydów, którzy stanowili 50% mieszkańców miasta. Utworzono getto, którego mieszkańców potem wymordowano na miejscu.

Ciekawe, że na wsi pozostawiono stan własnościowy zaprowadzony przez władzę radziecką, tj. sowchozy i kołchozy, nad którymi ustanowiono zarząd niemiecki. Jednakże, ocalałym właścicielom ziemskim pozwolono powrócić do swych majątków i zarządzać nimi pod okiem urzędników niemieckich.

W okolicznych lasach zaczął tworzyć się ruch partyzancki. Były to oddziały radzieckie utworzone z żołnierzy rozbitej Armii Czerwonej oraz polskie, zarówno współpracujące z radzieckimi (np. prawie

200-osobowy oddział Mikołaja Kunickiego „Muchy”, jak też akowskie, niepodlegające współpracy („**Szaniec**”, „**Wachlarz**”). Ruch oporu na ziemi kobryńskiej miał najróżniejsze odcienie polityczne i narodowościowe.

Polesie stanowiło III odcinek „Wachlarza”, wydzielonej akcji dywersyjnej ZWZ, a później Armii Krajowej. Pierwotną myślą przewodnią koncepcji strategicznej „Wachlarza” było: „Osłonić i ułatwić wykonanie powstania, wzmacniając akcję dywersyjną na wschodnich terenach Rzplitej i w miarę możliwości poza jej granicami wschodnimi.” (Raport operacyjny nr 154 dowódcy AK z dnia 13 IX 1942 r.). Mowa tu o ogólnonarodowym powstaniu, które wg koncepcji opracowanej w sztabie komendy głównej Związku Walki Zbrojnej w 1940 roku, miało wybuchnąć w Centralnej Polsce po klęsce wojsk niemieckich na wschodzie w przewidywanym starciu Niemiec z ZSRR. Nazwa obrazuje kształt terytorialno-organizacyjny: 5 piór wychodzących z Warszawy w kierunku wschodnim, od północnego wschodu na południowy, sięgających daleko na wschód od granic z 1939 roku. Środkowe pióro obejmowało Polesie i Białoruś, aż po Homel. Teoretycznie słuszne założenie, by akcje dywersyjne przeprowadzać poza granicami kraju, by nie narażać ludności na represje wroga, okazały się w praktyce nie do realizacji. Z tego względu i pod naciskiem naczelnego dowództwa polskich sił zbrojnych w Londynie, które po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z ZSRR chciało wykazać się przed sojusznikami pomocą dla frontu wschodniego, akcje dywersyjne prowadzone były przez cały okres funkcjonowania III odcinka „Wachlarza”, jako jednostki wydzielonej z komendy okręgu i podległej bezpośrednio KG AK tj. przez 1942 rok, głównie na terenie Polesia w jego przedwojennych granicach. Powiat kobryński stanowił rejon I z siedzibą w Brześciu (d-ca Zbigniew Słomczyński ps. Żbik), a posterunki dywersyjne znajdowały się w Kobryniu i Żabinie. Ponieważ ludność polska została skutecznie przetrzebiona na skutek wywózek za czasów okupacji sowieckiej, niezbędna była pomoc z zewnątrz. Takiej pomocy udzielały zarówno władze ZWZ/AK z Warszawy jak i naczelne dowództwo z Londynu. Komendantem III odcinka został „cichociemny” kpt. Alfred Paczkowski, zrzucony w rejonie Skierniewic w grudniu 1941 roku. Oprócz niego skierowani zostali inni

„cichociemni” i oficerowie z terenu Generalnego Gubernatorstwa. (O akcjach w rozdz. I.7.)

Jak już stwierdzono, struktura „Wachlarza” podlegała bezpośrednio KG AK, a ze względów konspiracyjnych nie była znana Komendzie Okręgu w Brześciu. W praktyce jednak, na skutek braku koordynacji działań, wywoływało to negatywne reperkusje. Dlatego też oraz na skutek wzrastającej penetracji gestapo na początku 1943 roku nastąpiło podporządkowanie agend III odcinka „Wachlarza” Komendzie Okręgu AK „Twierdza” w Brześciu.

Rankiem 20 lipca 1944 roku, po całonocnej bitwie Kobryń został zajęty przez Armię Czerwoną. W czasie wojny ludność miasta zmniejszyła się o 12 tysięcy i liczyła teraz około 8 tysięcy.

W składzie ZSRR

Po wkroczeniu Armii Radzieckiej na tereny należące przed 1939 rokiem do Polski, rozpoczęła się akcja „Burza” mająca na celu atakowanie przez oddziały AK wycofujących się wojsk niemieckich i przejmowanie administracji cywilnej przed nadejściem wojsk radzieckich. Powstające jednostki wojskowe otrzymywały nazwy pułków i dywizji, jakie stacjonowały na danym terenie przed wojną. Na Polesiu tworzona była 30. DP Armii Krajowej. Pułki dywizji działały po obu stronach frontu, współpracując początkowo z oddziałami radzieckimi. Na szczęblu dywizji wymieniono nawet oficerów łącznikowych. Z chwilą powstania tzw. Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (22 lipca 1944 roku), żołnierze dywizji zaczynają być rozbrajani i wcielani do I Armii Wojska Polskiego. Wielu z nich uciekło i potajemnie wróciło w rodzinne strony. 30. Poleska Dywizja Piechoty zakończyła swój szlak bojowy w sierpniu w rejonie Otwocka (szerzej o tym w rozdz. IV.6.).

Decyzją wielkich mocarstw, wschodnia granica polski przesunięta została na zachód, na linię Bugu. Ziemia kobryńska znalazła się w granicach ZSRR. Zaczynają się następne wędrówki Polaków, tym razem na zachód — do Polski w nowych granicach. Kobryniacy zasiedlają odzyskane ziemie północne i zachodnie. Niektórzy z różnych powodów pozostają. Poddawani są przez władze bezwzględnej rusyfikacji. Miejscem pomagającym w zachowaniu polskości był w tamtym czasie kościół katolicki

pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Jednakże w 1962 roku władze zamykają go, przekształcając na magazyn. Różne są paradoksy historii, kościół ten był czynny w czasie wojny i przetrwał Stalina, natomiast zlikwidował go... Nikita Chruszczow. Następnie zostaje on rozgrabiony i spalony. Kobryniacy nigdy nie pogodzili się z utratą kościoła. Wykorzystując gorbaczowską „pierestrojkę”, uzyskują zgodę na ponowne jego otwarcie i przystępują do odbudowy. Dzięki finansowemu wsparciu rodaków z kraju i zaangażowaniu przedsiębiorstw polskich budujących w owym czasie gazociąg jamalski (Energopol, Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego) — kościół został odbudowany; 24 grudnia 1991 roku odbyła się inauguracyjna, uroczysta pasterka. W następnym roku pracownicy tych przedsiębiorstw w czynie społecznym odnowili mogiły żołnierzy polskich poległych w wojnie 1919–20 roku i pomnik wzniesiony w 1925 roku, na tzw. „starym cmentarzu”, a w latach 2002–2003 energiczny proboszcz ks. Krzysztof Gołębiowski, przy pomocy Energopolu odbudował mogiły żołnierzy tej wojny na terenie przykościelnym (więcej o tych sprawach w rozdz. I.8.). Ksiądz Krzysztof po pięcioletniej misji powrócił do Polski. Jego dzieło kontynuuje ks. proboszcz Czesław Jojko.

O patriotyzmie pozostałych na ziemi kobryńskiej Polaków, świadczy m.in. następujące wydarzenie. W lipcu 1944 roku, gdy zakończyła się okupacja niemiecka, radzieckie służby specjalne zaczęły likwidować resztki struktur Armii Krajowej. Polacy, którzy postanowili pozostać na swojej ziemi, nie chcieli poddać się rusyfikacji. Grupa młodzieży zakłada tajną organizację wojskową — Armia Krajowa — „Wschód”, i polityczną: Związek Obrońców Wolności (ZOW). Skupiały one kilkaset członków. W owym czasie, nie było już jednak warunków do działalności konspiracyjnej. W wyniku penetracji NKWD, nastąpiły aresztowania. W 1948 roku Wojenny Trybunał Białoruskiego Okręgu Wojskowego uznał ZOW za kontrrewolucyjną, zbrojną organizację zagrażającą bezpieczeństwu ZSRR. Zapadły wysokie wyroki. Przywódców — Jana Komorowskiego i księdza Wacława Jazewicza skazano na karę śmierci, zamienioną potem na 25 lat obozu pracy. Około 30 osób zesłanych zostało do obozów pracy. Po amnestii w 1956 roku ci, którzy przeżyli powracają do Kobrynia. Niektórzy mieszkają tam do dziś — np. Leonarda

Jurkowska-Majewska i Roman Ostromecki. Wolna Polska przyznała im status kombatantha i dożywotnią niewielką rentę pieniężną. Ksiądz Jaziewicz został deportowany do Polski. Zmarł w 1979 roku w Lublinie. Jan Komorowski wrócił w 1956 roku do Kobrynia, a następnie wyjechał do Polski. Zmarł w Głuchołazach w 1994 roku. A oto jak opisuje to jeden z uczestników tamtych wydarzeń Eugeniusz Wojtyśiak, mieszkający obecnie w Krakowie:

...Byliśmy młodzi, nie znaliśmy się na wielkiej polityce, liczyliśmy na pomoc Zachodu – nie chcieliśmy czekać z założonymi rękami. Utworzyliśmy nową konspiracyjną organizację, najpierw o nazwie Armia Krajowa – „Wschód”, a potem Związek Obrońców Wolności. W latach 1946–1947 organizacja rozrosła się i objęła swym zasięgiem prawie całe Polesie, w tym Kobryń. Składaliśmy przysięgę na wierność organizacji. Przechowywaliśmy ukrywających się, karmiąc ich i odziewając, wzajemnie wspomagając się w działaniu.

ZOW stosował różnorodne formy działania: od tajnego nauczania historii, języka polskiego, religii, poprzez pomoc powracającym z zesłania, po zbrojny opór w przypadku zagrożenia życia. ZOW uczył, pomagał, podtrzymywał na duchu. Po aresztowaniach i utracie wolności, już w więzieniach i obozach, w Workucie, na Kołymie, Syberii, walczyliśmy nadal w obronie życia i godności ludzkiej, ginęliśmy w strajkach, buntach, ucieczkach. Udowodniliśmy, że w walce z przemocą i państwowym terrorem, nie brakuje Polaków obok zniewolonych narodów państw bałtyckich, Ukraińców, narodów Kaukazu i Azji. W tamtych beznadziejnych i strasznych czasach, zapomniani przez ówczesne państwo polskie, pozostaliśmy uczciwi, czysti i odważni. Do 1989 roku, historia milczała o tych wydarzeniach i o sytuacji Polaków w ZSRR. Teraz możemy o tym mówić i pisać. Powinniśmy z tego korzystać, gdyż bezpośrednich świadków coraz mniej... Wiem, że owocne badania prowadzi szczeciński oddział Instytutu Pamięci Narodowej. W ich wyniku powstała szeroka lista nazwisk. Tu z pamięci przytoczę tylko kilka: Ryszard Snarski, Arjanna Telemian (Radzia), Janina Chodeńska, Jan Kułakowski, Leonard Terpiłowski, Halina Terpiłowska, Stanisław Ostromecki, Roman Ostromecki, Edward Jurkowski, Stanisław Jurkowski, Leonarda Jurkowska-Majewska, Tadeusz Spadniewski, Józef Szeluk.

Bohdan Miłaczewski
Warszawa

Polskie ślady w Kobryniu dzisiaj



Cmentarz żołnierzy polskich, poległych w 1914-1920 r.



Cmentarz katolicki, grób rodziny Aleksandra Mickiewicza, zm. 1873 r.



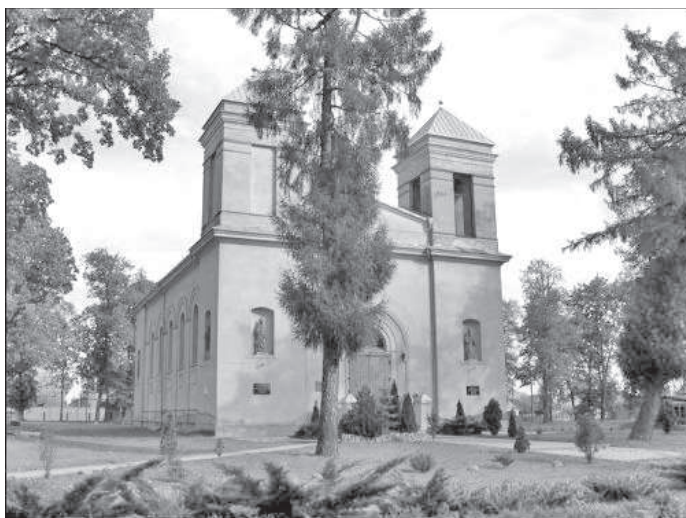
Cmentarz katolicki, pomnik nagrobny rodziny Mickiewiczów



Kościół pw. Zaśnięcia NMP na pocztówkach 1916 r.



i obecnie



Bruk z lat 30-ch XX w.
Ulica przed pałacem ślubów



O likwidacji getta w Kobryniu

Od 1594 do 1944 roku, nasza rodzina Bosiackich, mieszkała na ziemi kobryńskiej. Około 4 km od Kobrynia w kierunku miasteczka Pruzana, za miejscowością Lepiosy, w której stacjonował 83. pułk piechoty im. Romualda Traugutta, znajdował się nasz rodowy majątek Bosiacz. Około 12 km dalej leżał drugi majątek Mołodcze, należący do stryja Antoniego. Tuż przed wojną i w jej trakcie mieszkaliśmy w Kobryniu. Dom nasz, przy ulicy Brzeskiej, sąsiedował z gettem nr 2, które swym zasięgiem obejmowało parę ulic w kierunku Muchawca. W czasie jego likwidacji, kilku mocno pijanych SS-manów, włamało się nad ranem do naszego mieszkania. Całą rodzinę tj. ojca, matkę i trójkę dzieci wyciągnęli z łóżek i zamierzali wygonić na pobliski plac, gdzie gromadzono mieszkańców getta. Od niechybnej śmierci wyratował nas, niemiecki podoficer — komendant znajdującego się po sąsiedzku "Soldatenheimu" — hotelu dla żołnierzy jadących lub wracających z frontu. Zaczął krzyczeć na SS-manów, że zakłócają ciszę nocującym oficerom i że my jesteśmy Polakami.

Po kilku dniach, 15 października 1942 roku rozpoczęła się likwidacja większego getta nr 1. Przed 3 po południu zobaczyliśmy zmierzającą od rynku wielką kolumnę Żydów. Widok był przerażający. Szli nasi znajomi, matki niosły i prowadziły dzieci, ledwo wlekli się starcy i chorzy. Kolumna od rana formowana była w centralnym punkcie getta, próby ucieczek kończyły się śmiercią. Gestapowcy przez tuby informowali, aby zachować spokój, gdyż wszyscy będą przewiezieni do Bełżca (?), gdzie będą mieszkania i praca. Niektórzy wierzyli i zachowywali spokój, do momentu, gdy kolumnę skierowano na ulicę Brzeską, a więc nie w kierunku dworca kolejowego. Kolumna zbliżała się do naszego domu. Dostrzeżliśmy na jej czele razem z rabinami dwóch naszych księży: proboszcza Jana Wolskiego i wikariusza Władysława Grobelnego. Byli to księża wielce szanowani przez obywateli miasta, niezależnie od wyznania — za ich wielkie serce i pomoc, jaką nieśli potrzebującym.

Proboszcz mocno pobity, zakrwawiony, szedł z wysiłkiem, kulejąc. Jak potem dowiedzieliśmy się, że księża zostali aresztowani dwa tygodnie wcześniej, za pomoc jakoby udzielaną Żydom. Gdy moja matka zobaczyła idących, nakazała mi przynieść wody i kubki. Chwyciłem je i podszedłem do kolumny. Mimo swych 15 lat znałem dość dobrze niemiecki. Grzecznie poprosiłem idącego najbliższej księży żołnierza, podając mu dyskretnie paczkę cygaretek „Juno”. Kiwnął przyzwalająco głową i mruknął „aber schnell”. Wraz z bratem, który niósł drugi kubek, podskoczyliśmy do księży. Proboszcz wziął kubek i wręczył go jednemu z rabinów, a wodą z drugiego zaczął przemywać sobie naderwane ucho. Nagle odwrócił się idący na czele kolumny Niemiec. Ryknął: „raus” i silnie uderzył mnie kijem w czoło, poprawiając po plecach. Podskoczył do rabina i księdza, wyrwał kubki i odrzucił. Ja odskoczyłem na chodnik, gdzie otrzymałem kopniaka od cywila. Mimo natychmiastowego przyłożenia zimnego noża, pamiątka w postaci wyczuwalnego małego guzka pozostała mi do dziś. Rysiek Pisula, syn listonosza, a mój rówieśnik również usiłował podać wodę i został przegoniony, ale bez obrażeń na ciele.

Kolumna z ulicy Brzeskiej skręciła w lewo na szosę do Włodawy, a po przejściu ok. 1 kilometra, jeszcze raz w lewo w kierunku majątku Gubernia. W pobliżu szosy przygotowane już były głębokie doły. Na ich skraju wszystkich zamordowano.

Po kilku dniach opowiedziałem o wszystkim przyjacielowi naszej rodziny, księdzu Wacławowi Jaziewiczowi, proboszczowi sąsiedniej parafii w Horodcu. Po ponownym wkroczeniu bolszewików, był on bardzo prześladowany za przynależność do polskiego ruchu oporu (ps. Kapelan). Dwukrotnie skazywany na śmierć. Zaliczył obozy pracy na Syberii. Powrócił do Polski i opowiadał mi o wszystkim w 1958 roku w Bydgoszczy. Zmarł w Lublinie 13 sierpnia 1979 roku. Cześć jego pamięci!

Bogusław Bosiacki

Kobryniacy...

Balbina Świtycz-Widacka

Urodziła się w 1901 roku w Mohylewie nad Dnieprem. Osierocona w wieku 3 lat, została przyszyta przez daleką ciotkę w Kobryniu osobę majątną i samotną. Od dziecięcych lat wykazywała nieprzeciętny talent plastyczny. Już w roku 1922, jako 19-letnia uczennica gimnazjum urządziła w obszernym domu ciotki galerię swych dzieł. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpiła na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, którą ukończyła z wynikiem celującym.

Po powrocie do Kobrynia nauczwała w miejscowych szkołach oraz poświęcała się pracy społecznej (była m. in. komendantką Żeńskiego Hufca ZHP). Ogólnopolski rozgłos przyniosła jej rzeźba popiersia Tadeusza Kościuszki, która w 1932 roku została umieszczona na dawnym carskim cokole w Kobryniu. Pomnik ten przetrwał aż do 1951 roku, kiedy to został zdjęty z cokołu i umieszczony w muzeum krajoznawczym w Brześciu. W 1935 roku stworzyła rzeźbę „Poleszuczka”. Została ona odlana w brązie i wręczona Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu jako dar ziemi poleskiej na imieniny.

W roku 1938 otrzymała stypendium państwowe na wykonanie portretów ówczesnych osobistości stolicy. Rzeźbiła m.in. Aleksandrę Piłsudską (żonę Marszałka), ministra Zyndrama-Kościółkowskiego, generała Kordiana-Zamorskiego.

W 1932 roku zawarła związek małżeński z właścicielem majątku Hliniszcz pod Kobryniem, działaczem społeczno-kulturalnym, Florianem Widackim — bliskim krewnym Marii Rodziewiczówny. W jej też majątku odbyło się huczne wesele.

Rodzina uniknęła wywózki na Sybir, gdyż prawdopodobnie władza radziecka postanowiła wykorzystać talent artystki. Zlecono jej wykonanie rzeźby Czechowa i Stanisławskiego dla teatru w Brześciu, Gorkiego i Czajkowskiego — dla muzeum w Mińsku, Szopena i Beethovena — dla filharmonii mińskiej.

W czasie okupacji niemieckiej, wraz z mężem, który powrócił z Generalnego Gubernatorstwa, gdzie znalazł się po rozwiązaniu jego oddziału

zbrojnego w 1939 roku — rozpoczęła działalność konspiracyjną w AK.

Po zakończeniu wojny państwo Widaccy z rodziną wyjeżdżają do Polski. Mieszkają kolejno w Wyrzysku, Brodnicy (tu umarł i pochowany został jej mąż), Wrocławiu, Giżycku i Olsztynie. Na Warmii i Mazurach mieszkała 20 lat, i ten okres był najbardziej twórczy. Wiele pomników jej dłuta ozdobi miejscowości tej krainy. Umarła w wieku 71 lat w 1972 roku. Olsztyn nie zapomniał o niej. Utworzono stałą galerię jej dzieł oraz nazwano jej nazwiskiem jedną z ulic. Na murach Akademii Rolniczo-Technicznej, z którą była przez lata związana, umieszczona została pamiątkowa tablica z rzeźbą popiersia, wykonaną przez córkę artystki.

Długa jest lista wybitnych postaci z kraju i zagranicy, które jej pozowały. Są to m.in.: profesorowie Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarakiewicz, Elżbieta Barszczewska, Wiech, Jarosław Iwaszkiewicz.

Janina z Połubińskich Miłaczewska

Urodziła się w 1860 roku. Pochodziła z rodu książąt Połubińskich, którzy mieli rozległe dobra na zachodniej Ukrainie oraz na Białorusi w rejonie Słucka. W 1880 roku wyszła za mąż za Konstantego Miłaczewskiego, właściciela kilku majątków ziemskich w powiecie kobryńskim (m.in. Stara Wieś i Zaderć w gm. Oziaty, Bolkowo w gm. Żabinka, Perki w gm. Pruska). Mieli sześćoro dzieci. Troje zmarło w latach dziecięcych. Są pochowani na cmentarzu w Kobryniu, gdzie znajdują się ich nagrobki, które szczęśliwym zrządzeniem losu przetrwały ponad sto burzliwych lat, jak nigdy w historii, obfitych we wojny i rewolucje. Ich imiona to Halinka, Zygmunt, Witold.

W rodzinie była ciągle żywa pamięć o utraczonej przed przeszło wiekiem Ojczyźnie — następne dzieci otrzymały imiona: Władysław, Bolesław, Jadwiga na cześć najznamienitszych polskich królów, twórców minionej potęgi Rzeczypospolitej.

Konstanty zmarł w 1912 roku — wdowa została z trojgiem małych dzieci (Jadwiga — 9, Bolesław

— 10, Władysław — 11 lat) i kilkoma folwarkami na terenie całego powiatu. (łącznie ok. dziesięć tysięcy hektarów — najwięcej w powiecie). Była osobą energiczną i radziła sobie z zarządzaniem majątkami. W 1915 roku została ewakuowana z dziećmi do Moskwy. Rodzina powróciła w 1919 roku na zgłiszczą rozgrabionej ojcowizny. Musiała sobie sama radzić w tych trudnych latach wojny polsko-bolszewickiej, ponieważ starszy z synów był w wojsku. Po jego powrocie matka zapisała dzieciom poszczególne folwarki. I tak, najstarszy Władysław otrzymał Zaderć (ok. 800 ha), następny Bolesław, sąsiednie Bolkowo (ok. 750 ha), Jadwiga — Perki (ok. 300 ha). Rodowy majątek Stara Wieś (ok. 6000 ha) pozostał we wspólnym władaniu matki i dzieci. Niestety stary dwór został spalony przez kozaków w 1915 roku i nie został odbudowany. Głównym bogactwem Starej Wsi były lasy, bagna i wody. Prowadziło się tu gospodarke leśną, rybacką i łowiectwo. Z chwilą objęcia majątku Perki przez córkę Jadwigę, matka zamieszkała tam wraz z nią. Pomagała w gospodarstwie, zajmowała się wnuczętami. Umarła w 1940 roku i pochowana została w grobie rodzinnym na cmentarzu w Kobryniu.

Zygmunt Ziółkowski
– ostatni burmistrz Kobrynia
(fragmenty wspomnień syna)

Bujne i burzliwe było życie mego ś.p. Ojca. Urodził się w 1889 roku w Kolnie. Po uzyskaniu matury rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Ścigany przez carską policję z powodu konspiracyjnej działalności niepodległościowej, uciekł przez Hamburg do Chile (jako pasażer na gapę). Tu miał się różnych zawodów. Był poszukiwaczem złota, kowbojem, farmerem, mechanikiem. Ale też bezrobotnym włóczęgą. Na wiadomość o wybuchu wojny w Europie, wrócił do Warszawy i 20 listopada 1915 roku wstąpił do Legionów (II pułk ułanów) Po tzw. „kryzysie przysięgowym” (odmowa złożenia przysięgi na wierność zaborcom), internowany w Szczypiornie. Po odzyskaniu niepodległości, uczestniczył w wojnie z bolszewikami jako sierżant podchorąży (d-ca plutonu w I pułku szwoleżerów). Dwukrotnie ranny. Odznaczony orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych

i medalami. Za zasługi dla odzyskania niepodległości, Państwo Polskie obdarowało go ziemią na Wołyniu (ok. 35 ha). W 1922 roku ożenił się z Reżyną Siennicką. Rok później przyszedł na świat ja, w 1927 r. — siostra Zofia, a w 1929 r. — brat Zygmunt. Brak kapitału oraz kryzys gospodarczy, spowodowały konieczność rezygnacji z uprawiania roli. Ojciec podjął służbę państwową. Najpierw w charakterze wójta w gminie Kamienica Żyrowiecka pod Brześciem, a potem burmistrza Łunińca. Dużo dla niego zrobił. Zaniebane, tonące w błocie i sennym marazmie, leżące na skraju Polesia miasteczko wprowadził do cywilizowanego świata. Ojciec był pełnym życia mężczyzną, lubił czasem wypić w dobrym towarzystwie, nie stronił od płci pięknej, ale miał swoje niewzruszone zasady: uczciwość i prawdomówność. I tak powstał konflikt starosta–burmistrz. Starosta krył szwindle związane z handlem drewnem — burmistrz sprawę ujawnił. Konflikt dotarł do wojewody poleskiego (Kostek-Biernacki). Ponieważ wszyscy mieli za sobą legionową przeszłość, wojewoda nie chciał nikogo krzywdzić i zaproponował radzie miejskiej Kobrynia kandydaturę Ojca na stanowisko burmistrza. Rada, po zbadaniu efektów pracy Ojca w Łunińcu jednogłośnie kandydaturę przyjęła. Dla Ojca był to z jednej strony awans, gdyż Kobryń był znacznie większym miastem od Łunińca, ale i nowe trudne wyzwanie. Kasa miejska była pusta i w dodatku zadłużona. Miasto zaniebane, bez zaplecza przemysłowego, z dużym bezrobociem. Ojciec z wielkim zapałem przystąpił do działania. Sądzę, że wykorzystał przyjaźnie nawiązane w Legionach. Miasto zostało oddłużone, dostało subwencje inwestycyjne i spore fundusze na pomoc socjalną dla ludności. Zbudowano dużą betoniarnię, która dała miejsca pracy dla kilkunastu ludzi, a jej produkcja (trylinka) posłużyła do budowy trwałej nawierzchni ulic. W 1938 roku zabrano się do renowacji wizytówki miasta — rynku. Zlikwidowano obskurne kramy, tonące powyżej kostek w błocie zmieszonym z końskim nawozem. W zamian zbudowano coś w rodzaju sukiennic. Rynek pokryto trylinką, którą utwardzono także nowe targowisko przy moście, co ułatwiło dojazd furmanek chłopskich i zapobiegało zanieczyszczeniu miasta.

Elektrownia miejska wymagała także pilnej modernizacji. Burmistrz załatwił długoterminowe

kredyty i 50% dotacji rządowej. W firmie Steyer w Austrii zakupiono nowoczesny agregat i przystąpiono do prac ziemnych, które ukończono tuż przed wybuchem wojny. Sowietów budowę ukończyli. W 1938 roku rozpoczęto budowę drugiego mostu na Muchawcu. Miał on zwodzone prześło pozwalające na żeglugę większych jednostek.

Polesie dla mieszkańców Warszawy, Poznania czy Katowic było krainą egzotyczną, a runo leśne: borówki i grzyby oraz „wiuny” tj. suszone piskorze były nie lada rarytasem. Z Ojca inicjatywy powstało przedsiębiorstwo skupu i przerobu tych artykułów. Wziął to w swoje ręce Cukierman wiceburmistrz i właściciel przedsiębiorstwa autobusowego obsługującego prawie całe województwo. Tenże bardzo źle zapisał się w mojej pamięci po rozpoczęciu wojny. Mianowicie Ojciec postanowił nas tj. Mamę mnie i rodzeństwo ewakuować na wschód. Tak samo myślał i wiceburmistrz Cukierman, z tą różnicą, że sam się również ewakuował! Trzeciego września wsiedliśmy do autobusu Cukierniana i z nim i jego liczną rodziną (cały autobus) ruszyliśmy na wschód. Jak się wkrótce okazało w ramiona Armii Czerwonej. Przy wyjeździe

słyszałem jak Cukierman przyrzekał Ojcu, że zajęmie się naszą rodziną jak własną. Dotarliśmy do Dawigródka, gdzie nasi współtowarzysze podróży, wraz z miejscowymi Żydami, ochoczo przystąpili do budowy bramy triumfalnej i powitania wystraszonych krasnoarmiejców wkraczających właśnie do Polski. Następnego nocy autobus z Cukiernianem i jego krewnymi ulotnił się. Zostaliśmy sami. Tak zakończyła się jego opieka nad nami.

Ojciec pozostał w Kobryniu, by bronić swego miasta. Jako oficer kawalerii został przydzielony do zwiadu konnego. Od tego momentu dalsze losy związał Ojciec z gen. Kleebergiem i jego SGO Polesie. Pod Kockiem stoczył ostatnią bitwę Kampanii Wrześniowej. Tu dostał się do niewoli i został umieszczony w oflagu IIB w Arnswald (Choszczno) potem Grossborn. Na szczęście Niemcy nie rozstrzelali oficerów i Ojciec po wojnie wrócił do kraju i osiedlił się w Widzimie pod Słupskiem, gdzie otrzymał siedmiohektarowe gospodarstwo. Zmarł w 1963 roku.

Bohdan Miłaczewski
Warszawa

Bitwy o Kobryń

W miejscu dzisiejszego Kobrynia osadnictwo istniało już we wczesnym średniowieczu. Sprzyjało temu bezpieczne położenie przy ujściu rzeki Kobrynki do Muchawca. Mimo to, w czasie wędrówek ludów, ludność miejscowa była narażona na styczność z przemieszczającymi się plemionami. Brakuje historycznych przekazów na temat ewentualnych potyczek między tubylcami a przybyszami. Należy jednak przypuszczać, że takowe były, gdyż wykopaliska archeologiczne wykazują, że zamieszkiwali tu najpierw Bałtowie (pierwsza połowa I tysiąclecia n.e.), a następnie (w drugiej połowie tegoż tysiąclecia) wschodniosłowiańskie plemię Dregowinów (Ochmański, 1982). Wyparcie Bałtów z pewnością nie odbyło się drogą pokojową.

Jeden z potomków Gedymina przyjmuje tytuł Księcia Kobryńskiego. Księstwo to, jako lenno Wielkiego Księstwa Litewskiego trwa ponad 150

lat (Kaczanowski i in., 2003). Po śmierci księżnej kobryńskiej Anny, w 1518 roku, decyzją króla Zygmunta Starego, zostaje przekształcone w starostwo będące bezpośrednią własnością „stołu królewskiego”. Władą nim królowa Bona, potem jej córka Anna Jagiellonka. Przez 130 lat trwało spokojne życie mieszkańców oraz rozwój gospodarczy ziemi kobryńskiej.

Pod wpływem powstania Chmielnickiego na Ukrainie, w 1648 roku na wsi kobryńskiej zaczyna się ruchawka chłopów przeciw szlachcie, krwawo stłumione przez hetmana ks. Janusza Radziwiłła. Niepokoje trwały jednak aż do 1661 roku (Ochmański, 1982).

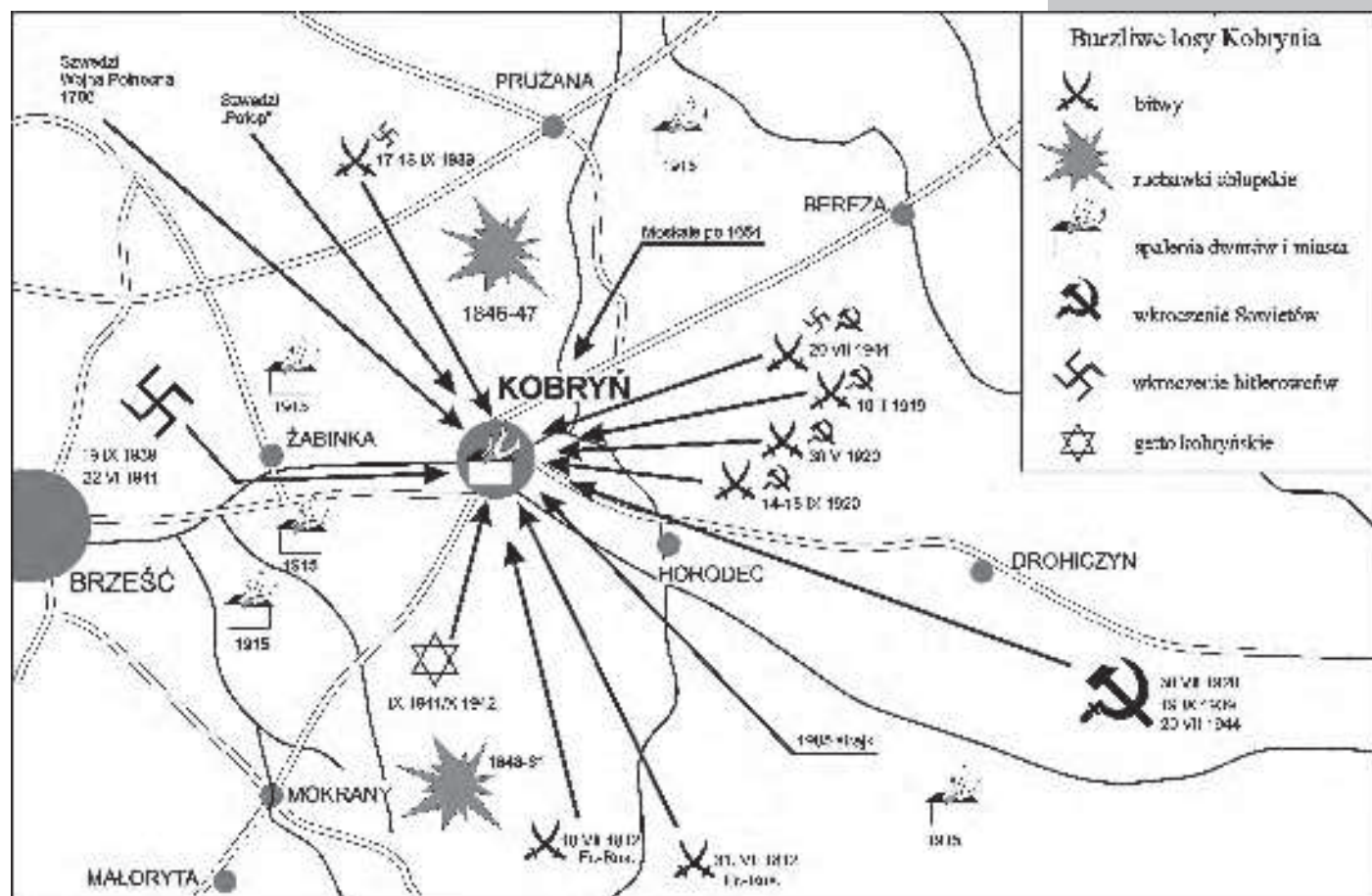
Po zjednoczeniu Ukrainy z Rosją (1654) zaczęły się **najazdy Moskali**, którzy opanowali nawet Brześć. Przez Kobryń było im po drodze. Potem było już tylko gorzej; włączyli się **Szwedzi** efekt

– spustoszony i ograbiony Kobryń. Potem ograbiają miasto zbuntowane na skutek nieotrzymania żołdu **wojska litewskie**. Względny spokój, jaki nastąpił po roku 1664 (Gierowski, 2003), został przerwany przez Wojnę Północną. W **1706** roku wojska szwedzkie, a potem maruderzy ograbiają Kobryń. Ciągłe wojny XVIII wieku i ogólny upadek Polski w czasach saskich doprowadziły do całkowitego upadku miasta. W rezultacie król Stanisław August Poniatowski znosi prawo magdeburskie, a administrowanie powierza podskarbiemu Antoniemu Tyzenhauzowi. Następuje pewien wzrost znaczenia miasta – Kobryń staje się stolicą guberni kobryńskiej.

W latach konfederacji barskiej (1768–1772), kiedy wojska Aleksandra Suworowa tropiły partyzantów-konfederatów, na ziemi kobryńskiej nic szczególnego się nie działo. Mieszkańcy Kobrynia mogli mówić

o szczęściu, gdyż spotkanie z żołnierzami Suworowa do przyjemności nie należało, mimo, że działali oni w obronie władzy królewskiej Stanisława Augusta.

Z żołnierzami Suworowa i z nim samym, mieszkańcy ziemi kobryńskiej spotkali się w czasie powstania kościuszkowskiego. **Trzeciego września 1794 roku** korpus Suworowa (ok. 13 tys. żołnierzy i 60 dział) maszerujący na Warszawę natknął się pod Dywinem (ok. 40 km od Kobrynia), na straż przednią dywizji gen. Karola Józefa Sierakowskiego (ok. 5 tys. żołnierzy i 28 dział) broniącej przeprawy przez Bug. Ten fakt oraz konieczność pogoni za wojskami Sierakowskiego, mógł spowodować, że mieszkańcy Kobrynia, który nie był broniony, uniknęli późniejszego losu mieszkańców Pragi. Do bitwy doszło pod Krupczycami. Dywizja Sierakowskiego poniosła porażkę i wycofała się na zachód (Kitajczuk,



2002). Mimo, że wojsko Suworowa też ucierpiało, mogło się jednak wkrótce „wsławić” zdobyciem i rzezią Pragi. Pod Kobryniem pozostały mogiły poległych. Podobno straty polskie wyniosły ok. 3000 poległych, głównie niezaprawionych w bojach kosynierów (Rzeczpospolita wirtualna, 2004).

Po III rozbiorze Polski zaczęły się „spokojne i szczęśliwe” lata w państwie carów. Kobryń stał się miastem powiatowym, a zasłużony gen. feldmarszałek graf Aleksandr Suworow otrzymał od Katarzyny II posiadłość ziemską. Władzał nią do 1800 roku (Kitajczuk, 2002), a władza radziecka i prezydent suwerennej Białorusi – Łukaszenko zadbali, żeby dzisiaj można było oglądać pamiątki po tym zasłużonym dla carskiej Rosji człowieku. W dworku, w którym mieszkał, jest teraz muzeum. Trudno dociec, jakie zasługi dla republiki Białoruś sankcjonują utrzymywanie muzeum carskiego siepacza.

Spokój trwał do 1812 roku, kiedy to Napoleon ruszył na Moskwę. Wojska francuskie zajmują kolejno Brześć, Kobryń (**10 lipca**) i Janów Poleski. Generał Klengel, dowódca 4 tysięcznego oddziału wojsk saskich (sojuszników Napoleona), spodziewając się ataku Rosjan z południa, umocnił podejście z tego kierunku, a klasztor Spasski przekształcił w twierdzę. Atak rzeczywiście nastąpił (15 lipca). Sasi bronili się w mieście, które zostało prawie doszczętnie zniszczone, ale okrażeni musieli się poddać (Kitajczuk, 2002). Straty ich były dotkliwe – prawie 50%. Strat rosyjskich autorzy rosyjscy (Plisko i Kozłow, 1987) nie podają. Jest to typowe dla historiografii rosyjskiej.

31 lipca kontratak wojsk napoleońskich spod Prużany (Prużana – nazwa miasta z okresu międzywojennego, obecnie Prużany – przyp. red.) zmusił wojska rosyjskie do opuszczenia Kobrynia, który dostał się w ręce Francuzów. Straty wśród ludności cywilnej musiały być znaczne, bowiem w całym mieście ocalało zaledwie 79 domów (Kitajczuk, 2002).

Powstanie listopadowe na terenie Polesia ograniczyło się do wystąpień drobnej i średniej szlachty (Kieniewicz, 1975). Po powstaniu przyszła fala represji (Kitajczuk, 2002). Represje te na tzw. „ziemiach zabranych” były **ostrzejsze niż w Królestwie Polskim. Skonfiskowano ok. 3000 majątków, ok. 50 tys. rodzin drobnoszlacheckich przesiedlono w głąb Rosji; szlachtę zaściankową zaciągnięto do służby wojskowej** (Kieniewicz, 1975). „Spokojne i uporządkowane”

życie mieszkańców Kobrynia, (największy spokój i porządek, jak wiadomo, panuje w więzieniu) toczyło się do powstania styczniowego 1863 roku. Zdarzały się, co prawda, za przykładem nieodległej Galicji, wystąpienia chłopów przeciw obowiązkowi (1846–1847), ale żandarmeria carska działała sprawnie. Wiosna Ludów 1848 roku w zaborze pruskim i austriackim odbiła się na Polesiu w postaci patriotycznego podniecenia części młodzieży (Kieniewicz, 1975).

Powstanie styczniowe na Polesiu miało charakter typowo partyzancki. Część ludności wiejskiej sprzyjała powstańcom, część, przeciwnie, współpracowała z Moskalami (Kieniewicz, 1975; Zieliński, 2003).

W Kobryniu stacjonował garnizon wojsk rosyjskich, z którego wychodziły ekspedycje karne, spędzano jeńców, dokonywano egzekucji (Kitajczuk, 2002). Zakres represji po powstaniu był podobny, jak w roku 1832.

Reformy sprzyjające rozwojowi kapitalizmu, a zwłaszcza reforma uwłaszczeniowa, spowodowały rozwój miasta. Przeprowadzono m.in. kolej żelazną (Kitajczuk, 2002). Względnie spokojne, ale biedne życie mieszkańców zakłóciła odległa wojna rosyjsko-japońska (1904–1905) oraz rewolucja 1905 roku. 17 września 1905 roku odbyła się antycarska demonstracja, rozpędzona przez kozaków (Kitajczuk, 2002). Strajk kolejarzy w grudniu tego roku odciął Kobryń od świata. Na wsi trwały wystąpienia chłopów przeciw ziemianom – dochodziło do palenia dworów (Pobóg-Malinowski, 1985). Spokój udało się zaprowadzić przez wprowadzenie pewnego rodzaju stanu wyjątkowego, który trwał do 1908 roku.

Pierwsza wojna światowa spowodowała bezpośrednie, tragiczne zmiany w życiu mieszkańców w rok po rozpoczęciu. Po oddaniu Niemcom bez walki twierdzy brzeskiej, Moskale wycofali się, paląc za sobą, co się dało, zwłaszcza stodoły ze zbiorami z zakończonych właśnie żniw i zmuszając ludność do ewakuacji na wschód. Niemcy zajęli Kobryń 22 sierpnia 1915 roku.

Linia frontu pozostawała, aż do pokoju brzeskiego (marzec 1918 r.) niedaleko na wschód od Kobrynia. Na ziemi kobryńskiej nie było jednak działań wojennych. Funkcjonowała niemiecka, wojskowa administracja tzw. Ober-Ost. Taki stan trwał nadal, nawet po rozejmie 11 listopada z Ententą, chociaż postanowienia tego rozejmu nakazywały Niemcom wycofanie się na zachód. W po-

bliżu dawnej linii frontu nawet współpracowali z bolszewikami.

Nowe państwo polskie objęło ziemię kobryńską metodą kolejnych faktów dokonanych. Historyk Władysław Pobóg-Malinowski (1985) opisuje to następująco: „Mocarstwa zachodnie wszakże nie spieszyły zbyt z interwencją (przeciw Niemcom – przyp. KM) i później w nacisku nie wykazywały potrzebnej stanowczości, by złamać opór Niemców – wyraz ich antypolskiej solidarności z Czerwoną Moskwą. Zabiegi polskie o interwencję nie ustępowały wszakże, wreszcie w początku 1919 roku dały ten skutek, że Niemcy na żądanie marsz. Focha zobowiązali się nie wpuszczać już bolszewików na pozostałe resztki obszaru okupowanego i oddawać je stopniowo Polakom. Na tej podstawie oddziały polskie – ryzykując jeszcze walkę z Niemcami – 8 lutego zajęły zrazu Brześć, po paru dniach Białystok, w czasie zaś między 9 a 14 lutego przesunęły się przez strefę okupacji niemieckiej i stanęły na linii od Skidla, pod zajętym jeszcze przez Niemców Grodnem, poprzez Zelwę i Prużanę, do Kobrynia. W parę dni po obsadzeniu tej linii przez oddziały polskie, pojawiły się przed nimi przednie straż Armii Czerwonej. Próba zepchnięcia placówek polskich spowodowała wymianę pierwszych strzałów. Momenty te o świcie **17 lutego 1919 roku stały się początkiem wojny polsko-sowieckiej**”.

Według nowych badań historycznych, marszałek Piłsudski oraz bardzo mała grupa osób ze sztabu wiedziała o sowieckich planach ataku na Polskę, gdyż polskim kryptologom udało się złamać rosyjskie szyfry. Wobec znajomości planów przeciwnika starano się utrzymywać zajęte już pozycje. *Nieświadoma tego opozycja polityczna atakowała Piłsudskiego w Sejmie za dążenie do wojny.*

Należy nadmienić, że we wrześniu 1918 roku została założona w Kobryniu partia bolszewicka. Jej działalność została mocno ograniczona z chwilą zajęcia Kobrynia przez Wojsko Polskie. Nastąpiło to 10 lutego 1919 r. Działający tam 4. pułk piechoty wziął w Kobryniu do niewoli sztab korpusu ukraińskiego i dwie kompanie piechoty. Świadczy to także o skomplikowanej sytuacji wojskowo-politycznej na tym terenie (Odziemkowski, 1989). Sabotaże bolszewików, zwłaszcza na linii kolejowej zdarzały się jednak nadal (Kitajczuk, 2002).

W marcu 1919 roku udało się odrzucić bolszewików na wschód, aż pod Pińsk i Lidę, więc bezpośrednie zagrożenie sowiecką kawalerią dla ziemi

kobryńskiej ustało. Tu trzeba wspomnieć, że pojęcie frontu na terenie Polesia nie oznaczało frontu pozycyjnego. Ze względu na ukształtowanie terenu (bagna, lasy), pomiędzy ośrodkami skupienia wojsk istniały znaczne odległości. Kawaleria obu stron poprzez te „dziury” mogła dokonywać krótkotrwałych zagonów. Nastąpił rok 1920 i mieszkańcy ziemi kobryńskiej wkrótce znowu spotkali się z Moskalami – teraz bolszewikami. A nie były to w miarę karne wojska Suworowa.

Grupie gen. Władysława Sikorskiego nie udało się zatrzymać „bolszewickiej nawały” nacierającej w kierunku Prużany i Kobrynia. Wycofała się ona we względny porządek do Brześcia, a potem dalej na zachód, gdyż sytuacja na innych odcinkach frontu nie pozwoliła na wydanie bitwy pod Brześciem; groziło to okrążeniem. Ten względny porządek zaistniał m.in., dlatego, że 30 lipca, 63. i 66. pułki piechoty (z 16. Dywizji Piechoty) pod Ogrodnikami stoczyły zwycięską walkę z 30. Brygadą Strzelców Armii Czerwonej (Odziemkowski, 1989; *Dzieje oręża ...*, 2000). Jednak także tego dnia Armia Czerwona zajęła Kobryń. Zorganizowano natychmiast Komitet Wojenno-Rewolucyjny (Kitajczuk, 2002). Ten zajął się przede wszystkim rekwizycją i reglamentacją żywności. Znowu zadziało równanie: Władza sowiecka + reglamentacja = głód.

Kłęska bolszewików pod Radzyminem i ich paniczna ucieczka nie oznaczała jednak, że odzyskanie Kobrynia dla Polski było łatwe. Po zakończeniu bitwy pod Warszawą 4. Armia WP pod dowództwem gen. L. Skierskiego obsadziła front wzdłuż linii kolejowej Bielsk–Brześć–Włodawa; 15. Dywizja Piechoty została zgrupowana w rejonie Kleszczele–Wysokie Litewskie, 14. Dywizja Piechoty zajęła odcinek Wilamowicze–Brześć, a 11. i 16. Dywizje Piechoty – odcinek od Brześcia aż po Włodawę. W centrum odcinka 4. Armii gen. Skierskiego działała nowo zorganizowana bolszewicka 4. Armia (48. i 57. Dywizja Strzelców, 17. Dywizja Kawalerii). Natomiast na tyłach frontu kończyły koncentrację 19. i 55. Dywizja Strzelców Armii Czerwonej. Przed skrzydłowymi dywizjami także nie występowała próżnia; przed pozycjami 15. Dywizji Piechoty stała 17. Dywizja Strzelców, a przed 16. Dywizją Piechoty, w rejonie Włodawy – 58. Dywizja Strzelców z 12. Armii bolszewickiej. Dzięki nasłuchom radiowym gen. Skierski znał plany uderzenia na Brześć. Uprzedził ich realizację przez swoje wcześniejsze wypady. Oddziały 14. Dywizji Piechoty opanowały 8 września Żabinę.

11. Dywizja Piechoty ruszyła w kierunku Olchówki i odniosła nocą 10/11 września duży sukces pod Mokranami, gdzie doszczętnie zniszczono silny oddział ekpedycyjny 12. Armii. W tym czasie 16. Dywizja Piechoty WP, tocząc walki, dotarła do rejonu Małoryty. Gen. Skierski nakazał wykonać 11 września koncentryczne uderzenie na Kobryń. Po złamaniu oporu 57. Dywizji Strzelców, nocą 11/12 września pułki polskie zajęły Kobryń. Natomiast 16. Dywizja Piechoty obsadziła linię Muchawca. Bolszewicy jednak nie dali za wygraną i już 15 września siłami trzech dywizji strzelców (!) uderzyli na Kobryń. W nocy z 15 na 16 września zbudowali most i przeprawili na prawy brzeg Muchawca większość 19. Dywizji Strzelców. O świcie zaatakowali 57. pułk piechoty. Jego dowódca pułkownik A. Szylling, mimo ciężkiej rany, zachęcał żołnierzy na pierwszej linii do wytrwania. Pułk skutecznie zahamował natarcie, ale płk Szylling zmarł wkrótce w Kobryniu. Bolszewicy zaatakowali także pozycje 16. Dywizji Piechoty nad Muchawcem siłami swojej 57. Dywizji Strzelców i 17. Dywizji Kawalerii i przejściowo odrzucili polskie wojska na zachód, ale już 17 września, dzięki ściągniętym odwodom, odzyskano poprzednie pozycje. Straty polskie pod Kobryniem wyniosły w dniach 15/17 września ponad 500 poległych, co świadczy jak krwawe i zacięte były to walki.

Kobryń był ciągle zagrożony, więc gen. Skierski rozkazał wykonać wypad odciażający na północ, na Prużanę. Grupa gen. M. Milewskiego siłami części 32., 58. i 59. pułków piechoty w nocy z 18. na 19 września zajęła Prużanę. Walki w tym rejonie trwały do 22 września. Polacy utrzymali Prużanę, mimo kontrataków 117. i 48. Dywizji Strzelców. Zdobyto 28 karabinów maszynowych i wzięto do niewoli około 2000 jeńców. W tej sytuacji bolszewicy zmuszeni zostali do obrony na linii Prużana–Horodec, skąd po ciężkich walkach, z użyciem artylerii, zostali odrzuceni na wschód. Po zdobyciu Horodca 24 września, przez oddziały 16. Dywizji Piechoty, bolszewicy przystąpili do odwrotu na Berezę Kartuską–Słuck. Pozwoliło to dowództwu polskiemu na spokojne przygotowanie do bitwy nad Niemnem. Zajęcie Kobrynia zagroziło także północnemu skrzydłu armii bolszewików na Wołyniu. Z podanego wyżej opisu wynika, że walki o Kobryń miały poważny wpływ na dalsze operacje wojenne. W mniejszej skali toczyły się ciężkie starcia pod Dywinem (na południe od Kobrynia). 14–15 września dwa bataliony

64. pułku piechoty pod dowództwem kapitana L. Bocińskiego zatrzymały natarcie bolszewików, co umożliwiło 16. Dywizji Piechoty zwycięskie zakończenie walk pod Kobryniem. Stracono ok. 50 poległych i rannych. Wzięto 300 jeńców i 4 karabiny maszynowe (Odziemkowski, 1989; Dzieje oręża polskiego, 2000).

Opisane tu w skrócie krwawe boje pod Kobryniem upamiętnia napis na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Bolszewicy wycofali się na wschód i zatrzymali polskie natarcie na Kanale Królewskim, na wschód od Kobrynia. Walki w tym rejonie trwały 14 dni i zakończyły się odwrotem bolszewików. Należy nadmienić, że w tym czasie na ziemi kobryńskiej działała sprzymierzona z Wojskiem Polskim Białoruska Armia Ochotnicza pod dowództwem gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Wojsko to opóźniało natarcie bolszewików w lipcu, a w 26 września opanowało Pińsk, co zdeorganizowało odwrót Armii Czerwonej. Działania te nie są w Polsce znane w stopniu, na jaki zasługują.

Wojna polsko-bolszewicka zakończyła się oficjalnie 18 marca 1921 roku, podpisaniem traktatu pokojowego w Rydze. Granicę ustalono na linii od Dźwiny do Zbrucza, a więc dość daleko na wschód od Kobrynia. Na ziemi kobryńskiej zapanał spokój, lecz dalej na wschód stan zagrożenia trwał aż do **1926 roku**, tj. do utworzenia Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), który zapobiegł przenikaniu dywersyjnych band przez nowo utworzoną granicę. Rozpoczęło się spokojne, choć nadal biedne życie. Na kresach wschodnich nie interesowano się szerzej niepokojami szerszego świata. Spokoju strzegła Policja Państwowa. W odwodzie dla niej było stacjonujące tu wojsko: 83. pułk piechoty strzelców poleskich w Lepiosach pod Kobryniem i 25. pułk ułanów wielkopolskich w Prużanie. Dzięki temu oraz postawie mieszkańców, zarówno Polaków jak i ludności tubylczej nie odnosiła większych sukcesów radiowa propaganda sowiecka oraz działalność komórek nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi.

Pierwsza (utajniona) mobilizacja w marcu 1939 roku, zniszczenie przez niemieckich dywersantów zwodzonego mostu na Muchawcu w Kobryniu, rozpoczęcie szkolenia ludności w samoobronie, ćwiczenia służb samoobrony oraz zbiórka środków na Fundusz Obrony Narodowej (ziemia kobryńska ufundowała karabin maszynowy), wszyst-

ko to uprzytomniło mieszkańcom niebezpieczeństwo wojny.

Dla Kobrynia oddalonego przecież znacznie od granic zachodnich i północnych zaczęła się ona także **1 września**; o 6 rano samolot niemiecki zrzucił kilka bomb. Później nie było już bombardowań, lecz niemal codziennie samoloty ostrzeliwały miasto i nawet pojedynczych ludzi. Zabrakło obrony przeciwlotniczej. Pamiętajmy, że w wyniku marcowej mobilizacji najlepsze jednostki wojskowe, m. in. 30. poleska dywizja piechoty oraz 25. pułk ułanów z Prużany zostały przemieszczone na zachód i północ.

Według planów Naczelnego Dowództwa rejon Kobrynia miał być broniony przez zorganizowaną z oddziałów zapasowych Dywizję „Kobryń” pod dowództwem płk. Adama Eplera. Była to niestety dywizja tylko z nazwy, nie zdążono bowiem doprowadzić jej stanu osobowego do pełnych etatów wojennych.

Nieprzyjaciel pojawił się 14 września. Od północy nadciągał 19. Korpus generała Guderiana. Tego dnia rozpoczęła się krwawa bitwa pod Żabiną. Dywizja Piechoty „Kobryń”, w składzie, której mąż Jadwigi Miłaczewskiej, płk Anatol Dworenko-Dworkin z majątku Perki dowodził kawalerią dywizyjną, przez 3 dni uniemożliwiała oddziałom tego korpusu przeprawę na południowy brzeg Muchawca. Następnie wycofała się na przedpol Kobrynia. 17 września oddziały rozpoznawcze niemieckiej 2 DPZmot. przekroczyły Muchawiec i wzdłuż szosy nacierały na Kobryń. Przez cały dzień toczono walki na przedpolach Kobrynia. Polskie oddziały skutecznie broniły się w oparciu o wieś Perki i Piaski, zmuszając napastników do wycofania się pod Żabinę. Zasadnicze natarcie na miasto rozpoczęło się 18 września rano. Walki toczyły się przez cały dzień, a Kobryń nie został zdobyty. **W obronie Kobrynia wyróżniła się ochotnicza kompania złożona m.in. z kobryńskich licealistów i gimnazjalistów.** Polskim oddziałom pomagało wielu cywilów. Niektórzy z nich zostali za to rozstrzelani przez niemieckich żołnierzy. Tak zginął na progu swego domu właściciel majątku Gubernia, Tadeusz Zieliński.

W nocy Dywizja Piechoty „Kobryń” wycofała się na południe, dołączając do tworzonej przez gen. Franciszka Kleeberga – Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”. W jej składzie zakończyła swój szlak bojowy w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej, pod Kockiem – 6 października 1939 roku.

W bitwie o Kobryń poległo 127 polskich żołnierzy w tym 7 oficerów i podchorążych. Miejsce ich pochówku nie jest znane. Warto tu przytoczyć relacje naocznego świadka bitwy, 14-letniej wówczas harcerki Heleny Arciszewskiej: „O świcie, kiedy bój ustał, ja w swoim obowiązku harcerskim i siostry Andrzejczakówny, wyszłyśmy z piwnicy i zaczęłyśmy się przekradać na pole bitwy. Za nami pospieszyły nasze matki. Niemcy swoich rannych już sprzątnęli, a nasi leżeli. Niemcy zaczęli do nas strzelać. Ale pani Andrzejczakowa, będąca z pochodzenia Austriaczką, zaczęła ich po niemiecku prosić, aby pozwolili wziąć naszych rannych. Niestety mogłyśmy zabrać tylko kilku i zaciągnęłyśmy ich do szatni (gimnazjum, przyp. KM). Udzielałyśmy im możliwej pomocy, ale to było niewiele w tych warunkach. Rano przyszli Niemcy. Kazali wszystkim wyjść, kierując mężczyzn na jedną stronę, kobiety na drugą, rannych kazali przewieźć do pobliskiego szpitala. Nie wiadomo, co by było, gdyby w krótkim czasie nie pojawili się Sowieci. Starszyzna sowiecka i niemiecka uściśnęła sobie ręce, jakoś tam porozmawiali, po czym Niemcy pożegnali się i pojechali w stronę Brześcia. Sowieci zostali” (Arciszewska-Jakubowska, 2001).

19 września do miasta wkroczyli Niemcy, a 22 wycofali się na zachód wpuszczając Armię Czerwoną zgodnie z postanowieniem układu Ribbentrop-Mołotow. Radośnie i triumfalnymi bramami przywitali ją miejscowi Żydzi i komuniści, których pojawiło się zaskakująco dużo.

Odejście Dywizji „Kobryń” nie zakończyło walk w powiecie. 21 września w Horodle (21 km na wschód) wycofujące się pododdziały GO „Polesie” stoczyły walkę z piechotą i czołgami 32. brygady pancernej przebijając się na południowy zachód. Zostawiona (chyba przez zapomnienie) ochrona mostu kolejowego jeszcze 22 września stoczyła potyczkę z sowieckimi samolotami, zrzucającymi ulotki i z czołgami. W tym samym dniu garnizon sowiecki w Antopolu, ok. 30 km na wschód został zaatakowany przez nieokreślony polski oddział i zlikwidowany. Uwolniono rannych polskich jeńców pochodzących z transportu kolejowego jadącego na wschód.

Tragiczny był często los przebijających się na zachód małych grup żołnierzy. Byli napadani i mordowani przez komunistyczne bandy dywersyjne, często przy udziale regularnych jednostek Armii Czerwonej. Do takiego zdarzenia doszło we wsi Oziaty, na zachód od Kobrynia. Wycofujących

się żołnierzy, policjantów i harcerzy ostrzelali „tutejsi”. Żołnierze odpowiedzieli ogniem. „Tutejsi” ściągnęli z szosy brzeskiej sowieckie czołgi. Po krótkiej walce wszystkich wymordowano. Więcej takich makabrycznych zdarzeń jest opisanych w książce Kitajczuka (2002).

Natychmiast rozpoczęły się aresztowania, a często i mordowanie ziemian, osadników wojskowych i inteligencji. Działania te były po części spontaniczne na zasadzie hasła bolszewików: „grab zagrabione”, ale przede wszystkim, planowe na podstawie list opracowanych przez NKWD, przy wydatnej pomocy miejscowych komunistów i znacznej, niestety, części ludności pochodzenia żydowskiego.

22 czerwca 1941 r. o 4 rano spadły pierwsze bomby na lotnisko wojskowe w Kobryniu. Bombardowanie to dotknęło także miasto. Kilkanaście domów zostało zniszczonych, zginęła pewna ilość mieszkańców. *Paradoksalnie część ludności odniosła z bombardowania pewne korzyści, zbierając z powierzchni Kanału Królewskiego ropę ze zniszczonych tankowców, którymi do ostatnich dni Stalin kazał transportować ropę naftową dla swojego sojusznika – Hitlera.* Doraźnie zorganizowana obrona miasta, wobec panicznej ucieczki wojsk sowieckich z rejonu Brześcia, załamała się szybko i już 23 czerwca o godzinie 9⁰⁰ wojska niemieckie wkroczyły do miasta. Zaczęła się następna okupacja, tym razem niemiecka. Była ona znacznie gorsza od tej z I wojny światowej. Poza Żydami, których los był tragiczny od samego początku, represje wobec pozostałych grup ludności następowały z pewnym opóźnieniem. Natomiast Ukraińcy byli faworyzowani, a *administracyjnie Kobryń został włączony do Komisariatu Ukraina.*

Zaraz po zajęciu ziemi kobryńskiej zaczął tu funkcjonować ruch oporu. **Powstały komórki ZWZ-AK.** W lasach żołnierze rozbitych oddziałów Armii Czerwonej i uciekinierzy sowieckiej administracji z miast zaczęli tworzyć oddziały partyzanckie. Niestety, pojawiły się także zwykłe bandy rabunkowe. Ruch oporu nasilił się w 1943 roku, kiedy Niemcy po „likwidacji” Żydów zabrali się za tzw. „woschodniaków”, tj. przybyszów ze Związku Radzieckiego. Uciekali oni masowo do lasów, wzmacniając ruch partyzancki. Szczególnie dotkliwa dla Niemców była działalność partyzantów polegająca na nieustannym atakowaniu transportu kolejowego, drogowego i wodnego. W rezultacie transport drogowy mógł poruszać się tylko w ochronianych przez wojsko kolumnach, a na głównej magistrali

kolejowej, co kilkaset metrów zbudowano bunkry, w których bez przerwy dyżurowało wojsko.

W roku 1943 rozpoczyna działalność dywersyjną III odcinek „Wachlarza” Armii Krajowej, a dowódcą zostaje kapitan, później pułkownik Alfred Paczkowski ps. „Wania”. Powiat kobryński wchodził w skład rejonu I (zob. rozdz. I.4.). Na jego terenie przeprowadzano liczne akcje dywersyjne jak np. spalenie w Kobryniu mostu na szosie Brześć–Pińsk, likwidację we wsi Dywin pięciu agentów gestapo, których zaskoczono w trakcie narady, wysadzenie w rejonie Żabinki toru kolejowego. Najbardziej znacząca była akcja, która miała następujący przebieg:

W kwietniu 1942 roku dowództwo III odcinka otrzymało wiadomość, że na Kanale Królewskim, w pobliżu Kobrynia utknął na mieliźnie rzeczny okręt wojenny, uzbrojony w działka i karabiny maszynowe, z których załoga, w oczekiwaniu na holowniki, ostrzeliwała wszystkich zbliżających się. Mimo to postanowiono zaatakować okręt i zniszczyć go. Sporządzono minę o dużej mocy, wyposażoną w magnes i mechanizm zegarowy i kilkusobowa grupa zbliżyła się do okrętu. Minę założył sam dowódca III odcinka kpt. Paczkowski. Wybuch przeciął okręt na pół. Dodatkowo zniszczono całkowicie maszynownię. Akcja zakończyła się bez strat w ludziach, gdyż załoga w obawie przed partyzantami, na noc wycofała się do pobliskiej wioski. (Kitajczuk, 2002; Chlebowski, 1993).

Kolejna bitwa o Kobryń rozegrała się **na początku lipca 1944 roku.** Niemcy na podejściach do miasta i w samym mieście wybudowali umocnienia. Nie na wiele się one zdały, gdyż ich położenie było wcześniej rozpoznane przez partyzantów i przekazane nacierającym wojskom. Prawie dokładnie po trzech latach, nastąpił rewanż za „Blitzkrieg” z czerwca 1941 roku. Na początku lipca Armia Czerwona po krótkich walkach wkroczyła do Kobrynia.

W okresie zaledwie 5 lat rozegrały się więc 3 bitwy o Kobryń. Spowodowały one zniszczenie około 30% substancji miasta. Z około 15 tys. ludności pozostało 8 tysięcy.

Bohdan Miłaczewski
Warszawa

Redakcja składa gorące podziękowania dla Rodziny Państwa Miłaczewskich za udostępnione materiały o historii Kobrynia i jego mieszkańców, a także za przekazane dla polskich szkół na Polesiu książki „Polesie Kobryńskie” autorstwa Bohdana Miłaczewskiego.

Ze wspomnień Kobrynianki

Drodzy Czytelnicy! Prezentujemy dziś fragmenty wspomnień Kobrynianki Heleny Szpak, kolejne świadectwo o historii Kobrynia i jego mieszkańców. Jest to typowa historia polskiej dziewczyny z Polesia – sześć lat jej wczesnej młodości, spędzonych daleko od ziemi ojczystej wśród bezkresnych stepów. Wspomnienia te gorąco polecamy naszym nauczycielom języka polskiego i kultury na Białorusi – w Brześciu, Kobryniu, Pińsku, w poleskich wsiach i miastach.

Co nas dziś w tych wspomnieniach najbardziej wzrusza, zdumiewa? Że w tak tragicznych warunkach, wśród pogardy i wrogości, w głodzie i chłódzie nasze dziewczęta i chłopcy zachowali godność ludzką. Wbrew wszystkiemu. Byli dzielni, pełni ofiarnego poświęcenia bliźnim. Nie mając nic, dzielili się ostatnią kromką chleba ze słabszymi. Kiedy jedne matki były aresztowane lub umierały z wycieńczenia, inne matki zabierały ich dzieci, choć swoje były stale niedożywiane. Czy my, dzisiejsi, bylibyśmy zdolni do tego? Czy potrafilibyśmy?

Za odmowę przyjęcia obywatelstwa sowieckiego tysiące młodych było uwięzionych. Siedzieli w celach wraz z kryminalistami, doznawali strasznego upokorzenia. Po nocach nasze młode dziewczyny były przesłuchiwane, podczas przesłuchań je bito, zastraszano, wmawiano, że Polska zginęła na zawsze i że zgniją w łagrach, jeśli nie przyjmą obywatelstwa sowieckiego. Nie poddawały się. Wraz z Heleną Szpak siedziała także jej młodsza siostra Marysia. „Bardzo chciałam, żeby Marysię zostawili w spokoju, gdy wychodziłam w nocy, miała więcej miejsca do spania” Helena była gotowa cały ciężar przesłuchań wziąć na siebie, by ogrodzić młodszą siostrę, by dać możliwość jej trochę odpocząć... W innej dramatycznej sytuacji Helena była gotowa zasłonić siostrę i brata swoim ciałem.

Oddanie rodzinie, wierność Ojczyźnie było czymś organicznym... Nie tracili wiary, choć wydawało się czasami, że umarła ostatnia nadzieja i pozostaną na zawsze w bezkresnych stepach. Kiedy wybuchła epidemia tyfusu, kiedy w sąsiedztwie z 12-osobowej rodziny pozostała jedna osoba i groźba śmierci uniosła się nad wszystkimi, wyczerpani ludzie zbierali się

razem na wspólną modlitwę. A miejscowi dziwili się: przecież jesteście skazani i ten wasz krzyż wam nie pomógł. Przepędzali tych, którzy kpili z ich wiary, z Ojczyzny. Czy my dzisiaj potrafimy tak bronić swoich wartości, czy Krzyża Katyńskiego przed Pałacem Prezydenckim?

A oni trwali. Matki płakały po nocach, a z rana z zaciśniętymi zębami szły w straszny mróz do pracy, by wieczorem móc wrzucić coś do garnka swojej zawsze głodnej dziatwie. Nasze Poleskie Madonny, ciche bohaterki, postarzałe, zmarznięte, w łachmanach – wszystkie ubrania wymieniły na produkty lub przerobiły na płaszczyki dorastającym dzieciom. Pan Bóg tylko wie, ile Was kosztował każdy dzień i każda noc na zesłaniu. Schylamy głowy i serca przed Waszym cierpieniem, poświęceniem, przed Waszą ofiarną Miłością!

„Załataja polskaja maładioż” – tak powiedział o naszej polskiej młodzieży naczelnik enkawudzista podczas nocnego przesłuchania Heleny. Tak, to była najwspanialsza młodzież II Rzeczypospolitej. Patrząc na ich zdjęcia – nie ma dziś takich oczu i takich twarzy! Czyste, otwarte, pełne prawdziwej miłości, gotowe do ofiary za bliźnich, za Ojczyznę.

Pewnego dnia podczas ciężkiej pracy w polu Helena się zatrzymała by popatrzeć w niebo, jak płynęły obłoki, przebiegając różne formy, a „to rzeka płynąca, a to piękne łąny zboża, a nad nimi Matka Boża w niebieskiej szacie – Niepokalana. Modliłam się wtedy żarliwie, prosząc o opiekę. (...) Moje widzenia w chmurach były na pół dziecięce – nie chciałam stale płakać i myślałam jak dziecko – ta chmurka leci do mamusi z pozdrowieniem, ta chmurka do tatusia, a te

małe pierzaste do rodzeństwa, a ta przepiękna, duża leci ode mnie do Polski – szkoda że tylko ona...”

Później „złota polska młodzież”, ci co przeżyli, wrócili, tylko nie do swoich rodzinnych domów w Kobryniu czy Pińsku, pochłoniętych „imperium zła,” a do Polski, pełnej czerwonych sztandarów i obcych haseł, niechciani, wyczerpani, niepotrzebni. A teraz po latach, schorowani, starzy, pogardliwie nazywani przez władzę, przez media i bogaczy – „moherowi”. Kochani, jesteście naszym Polskim Sumieniem, naszą Dumą, jesteście z Wami!

Jeśli zapomnimy o tym, co z Wami było, co było z naszą Polską, będzie to najgorsza zdrada nas samych, zdrada naszej przyszłości.

Alina Jaroszewicz



Miesiąc kwiecień jest Miesiącem Pamięci Narodowej, 13- kwietnia jest nie tylko „Dniem Ofiar Katynia”, ale również rocznicą naszego deportowania na Sybir. Trzynastego grudnia NKWD przyszło w nocy po ojca. Tym razem zabrano go na zawsze. Do dziś pamiętam pochyloną postać w świetle ulicznej latarni. Miał ręce skute do tyłu, w otoczeniu czterech „bojców” z bagnetami na karabinach. Słysząc było przeciągłe wycie naszego psa, pewnie czuł nieszczęście i żegnał swojego pana.



Nas deportowano 13-go kwietnia 1940 roku. Stało się to również w nocy. Głośnie łomotanie do drzwi – „otwierać” – wtargnęło kilku uzbrojonych, dano dwadzieścia minut na spakowanie się. Było nas troje dzieci i matka, na ulicy czekała furmanka z końmi, nie-

opodał samochód z rodziną „krasnoarmiejca”, który miał zamieszkać w naszym domu. Pamiętam, gdy już byliśmy na wozie, przybiegła nasza babcia, mieszkająca w sąsiedztwie, bardzo płakała, żegnała nas krzyżem, na to wysiadła z samochodu „krasnoarmiejka” i zwróciła się do babci, żeby nie płakała, bo gdzieś za pięć lat wrócimy jako „priekrasnyje komunisty”. To było wszystko, wóz ruszył do pobliskiego dworca kolejowego, tam w kolejce czekaliśmy na załadowanie nas do jednego z wielu wagonów towarowych. Ze wszystkich stron jechały furmanki z kobietami, dziećmi i tobołkami o wadze 20 kg na osobę. Długo czekaliśmy. Przyszedł do nas jeszcze dziadek. Wysoki, z sumiastym wąsem, w karakułowej czapce. Stał milczący, oparty o lasce, a po jego policzkach spływały łzy. Widziałam go wówczas ostatni raz. Ludzie zrozpaczeni, matki opatulały swoje dzieci, wszyscy płakali i płakali. Już nastał wczesny ranek kwietniowy, ja, piętnastoletnia dziewczyna stałam obok wagonu, do którego nas załadowano, z daleka tłumnie żegnano „skazanych”, rozdzielał nas kordon wartowników z bagnetami na karabinach. Nie wiem, w jaki sposób nasz dziadek był tak blisko nas, pocieszał mamę, że gorzej mieli osadnicy, których wywieźli w lutym, w trzaskający mróz, że teraz jest wiosna, że słońce będzie nam sprzyjało.

Nad małą stacyjką mego rodzinnego Kobrynia rzeczywiście świeciło słońce, które nic nie wiedziało o naszym nieszczęściu, a tak pachniało Świętem Wielkanocnym. To było drugie czekanie i długie pożegnanie nie tylko zwartego tłumu stojącego z daleka, ale pożegnanie mojego dzieciństwa! Nadszedł czas pożegnań w moim młodym życiu. Żegnałam w lutym mojego ojca. Od miesiąca grudnia, gdy go zabrali, siedział w więzieniu, znajomi dali nam znać, że zamiatał ulicę przed więzieniem. Wiele godzin czekałam przed bramą więzienną, żeby zobaczyć mojego tatusia – niestety. Któregoś późnego wieczora mieliśmy gościa, zapukał do nas nieznajomy, który przebywał z ojcem w więzieniu. Przyszedł z poleceniem, by mama użyła wszelkich starań i przysłała cebulę. Bardzo martwił się o nas, choć sam był chory, zabrano go z domu z łóżka. Tych cebul miało być cztery na znak, że nikogo z nas nie brak, a jeżeli nie jest taka sama i od rodziny doznają trochę pomocy, ma włożyć jeszcze jedną cebulę, większą. Nieznajomy mówił szeptem, rozglądał się, nie mógł się narażać, ale musiał spełnić prośbę, tym bardziej, że podobno mój tatuś wszystkich trzymał na duchu i gdy już nic nie miał do powiedzenia, opowiadał im bajki.

Udało się mamie podać paczkę z cebulami, nie wiadomo czy doszła do adresata - a w miesiącu lutym 1940 roku bieглиśmy na dworzec, bo naszych ojców wywozili. Wówczas też nie spotkałam tatusia. Pociąg był gotów do odjazdu. Widziałam tylko wiele machających rąk poprzez deski, bo nie były to wagony towarowe kryte, ale dookoła deski z wielkimi szparami. Takie wagony służą do przewożenia bydła w lecie. Widzieliśmy przede wszystkim wiele rąk, którymi nas żegnali. Czyż mogłam z daleka rozpoznać rękę mojego ojca? To było pożegnanie na wieczność. Po kilku dniach żegnałam moją koleżankę Danusię i wielu znajomych. Odjechały wagony towarowe z rodzinami osadników. Te transporty szły do Archangielska. Północne mrozy czekały na byłych legionistów naszego „Dziadka Piłsudskiego”.

Przyszła ciężka zima, której jeszcze nie znaliśmy. Mrozy dochodziły do 45 stopni. Straszne zamiecie zasypywały nasze ziemianki i ludzie nawzajem odgrzebywali dojścia do drzwi. Do pracy nie mieliśmy odpowiedniej odzieży ani obuwia. Codziennie wychodziło się na zewnątrz i wypatrywało, z którego komina dymi, by przynieść trochę żaru i ugotować ciepłą strawę. Byliśmy w takim kraju gdzie nawet zapalek nie było. Nasze matki zamieniały ubranie, pościel nie tylko na opał, ale i na zboże, które przedtem należało zemleć, zanim ugotowało się „prazuchę” - na gotującą wodę sypało się mąkę i jedliśmy jako kaszę. Nie mieliśmy swoich żaren - to były dwa płaskie kamienie, które trzeba było obracać, by zemleć garść zboża. Jakże długo to trwało, by uzyskać trochę mąki, którą jadło się z otrębami. Za wypożyczenie żaren trzeba było płacić, czas odgrywał ważną rolę, trzeba było prędkiej, a kamienie były strasznie ciężkie. A potem siedzieliśmy na narach, najczęściej po ciemku, bo należało oszczędzać naftę na ogarek, a małe okienka najczęściej zasypywał śnieg. Mimo wszystko nadzieja nas nie opuszczała. Spotykaliśmy się grupkami, były nocne rozmowy Polaków, były modlitwy, były śpiewy z gitarą. Byłam bardzo przywiązana do mojej gitary. To była powierniczka smutku i tęsknoty i mojej radości, bo często grałam swoje melodie, wypracowane przeze mnie, a chętnie słuchane na spotkaniach. Płynęły smutne chwile, godziny, tygodnie, miesiące. Nadszedł rok 1941, zbliżała się wiosna. Z kraju pisali, że sikorki przylecą, że trzeba mieć nadzieję. Bardzo smutne listy otrzymywałam z okolic Archangielska

od Danusi Górskiej, która z rodzicami została wywieziona w lutym 40-go roku jako osadnicy, legionieści Józefa Piłsudskiego. Nasze matki często załamywały się, bo wróg nadal gnębił. Mieszkała z nami pani Toberowa - zawsze to raźniej i taniej przy jednym ogniu. Była to kobieta wykształcona, znająca parę języków, a takich prześladowano. Została aresztowana, a jej dwunastoletni syn został z nami. Nasza rodzina powiększyła się, było nas teraz pięcioro.

Z nadejściem wiosny przyszyły choroby, wybuchła epidemia tyfusu. Z dwunastoosobowej rodziny, która mieszkała w sąsiedztwie została tylko jedna osoba. Zawisła groźba śmierci. Ludzie wyczerpani zaczęli tracić nadzieję. Na szczęście mieliśmy mocną wiarę. Pani Ochnikowa organizowała wspólnie modlitwy, „Serdeczna Matko”, „Boże coś Polskę” grzmiało w naszych ziemiankach. Wołaliśmy „Pod Twoją obronę obronę uciekamy się Boża Rodzicielko”, A miejscowi ludzie dziwili się: „to aż tak kochacie swego Boga, Ojczyznę?”, przecież jesteście skazani na zatracenie i ten krzyż wam nie pomoże”. Przepędzaliśmy tych, którzy się śmiali z naszych obrazków i krzyży. Musieliśmy trwać. Zbliżała się pierwsza rocznica naszego wygnania. Załączam zdjęcie, które udało nam się zrobić na pamiątkę w pierwszą rocznicę naszego zesłania.



Piękny był świat przyrody syberyjskiej, zwłaszcza w naszych kilkunastoletnich oczach, które niestety, z nastaniem mroku niejednokrotnie nic nie widziały. Twarda rzeczywistość przywoływała nas do codzienności. Nastawał czas pracy - „posiewnaja”. Zwykle był wielki pośpiech, by ziarno trafiło do ziemi, zanim palące słońce zamieniłoby ją w twardą skorupę. Wywozili nas wówczas daleko od mamy i tam całe dni od świtu do zmroku pracowaliśmy. W czas wiosenny, gdy jeszcze nie było upałów, pragnienie picia tak bardzo nie dokuczało, ale głód nas prześladował, bo na przedwiośniu jeszcze bardziej zmniejszano racje żywnościowe. Dokuczał również chłód. Poranki o wschodzie słońca przejmowały zimnem. Mnie tym razem przeznaczono do siewu słonecznika. Należało uzupełniać maszynę siewną kilkoma wiadrami ziarna słonecznikowego, a traktor rozsiewał, objeżdżając zagony do pięciu kilometrów w obie strony. Samiutka byłam wówczas w tym bezkresnym stepie, traktor był małym punktem na horyzoncie, a ja na wozie zanurzałam się w ziarnie, bo zimno było niesamowicie. Nigdy nie mieliśmy dostatecznie ciepłej odzieży. Nade mną płynęły obłoki po niebie. Przybierały w moich oczach różne formy, a to rzeka płynąca, a nad nią krzaczaste stare wierzby, a to piękne łąny zboża, a nad nimi Matka Boska w nibieskiej szacie - Niepokalana. Modliłam się wtedy żarliwie, prosząc o opiekę, wszak należałam do Rycerstwa Maryjnego od roku 1933-go. Ówczesny medalik zgubiłam, ale do dziś przechowuję dyplomik przyjęcia podpisany przez Ojca Maksyniliana Kolbego jako księdza promotora. Wówczas nie wiedziałam, że jestem w posiadaniu świętej relikwii, wszak w tym czasie cierpiał nasz Męczennik. Moje widzenia w chmurach były na poły dziecięce, to była rozrywka, nie chciałam stale płakać i myślałam jak dziecko - ta chmurka leci do mamusi z pozdrowieniem, ta chmurka do tatusia, a te małe pierzaste do rodzeństwa, a ta przepiękna, duża leci ode mnie do Polski - szkoda że tylko ona... Tak bardzo zapamiętywałam się w moich widzeniach, że traktor musiał długo chałasować, żeby mnie przywrócić do rzeczywistości. Nie wytrzymałam długo tej samotności w stepie od świtu do nocy. Postanowiłam znowu uciec do mamy. Na moje szczęście traktor się zepsuł więc od rana kryjąc się za barakami wybrałam się w drogę. Przede mną dwunastek i lornet r owy marsz w bezkresnym stepie, lecz cóż to mogło znaczyć - zobaczę mamę, a niosę dla niej pre-

zent - ziarna słonecznikowe - napewno się ucieszy. Mama była bardzo wyczerpana, nie spała po nocach, nie mieliśmy żadnych lekarstw, zaczęła chorować na nerwy. Łuskanie słonecznika uspakajało ją, męczyło i w końcu zasypiała chociaż na trochę. Niestety, coraz trudniej było dostać ziarenka. Wybierając się do domu wysypałam trochę pestek do mojego woreczka, jaki zawsze miałam przy sobie na chleb i łyżkę. Stąd była moja radość - z niespodzianki dla mamy. Po drodze doszła do mnie dziewczyna ukraińska, która pracowała w kuchni, również uciekinierka. Razem było nam weselej, ale nie na długo, bo na horyzoncie pojawiła się dwukółka, którą jeździli naczelnicy. Trwoga mnie ogarnęła, przed nami stał przedstawiciel posiołka. Dziewczyna upadła na ziemię, zaczęła stękać, że ma straszne bóle, ja stałam bezradnie. Naraz naczelnik zainteresował się woreczkiem, kazał go sobie podać, a gdy sprawdził zawartość, zaczął wyzywać mnie od złodziejek. Krzyczał, że już nie pójdę do pracy tylko do więzienia. Miałam się stawić jeszcze dziś w „kantorze” w kancelarii. Popędził konia i zostawił nas same. Wówczas dziewczyna dopiero wstała, wyzwała mnie od głupich i pokazała pod szeroką bluzką worek z kapustą. Właśnie dlatego udawała ból brzucha, a mnie głupią czeka więzienie. Szłam i płakałam, że zamiast radości niosę zmartwienie. Obiecываłam sobie, że nie pójdę do „kantoru”, mama płacząc zapewniała, że nie da mi zrobić krzywdy, ale zaraz tego dnia zjawił się sekretarz z wiadomością, iż czekają na mnie. Kancelaria mieściła się tak jak dom kultury w samym środku posiołka. Zwykle omijaliśmy „naczalstwo” pragnąc by zapomnieli o nas. Teraz czekali na mnie. Tak bardzo nie bałam się, bo mama była ze mną. Po przekroczeniu progu zaskoczyła nas cisza. W kącie sali za udekorowanym czerwienią stołem siedział naczelnik kołchozu z osobami sprawującymi władzę. Po obu stronach wzdłuż ścian na ławach siedzieli brodaci starzy ludzie tzw. „starszyzna”. Stanęłyśmy w progu zaskoczone - uwaga sąd siedzi - pomyślałam. Tak sobie ich zapamiętałam. Kazali zbliżyć się do stołu, na którym leżały dowody mojego przestępstwa - woreczek z garścią ziaren słonecznikowych, a obok łyżka domowa, której najbardziej było mi żal, drewnianą trudniej było jeść. Naczelnik jako oskarżyciel zabrał głos. Padały ciężkie słowa - oto złodziejka, naruszająca dobro państwowe, przybłęda powinna dziękować za sowiecki chleb, o który tak trudno w czas wojny, a dopuściła się kradzieży. Z garści pestek słoneczni-

kowych, które urosły do dwóch kilogramów, uczyniono przestępstwo, wymagające surowego wymiaru kary. Już jutro dowiozą mnie do prawdziwy sąd skaże mnie jako „wrodziciela” (wroga) na więzienie i łagier. Pomruk poszedł po sali, rada brodaczy kiwała głowami. Nikt nie zabrał głosu w mojej obronie, kazano nam wyjść. Wówczas mama usiłowała tłumaczyć, że przecież nie mam jeszcze osiemnastu lat, że jestem dzieckiem. Zebrani byli nieporuszeni. W rozpaczy zaczęła ich straszliwie przeklinać, płakała, dobiegała do każdego brodacza, szukała ratunku. Niestety wyrok zapadł - „zawtra sobierajsa z wieszczami”. Przed kantorem zebrała się gromadka naszych, ale nikt nie był w stanie pocieszyć moją matkę. Wieczorem, gdy było już ciemno, mama zawięła w węzelek kilka swoich złotych zębów, które jej wypadły, a które chowała na czarną godzinę i pobięła do sekretarza. Wróciła z moim woreczkiem i z drogocenną łyżką. Sekretarz obiecał, że akta oskarżenia gdzieś się zawieruszają. Długo w nocy nie spaliśmy, zebrało się trochę nas i znowu były nocne Polaków rozmowy..

Nad posesiołkiem „Rozdolnyj 27” jesienią zawisła rozpacz i strach, który paraliżował nie tylko nas, Polaków, ale i dawnych zesłańców tej ziemi. Oto przybyło NKWD - nie pamiętam czy tradycyjnymi „czarnymi maszynami”, czy konnymi furmankami. Carewicze w zielonych „rubaszkach” korzystali z wyższej techniki, to tylko my chodziliśmy pieszo po bezkresnych stepach Kazachstanu lub małymi wołami zaprzężonymi do drabiniastych wozów w skwarze bezlitosnych promieni słońca. Zajęli cały kołchozowy kantor (kancelarię) i z nastaniem dnia wzywali „wrodzicieli” to znaczy nas „polaczków”. Naraz po katastrofie w Gibraltarze, gdzie zginął gen. Sikorski, staliśmy się powtórnie wrogami. To też wzywano nas. Każdy dorosły musiał się stawić osobiście po dokument obywatelstwa sowieckiego. Szły nasze matki na wezwania, pozostawiając dzieci w lepiankach- „Padpiszoz - pałuczysz paszport - jeśli nie padpiszoz - padachniosz”. Podpisywały, zgadzały się, wychodziły zapłakane, jakże by inaczej, wszak dzieci czekają. Spędzili nas do kolejki. Maiojńłodzieży, bo większość już była poza granicami. Stanęliśmy pełni nerwowego napięcia. Przede mną mama, za mną siostra. Widziałam panią D. z trzema małymi córkami. Ostatnio chodziła z podniesioną głową, pełna nadziei, uśmiechnięta, że

już wkrótce wrócimy, że spotka męża. Jej śpiew niósł po przez step słowa tanga „Gdy wrócisz po wielu latach, zastaniesz pokój w kwiatach”... Teraz niosła nisko spuszczoną głowę. Obok pani O. - starsza osoba, nazywaliśmy ją po cichu naszym księdzem, bo przewodziła w nabożeństwach majowych i różańcowych. Jej niebieskie oczy zupełnie wyblakły. Dużo płakała. Najstarsza córka Gena wstąpiła do polskiego wojska, przedtem dwaj synowie uciekli z posesiołka do Polski i ślad po nich zaginął. Pozostała z małym Heniem o habrowych oczach. Pani Helena z synem Ryśkiem przekonywała wszystkich, że musimy się zgodzić, by być razem wówczas nie zginiemy, ale pani Dorota z trojgiem nieletnich dzieci (dwoje już pochowała w stepie) nawoływała do oporu. Niedaleko moja śliczna starsza koleżanka Natalia bardzo blisko bo, z jednej ulicy, z jednego gimnazjum, stała milcząca ze swoją chorą mamą i małą siostrzyczką. Tuż za nią również sąsiadka z Kobrynia, dzielna, zawsze podtrzymująca nas na duchu, pani Hania B. z malutką Jolą. Stopniowo skracala się nasza kolejka, wychodzący z Kantora mieli spuszczone głowy, płakali. Po mojej mamie ja przekroczyłam próg. Trzech ich siedziało za czerwonym stołem, na którym leżały przygotowane paszporty. „Padpiszu” - Niet, ja nie padpiszu” - Będziesz aresztowana, zginiesz w łagrach. „Jesz sowiecki chleb, będziesz sowiecką grażdanką”. „Ja jem swój chleb za resztki polskiego dobytku”. Jeden z nich zerwał się, myślałam, że mnie uderzy. „W więzieniu podumajesz i padpiszoz”. Wysłałam jak bohaterka, przynajmniej taką siebie widziałam. Oto odrzuciłam ich obywatelstwo, to nie, że pozwolili oddalić się, że zabiorą mnie w nieznane. Następna poszła siostra, dołączyła do mnie. Pani Dorota również wytrwała przy swoim, decyduje się pozostawić dzieci pod opieką naszych matek. Rysiek S, gotów na wszystko, wołający że jego pierwszy paszport będzie tylko polski, dodawał nam ducha. Staliśmy we czwórkę, oddzieleni od swoich, a gdy powtórnie odmówiliśmy, kazano zbierać się w drogę. Już nie wolno nam było rozmawiać ze swoimi, stojącymi wokół nas. Nadal wzywano do podpisów aresztowanych jak najszybciej wyprawiono w drogę. Na wozie usadowił się konwojent z nieodłącznym karabinem, my za nim pieszo, a przed nami trzydziestokilometrowy marsz. Na pożegnanie zawołałam „Jeszcze Polska nie zginęła”. Usłyszałam polecenie enkawudzisty wskazującego na mnie do wartownika: „Etu dziewczku astawmnie” (tą dziew-

czynę zostaw dla mnie). Posiołek powoli zostawał za nami. Szliśmy wydeptanym traktem stepowym. Pani Dorocie pozwolono kilka razy przysiąść na wozie, widocznie widzieli jej zmęczenie, a my młodzież, maszerowaliśmy zaciekle „za Polską”. Nigdy nie da się zapomnieć ile wówczas w naszych sercach było rozpaczliwej desperacji i gotowości do cierpienia za Ojczyznę.

Osadzono nas w więzieniu rejonowym. We trzy trafiłyśmy do celi, gdzie siedziały dwie rosjanki kryminalistki. Ryśka umieszczono z groźnym przestępcą, zabójcą żony. Nary były wąskie, dwuosobowe, musiałyśmy leżeć w poprzek, nogi zwisały i nie można było ich podkurczyć z braku miejsca. Zabronione było kłaść się w dzień - Judasz” bez przerwy obserwował. Noce były zwykle zarwane bo wzywano nas na przesłuchania. Towarzystwo kryminalistek było bardzo uciążliwe, musiałyśmy wysłuchiwać okropnych bezeceństw i wyzwick skierowanych pod naszym adresem podczas snu. Nawet ja byłam zaskoczona, gdy na progu celi ujrzałam dozorcę z niego proroczego snu. Był trochę łagodniejszy, wyśniłam go.

Cieężko było pod presją kryminalistek. To one decydowały, która „czekuszka” (gliniana miska) przypadnie nam. Niejednokrotnie zanurzały palce w zupie, sprawdzając czy „burżujki” (kapitałistki) nie mają głęściejszej. Tego upokrzenia chyba nigdy nie zapomnę. Zetknęłam się wówczas ze światem przestępczym i z jego brutalnością. Może dopiero dziś po wielu latach, w podeszłym wieku, zdobyłabym się na tolerancję, ale wówczas młoda dusza buntowała się. Widziałam upokorzenie mojej siostry. Marysię cechowała waleczność i energia. Musiała chylić głowę, bo inaczej zatłukły by ją te wstrętne dziewczyny o zwierzęcych instynktach. Bardzo bałam się, nie znosiłam fizycznej przemocy, to była moja słaba strona.

Rozpoczęły się niespokojne noce. Początkowo wzywano nas wszystkich naraz i wówczas wizyty były krótsze. Oprócz wyraźnej niechęci do sowieckiego obywatelstwa, mnie oskarżono jeszcze za „Jeszcze Polska nie zginęła”. Naczelnik był przy naszym aresztowaniu, dlatego postanowił zająć się mną osobiście. Słowa „etu dziewczku astaw mnie” - dopiero teraz stały się dla mnie zrozumiałe. Bardzo chciałam, żeby Marysię zostawili w spokoju, gdy wychodziłam w nocy miała więcej miejsca do spania. Prowadzona długimi, wąskimi korytarzami, mijałam wiele cel. Później przejście stawało się

obszerniejsze, jaśniejsze, otwierano normalne drzwi i oto znajdowałam się w pomieszczeniu, wyścielanym dywanami, z ogromnymi portretami na ścianach, z młotem i sierpem w czerwieni. Pamiętam zapach tytoniu tureckiego - to był luksus - tylko NKWD tak pachniało. Może dlatego nie mogłam znieść długi czas tego zapachu. Podczas wolno płynących godzin nocnych, w kółko należało opowiadać dane personalne. Na odpowiedź, że urodziłam się w Polsce, ironiczny uśmiech i mruknięcie „Załatąją maładzioż polskaja”. Jego spokojny głos oznajmiał mi jakie ciężkie przestępstwo ciąży na mnie, że Polska zginęła i nigdy nie sprawdzi się by była „od morza do morza” - te słowa wypowiedział po polsku. Byłam zaskoczona, oto tak daleko od Ojczyzny spotkałam wroga, który nawet nasz język znał. Swoje wywody kończył zwykle stwierdzeniem, że zginę w łagrach.

Wiosna roku 1946-go. Przed nami wymarzony przez sześć lat zsyłki powrót do Polski, jakże inny od tego, który wyobrażaliśmy sobie przez wszystkie wiosny i jesienie syberyjskie. Nasza rodzina była odosobniona, wśród obcych w Karagandzie. Nie byliśmy w tej wspólnocie kołchoźnej, w posiołku Rozdolnyj, gdzie wielu Kobryniaków trzymało się razem. Nie raz wspominaliśmy, czy jeszcze raz spotkamy naszego ojca - nic o nim nie wiedzieliśmy. Już wtedy marzyły się zjazdy Sybiraków, pokrzywdzonych rodaków Kresowej Polski. Twarda rzeczywistość była inna. Przygotowanie do powrotu mobilizowało, aby tylko nie być pominiętym. Ze wszystkiego należało się rozliczyć. Jakiegokolwiek nieporozumienie z władzami mogło pozbawić ujrzenie Kraju. Ja z Marysią bez przeszkód otrzymałyśmy „udostowarienia”, jako obywatelki polskie, gorzej było z mamą. Na szczęście miała zdjęcie z dawnej legitymacji policyjnej z okrągłą pieczęcią Rzeczypospolitej. Przy zdawaniu dokumentów zachowała to zdjęcie, a i brat uratowany, bo jako małoletni był wpisany do dokumentów matki. Nie było wielu tobołków, nawet koszul nie mieliśmy na sobie, ale worek sucharów przygotowany, bo wtedy nigdy nie wiadomo jak będzie... Ja po ostatnich zajściach nie przeżywałam wielkiej radości. Unikałam ludzi, byłam zamknięta w sobie. Dookoła widziałam okrutny zły świat. Chciałam się skryć przed ludzkim wzrokiem i postanowiłam wstąpić do klasztoru. Do-

piero to wewnętrzne zadecydowanie uspokoiło. Każdy dzień witałam jako niebyły, przejściowy, bo moje życie rozpocznie się dopiero za bramą klasztorną. Byłam bardzo samotna. Radość z powrotu była daleka od tej wymarzonej. Każdy z nas był kimś innym. My dzieci, a potem młodzież, dorośliśmy w głodzie i chłódzie. W pogardzie i wrogości. Nasze matki postarzały o sześć lat troski o dzieci w nieludzkich warunkach, pozbawieni domu, walczące o przetrwanie, a niejednokrotnie godzenie się z losem, gdy twarda gruda syberyjskiej ziemi przykrywała dziecięce ciała pozostawione na zawsze na szlaku tułaczki. Nic nie wiedzieliśmy o losie naszych ojców. Przerażał nas ogrom Syberii, niekończące bezkresne stepy, które przejeżdżaliśmy, porwani przez przeraźliwie krzyczącą lokomotywę pociągu, ciągnącą setki wagonów bydlęcych, pełnych zesłańców. Dwudziesty wiek umożliwił nam, katorżnikom polskim pokonywać wielkie przestrzenie na tradycyjny historyczny wschód nie pieszo, nie w kibitkach, ale w bydlęcych wagonach. Szkoda, że tylko tam, na dalekiej Syberii dał się słyszeć okropny gwizd lokomotyw, który nawet po latach prześladował nas w swoich wspomnieniach. To powinien słyszeć cały świat ku przestrodze, w walce o prawo i godność człowieka.

Jakże nam zazdrościli mieszkańcy, rdzenni obywatele sowieccy. Nie mogli tego zrozumieć, że daleka ojczyzna nie zapomniała o nas biednych, maluczkich. Pamiętam, że nie wszyscy mogli wrócić, a zwłaszcza żydzi, którzy uciekając przed Niemcami nie mieli dokumentów stwierdzających obywatelstwo polskie. Pod okupacją niemiecką niewątpliwie zginęliby w piecach krematoryjnych, a czy wygrali swój los, pozostając na zawsze w kopalniach Karagandy? To też los ich był opłakany, żegnali nas płaczem, nie wiemy czy pozostali tam do dziś.

Przyjechał wóz ciężarowy, skwapliwie zajęliśmy miejsca. Patrzyłam na żegnające nas życziwe twarze, na oczy zalane łzami. My też płakaliśmy. Żegnaliśmy wszystkich, którzy zostawali na tej nieludzkiej ziemi. Znowuż rozmieściliśmy się w bydlęcych wagonach i na narach służących do spania, ale radosna wrzawa skracała niecierpliwe oczekiwania kiedy ruszymy. Przed sześciu laty każde drgnięcie pociągu przejmowało nas strachem, ale minęły wszelkie niedole, byle prędzej na zachód. Naraz wszyscy poczuli się bohaterami, jak ta staruszka, która wołała, że przez sześć lat nie dotknęła rubla, tak ma w pogardzie naszych

ciemnizy. Powracający, to były przeważnie kobiety z dziećmi i starzy ludzie, ci którzy przetrwali. O naszych ojcach nadal nic nie wiedzieliśmy, a ich synowie walczyli za Polskę szlakiem Monte Cassino lub pod Lenino. Wszędzie płynęła polska krew, polskie łzy i święte słowa „Wszystkie drogi prowadziły do Polski”.

Pociąg ruszył jak przed laty w dwutygodniową podróż. Były piękne księżycowe noce, siedzieliśmy blisko otwartych drzwi wagonu, a pociąg szedł stając na zachód wraz ze słońcem. Wydawało się, że wszelkie zło zostawiamy za sobą. Dziewczęta śpiewały, a ja akompaniowałam na swojej gitarze. Strzegłam jej jak żrenicy oka, wszak to był prezent od mojego taty i tyle ze mną przetrwała. Wiozłam również moje dwa zeszyty, uzupełnione rysunkami. Niewiele ich było - szkic stuletniej staruszki wywiezionej samotnie z Wilna, z którą leżałam w „bałnicy”, rysunki orłów, księdza z podniesionym krzyżem, z okrzykiem „za Ojczyznę”. Trochę przykro, że tylko tyle - co pokażę Tacie? Ciężko pracowaliśmy, nie mieliśmy warunków na luksusy...

W moich snach prześladowały mnie zjawy. Oto jestem już w Polsce, ale nie mogę dla siebie znaleźć miejsca. Wielkie zgromadzenie ludzi i pełno czerwonych sztandarów. Wszędzie czerwień i słońcem połyskujące młoty i sierpy... Budziłam się zroszona potem, w niepokoju. Lekarz miał rację. Miałam ostrą nerwicę. Brałam wówczas gitarę i grałam w zadumie. Pewnego dnia nasza mama wpadła w histerię. Porwała moją gitarę i podeptała ją w bezsilnej rozpacz. W wagonie była cisza. Słyszeliśmy tylko trzask depatanego instrumentu. Siedziałam odrętwiała i od tamtej chwili w ogóle nie mogłam spać, stale słyszałam trzask. Biedna moja mama nie była zdolna do tego, by zostawić za sobą widmo zsyłki i cieszyć się nadchodzącym życiem.

Zbliżaliśmy się ku dawnej polskiej granicy. Na jej przejściu pociąg stanął. W blasku zachodzącego słońca ludzie wychodzili z wagonów i klękali. Starzy całowali ziemię i niejednokrotnie trwali tak schyłni, dziękując Bogu za szczęśliwy koniec swojej poniewierki. Ruszyliśmy na Brześć ku nowej granicy naszej Ojczyzny. Tam musieliśmy czekać kilka dni. Zdecydowaliśmy się na odwiedzenie naszego Kobrynia, wszak to było tylko czterdzieści pięć kilometrów. Jakiś ciężarowy wóz zawiózł nas. Ulica Ogrodowa była ulicą Puszkina. Brak numeru siódmego.

W miejscu rosła zielona trawka, zostały tylko marmurowe schodki po naszym domu. Nie było budy psa, koło której zakopaliśmy szablę ojca. Dom babci opustoszał. Dziadek, który nas żegnał ze łzami, spoczywał już na cmentarzu. Pozostały tylko trzy ciocie, niektóre już nie żyły, pozostałe wywiezione na roboty do Niemiec. Jedyne wujek Adaś zaginął bez wieści. Było to smutne spotkanie. Babcia bez przerwy płakała. Dookoła zastraszeni ludzie. Zaraz za domem rozegrała się tragedia żydów. Zwozili ich, a potem krew płynęła rynsztokiem, ziemia się ruszała... Wołół śmierć i strach. Ulica Traugutta już nie była taka piękna, wiele pustych okien patrzyło na mnie, tylko pompa, z której czerpaliśmy wodę, stała nieporuszona. Wielka agawa przed starostwem, duma naszego miasteczka, wydająca kwiat czerwony większy od wiadra, teraz mocno uszkodzona, tkwiła jak ruina. Rynek pusty i cichy. Nie było żydów zachwalających swój towar, ani pałaszów z kobiałkami masła, sera, grzygów. Pobiegłam do kościółka. Dawna ulica Trzeciego Maja również martwa, bez cukierni, do której chodziliśmy na ciastka, bez domu zakonników, gdzie przebywali chłopcy sieroty. Synagoga tkwiła jako ślad. Kościół na końcu ulicy jak dawniej za wysokim, murowanym ogrodzeniem stał nieuszkodzony. Obok cmentarz częściowo zdewastowany ale pomnik Legionistów wznosił się jak dawniej, tylko dookoła zarośnięty zielskiem. Widziało mi się nasze wojsko z pochylonymi sztandarami, a tuż obok my, młodzież szkolna - białe bluzeczki, granatowe spódniczki - koledzy galowo, na granatowo... Wróciłam do rzeczywistości, przekroczyłam próg kościoła. Po środku stał czarny katafalk, trumna w żałobnym całunie, przed nią na czarnej poduszce odznaczenia, obok parę osób. Cichym głosem ksiądz żegnał panią Żabińską. Nie mógł wiele powiedzieć. Pani Żabińska, wielka patriotka, była nauczycielką mojej mamy jeszcze z carskich czasów. Wówczas oficjalnie prowadziła szkołę szycia dla dziewcząt, ale każda z uczennic miała wszytą kieszeń pod długą suknią na polski elementarz. Przy wyznaczonych dyżurach odbywały się lekcje ojczyściej historii. Znam to z opowiadań mamy, która niejednokrotnie była zatrzymywana przez „stójkowego” na ulicy z podejrzeniem o polskość. Gdy wojna wybuchła w roku 1939-ym, pani Żabińska przykuta do fotela również działała. Ja, jako harcerka biegałam do jej domu, gdzie zor-

ganizowano akcję pomocy dla wojska. W ostatnich dniach sierpnia pamiętnego roku ciągnęły ulicami tabory wojskowe, a my, harcerki tkwiłyśmy wówczas w oknach z igłą i z nićmi, lub chłodnymi napojami, by każdego żołnierza przekonać że Naród Polski jest z nim. A było wesoło. Młodzi chłopcy niejednokrotnie odrywali guziki, by prosić nas o przyszycie. Niedaleko nas siedziała pani Żabińska w swoim fotelu i uśmiechała się. A teraz odeszła, jakże nie w porę. Wszak znowuż nie było Polski na rubieżach, o którą tyle lat walczyła. Henryk Sienkiewicz pisał w „Panu Wołodyjowskim” - „Żołnierzu wstań, Ojczyzna w potrzebie...” Żegnaliśmy ostatniego rycerza na rubieżach Rzeczypospolitej w ciszy i rozpacz, w smutku i trwodze. Nasz Kobryn również musieliśmy pozostawić na szlaku naszej tułaczki.

Przy przekroczeniu granicy na Bugu odwróciliśmy głowy, by nie widzieć „krasnoarmiejca”, ale niestety, po stronie polskiej tkwił na straży taki sam obcy żołnierz. Na pierwszej stacji obrzucano nas kamieniami, słyszeliśmy „Żydzi, wracajcie do Moskwy**”. W naszym wagonie został ranny starszy człowiek, wychylił się, chciał witać rodaków, na granicy całował polską ziemię. A potem wieźli nas bezdomnych, niechcianych, z workiem sucharów dalej na zachód, ale już zatrwożonych smutnych. Trafiliśmy do Szczecina. Było ciężko, nawet przydały się suchary. Moje wstąpienie do zakonu coraz bardziej stawało się nierealne. Miałam obowiązki wobec rodziny. Mama chora, siostra niezdolna do pracy, brat do szkoły, chociaż on powinien się uczyć. Musiałam iść do pracy.

Pewnego razu spotkałam starszą osobę, zakonnicę przy kościele Serca Jezusowego w Szczecinie. Zwierzłam się z moich osobistych pragnień. Spojrzały na mnie oczy kobiety: „Dziecko, ja wstąpiłam do zakonu, bo straciłam rodzinę w Powstaniu Warszawskim. Jesteś młoda, musisz rodzić i wychowywać dzieci, by nasza polskość nie zaginęła”. Głęboko zapadły te słowa. Spotkałam „polskiego chłopca”, a nasza sąsiadka skwitowała to z humorem, zwracając się do mnie: „No nareszcie poczułaś wolę Bożą”.

I potoczyło się moje życie...

Helena Pietura-Szpak
Szczecin

GRUNWALD, KLUSZYN, WARSZAWA

Każdy naród ma w swojej historii wydarzenia godne szczególnej pamięci. Najczęściej są to wielkie, przełomowe dla życia narodów i państw, bitwy. Dla Anglików takim wydarzeniem jest bitwa pod Hastings (1066), Rosjanie kultywują pamięć zwycięstwa Dymitra Dońskiego na Kulikowym Polu (1380), a Francuzi w swojej historycznej pamięci odwołują się m.in. do walk nad Marną w początkach I wojny światowej. Pośród wielu dat należących do najpiękniejszych tradycji polskiego oręża na przestrzeni dziejów naszej ojczyzny trzy zasługują w tym roku na szczególną uwagę. Są to: 600. rocznica bitwy pod Grunwaldem, 400. rocznica bitwy pod Kłuszynem oraz 90. rocznica bitwy warszawskiej. Bitwy te stały się fundamentem narodowej tożsamości i dumy, symbolem narodowego oporu i walki z obcym najeźdźcą.

Najżywsze zainteresowanie wśród Polaków, co zupełnie zrozumiałe, budzi **zwycięstwo grunwaldzkie**, stanowiące kulminacyjny moment w wielkiej wojnie Polski z Zakonem Krzyżackim. Złamanie raz na zawsze potęgi militarnej Zakonu było owocem sojuszu polsko-litewskiego oraz współpracy z rycerzami Rusi, Czech i Moraw. Tak o bitwie tej pisał przed laty historyk Stefan M. Kuczyński: „Aczkolwiek kroniki narodu polskiego zanotowały na przestrzeni wieków swej historii niejedną zwycięską bitwę, głośną na cały świat ówczesny – dość wspomnieć Obertyn, Kirholm lub odsiecz Wiednia – to jednak żadnej z nich nie umiłowala tak pamięć pokoleń jak Grunwaldu. W całym bowiem średniowieczu polskim trudno było znaleźć chwilę, w której przegrana mogłaby przynieść równie niebezpieczne skutki dla państwa, jak te, które groziły Polsce i Litwie w lipcu 1410 roku”.

Z kolei bitwa **pod Kłuszynem** przypada na czasy najwyższego rozkwitu i potęgi Rzeczypospolitej. „Polska tu jest u szczytu. – pisał Wacław Sobieski – Rozbija Moskwę pod Kłuszynem, dostaje się na Kreml, zagarnia Smoleńsk, a królewicz polski zostaje carem. W owej dobie przed Polską otworzyły się na wschodzie dalekie horyzonty, zdawało się, że Polska zostanie mocarstwem niebywałym”. Zdumiewająca była nierówność sił w bitwie kłuszyńskiej, a jednak zwycięstwo przypadło żołnierzowi, który zdawał się wcielać w życie słowa Jana Kochanowskiego: „Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje, zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje”.



Bitwa pod Kłuszynem. Miedzioryt z XVII w.

I wreszcie rok 1920 – to **rok największego w dziejach najnowszych zwycięstwa polskiego**, odniesionego, według słów dyplomaty brytyjskiego lorda d'Albernon, w „osiemnastej decydującej bitwie świata.” Warto przypomnieć, że pamięć o wojnie polsko-bolszewickiej była po 1945 r. zacierana przez komunistów: usunięto wszystkie pomniki, z bibliotek wycofano książki, a oficjalne stanowisko najlepiej wyrażał tytuł jednego z rozdziałów „Historii WKP(b)” – „Najazd jaśnie panów polskich na kraj radziecki”.

Wyjątkowo pięknie w świetle przekazów historycznych przedstawia się wizerunek polskiego żołnierza biorącego udział we wspomnianych bitwach. Najkrócej można go scharakteryzować jako nieustępliwego rycerza, będącego uosobieniem takich cnót jak honor, męstwo, odwaga, wierność ojczyźnie. Jeden z badaczy epoki nowożytnej, Józef Gierowski, kreśląc krótką charakterystykę polskiej wojskowości pisał, że jakościowo żołnierz polski wypadł dobrze na tle innych armii europejskich, a polska taktyka wojenna umożliwiała mu sukcesy nawet w walce ze znacznie przeważającym nieprzyjacielem. Dzieje polskiego oręża, zarówno średniowieczne, nowożytne jak i współczesne, zapisały niejedną piękną kartę bohaterstwa indywidualnego i zbiorowego w pełni potwierdzającą opinię historyka.

Nieznani polscy bohaterzy

Drodzy Czytelnicy,

Rozpoczynamy nową rubrykę o nieznanym polskim bohaterach. Dostajemy wiele pism polonijnych, kombatanckich, sybirackich, z których dowiadujemy się często o niezwykłych polskich losach, o wybitnych naszych Rodakach, rozsiadanych po całym świecie. Jestem przekonana, że żaden naród na świecie nie ma takiej ilości bohaterów i patriotów, nie ma tak pięknych, pełnych poświęcenia i tragizmu postaw, tak bogatej i dramatycznej historii. To są gotowe, niewiarygodne w swojej prawdzie scenariusze filmów, książek, tylko niewiadomo dlaczego filmy i książki najczęściej poświęcają ludziom nikczemnym i próżnym, sprawom drugorzędnym, różnym tematom przemijającym. Władza i media świadomie niszczą autorytety, kompromitują i atakują ludzi światłych, prawdziwie wielkich, uczciwość i patriotyzm stają się dzięki nim anachronizmem. Kto są idole naszej młodzieży, na kim wzorują swoje

życie i postępowanie? Każdy wie. To pięknie, że IPN Janusza Kurtyki przywrócił światu i naszej młodzieży Witolda Pileckiego, Inkę i setki, tysięcy innych wspaniałych bohaterów

Jesteśmy skromnym pismem polskim na Białorusi. Pragniemy donieść prawdę o wspaniałych niezwykłych Polakach, z których możemy być dumni, o których warto opowiadać swoim dzieciom i wnukom, swoim uczniom. Pisma polonijne z Kanady, RPA czy z Ukrainy są niedostępne Czytelnikowi na Białorusi czy w Polsce, więc postaramy się wybierać najciekawsze materiały i nimi z Państwem się dzielić. Prosimy Was, Nasi Drodzy, dzielić się także z nami materiałami z lokalnej prasy polonijnej. Niech o naszych wspaniałych Rodakach dowie się jak najwięcej ludzi dobrej woli, jak najwięcej młodzieży. Niech światło Ich dusz, piękno Ich czynów uszlachetnia nasze życie, dodadzą nam nadziei, otuchy i świadomości, że warto być wolnym i mężnym – wbrew wszystkiemu.

Alina Jaroszewicz

Z polskiej Marynarki do US Navy

Życiorys kapitana Stefana Wesołowskiego mógłby służyć za scenariusz kilku dobrych filmów. Jako dziecko brał udział w obronie Lwowa i Powstaniu Śląskim, potem zaciągnął się do Marynarki, walczył pod Narwikiem, pływał w konwojach do Murmańska, aż wreszcie został... dowódcą amerykańskiego lotniskowca.

Urodził się w Warszawie 31 stycznia 1909 roku w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Jego ojciec walczył podczas rewolucji 1905 roku, a dziadek i pradziadek brali udział w powstaniach styczniowym i listopadowym. Kiedy miał 9 lat (słownie: dziewięć) uciekł z domu i zaciągnął się do Legionów Piłsudskiego. Jako żołnierz piechoty brał udział w obronie Lwowa przed oddziałami ukraińskiej Armii Halickiej. Trzy lata później pojechał z kilkoma kolegami na Śląsk, gdzie walczył w Trzecim Powstaniu Śląskim.

Był zwiadowcą - przebrany za dziewczynkę pasącą krowy przemieszczał się dość swobodnie między niemieckimi jednostkami i zbierał informacje o ich dyslokacji. Odegrał również kluczową rolę w wysadzeniu w powietrze niemieckiego pociągu pancernego.

Za zasługi podczas obu kampanii otrzymał Krzyż Walecznych i awans na kaprała. Został najmłodszym kapralem II Rzeczypospolitej. Miał wtedy... 12 lat!

Kilku jego towarzyszy broni służyło wcześniej w carskiej Marynarce Wojennej. Zarazili oni młodego Stefana swoimi opowieściami o morzu do tego stopnia, że po ustaniu walk postanowił nie wracać do Warszawy, tylko udał się na Wybrzeże. Tam zaciągnął się jako chłopiec okrętowy na statek „Abdank”, a następnie przeniósł się na „Gazolinę” - szkuner, który stanowił załóżek nowopowstającej floty handlowej. Był jedynym Polakiem wśród kilkusobowej załogi. Pewnego dnia kapitan „Gazoliny” polecił mu uszyć polską flagę. Na-

Kapral Stefan Wesołowski
w 1921 roku





(Jako chłopiec okrętowy szkunera „Gazolina”.

Na zdjęciu Stefan Wesołowski siedzi w kole ratunkowym)

stępnie podczas krótkiej ceremonii Stefan wciągnął ją na maszt, nie zdając sobie sprawy z powagi chwili. To była pierwsza polska flaga na statku handlowym od ponad trzystu lat!

Praca na „Gazolinie” niezbyt przypadła mu do gustu. Armator skąpił pieniędzy i dobierał załogę na zasadzie „im tańszy, tym lepszy”, co sprawiało, że składała się ona z dość nieciekawych typów. Poza tym Stefan zawsze chciał służyć w Marynarce Wojennej. Dzięki wstawiennictwu admirała Kazimierza Porębskiego został w wieku 13 lat przyjęty do Szkoły Podoficerskiej Marynarki Wojennej, gdzie oprócz nauki marynarskiego fachu szybko nadrabiał braki w podstawowej edukacji (uciekł do wojska zanim nauczył się dobrze czytać i pisać). Mimo młodego, a wręcz dziecięcego wieku został szybko zaakceptowany przez załogi okrętów, na których służył. Jako wzorowy kadet został wysłany na szkolenie do Francji, gdzie pływał na pokładach okrętów „Condercet”, „Fortune” i „Bourrasque”. Tam szkolił się głównie w nawigacji i łączności.

Po ośmiu latach służby został przeniesiony do rezerwy i powrócił do marynarki handlowej. W 1930 roku otrzymał dyplom kapitana i objął dowodzenie holownikiem „Pollox”. Bardzo zaangażował się także w budowę portu w Gdyni. W 1934 roku ożenił się z Antoniną Kijańczyk i wkrótce na świat przyszli

jego dwaj synowie - Zdzisław i Jeremi. Pod koniec lat 30-tych rozważał przejście na wcześniejszą emeryturę, ale los postanowił inaczej...

24 sierpnia 1939 roku kapitan Stefan Wesołowski został zmobilizowany do służby w Marynarce Wojennej.

Miał przydział na okręt podwodny ORP „Orzeł”. Kiedy się na nim stawiał okazało się, że cała załoga jest w komplecie i brakuje dla niego odpowiedniego stanowiska. Udał się więc na niszczyciel „Wicher”, ale i ten posiadał skompletowaną załogę. W końcu został łącznościowcem na niszczycielu „Błyskawica”. Dwa dni przed wybuchem wojny niszczyciele „Błyskawica”, „Burza” i „Grom” przystąpiły do realizacji planu „Pekin”, który przewidywał, że w obliczu nieuchronnej wojny okręty te mają jak najszybciej wyruszyć w drogę do Wielkiej Brytanii. Wiadomość o wybuchu wojny zastała je już na Morzu Północnym. Wiosną 1940 roku „Grom” i „Błyskawica” otrzymały rozkaz udania się do Norwegii. Podczas bitwy o Narwik „Błyskawicę” zaatakował niemiecki samolot. Stefan otworzył ogień z działka przeciwlotniczego wskutek czego samolot zrzucił torpedę zbyt wcześnie - tak, że minęła ona dziób niszczyciela o metry. Sam podczas walki został ciężko ranny i po powrocie do Plymouth trafił do szpitala.

Za zasługi w kampanii norweskiej otrzymał drugi Krzyż Walecznych.

Po powrocie do zdrowia rozpoczął służbę na francuskich ścigaczach operujących na Kanale La Manche. Rany odniesione w Norwegii dały jednak o sobie znać i zmusiły Stefana do przerwania służby. Ponownie trafił do marynarki handlowej i przez dwa lata (1941-1943) pływał w atlantyckich konwojach.

Pewnego listopadowego dnia w 1943 roku stał na nabrzeżu w stoczni Brooklyn Naval Shipyard w Nowym Jorku, kiedy nagle podszedł do niego jakiś człowiek i powiedział, że generał Frank Ross, szef Korpusu Transportowego Armii Stanów Zjednoczonych chciałby z nim porozmawiać. Podczas rozmowy generał, znający doskonale przebieg kariery Stefana, zaproponował mu stanowisko zastępcy dowódcy lotniskowca eskortowego USS „Ganandoc”. Polak wyraził zgodę.

USS „Ganandoc” był masowcem przerobionym w brooklyńskiej stoczni na lotniskowiec pomocniczy. W ładowni mieścił 65 myśliwców, a dalszych 30 stało w pogotowiu na pokładzie.

Zadaniem lotniskowca była ochrona konwojów oraz dostarczanie samolotów i uzbrojenia do wojsk amerykańskich przygotowujących się w Wielkiej Brytanii do inwazji na Normandię.



(USS „Ganadoc”)

Podczas trzeciej podróży dowódca „Ganandoca” dostał zawału serca i na stanowisku zastąpił go kapitan Wesołowski.

Lotniskowiec wziął aktywny udział w lądowaniu aliantów we Francji w czerwcu 1944 roku. Został jednak poważnie uszkodzony przez niemiecką artylerię. Dowództwo spisało go na straty, jednak Stefan zmobilizował załogę do dokonania niezbędnych napraw i doprowadził pokiereszowany okręt do Plymouth. Jego służba podczas inwazji spotkała się z powszechnym uznaniem. Dowództwo US Navy zaproponowało nawet, że nazwą kolejny okręt USS „Wesołowski”, jednak polski kapitan nie zgodził się na to.

Pod koniec 1944 roku wśród polskich marynarzy rozeszła się wieść, że amerykańskim lotniskowcem dowodzi Polak. Pewnego dnia USS „Ganandoc” zawinął do portu w Southampton i zacumował obok „Błyskawicy”. Z polskiego niszczyciela udała się nań w odwiedziny grupa marynarzy. Kiedy weszli do kabiny dowódcy stanęli jak wryci. „Stefan! Co ty tu robisz?!” – wykrztusił w końcu jeden z nich.

W lutym 1946 roku Stefan Wesołowski otrzymał przepustkę w celu odszukania rodziny w Polsce. Zanim jednak tam pojechał, postarał się o list podpisany przez generałów Eisenhowera i McNary’ego. Ten dokument okazał się później bezcenny.

Stefan nie posiadał wtedy obywatelstwa amerykańskiego. Jako Polak służący w US Navy podejmował straszliwe ryzyko wracając do opanowanego przez komunistów kraju.

18 maja 1946 roku przybył do Frankfurtu, gdzie udało mu się załatwić miejsce w pierwszym samolocie lecącym do Warszawy. Kiedy siedział już na pokładzie jakaś młoda kobieta zaczęła go błagać ze łzami w oczach, by ustąpił miejsca jej córce. Ustąpił. Samolot rozbił się tuż za lotniskiem, zaraz po oderwaniu się od pasa...

W Polsce udało mu się odnaleźć rodzinę, której nie widział przez ponad sześć lat i która cudem przetrwała wojnę. Komuniści zaczęli jednak robić problemy

przy wyjeździe z Polski. Wesołowski dzięki listowi podpisanemu przez generałów dotarł do Bolesława Bieruta. Podczas rozmowy Bierut usilnie namawiał kapitana do pozostania w kraju. Obiecywał stanowisko admirała i zwierzchnictwo nad całą Marynarką Wojenną. Bezskutecznie. W końcu udało mu się uzyskać wizy wyjazdowe dla żony i synów.

Antonina Wesołowska wraz synami przyплыnęła do Nowego Jorku na pokładzie S/S „Washington”. W porcie czekał już na nią mąż i dziennikarze z nowojorskich gazet.



(Nareszcie razem – rodzina Wesołowskich w nowojorskim porcie)

Krótko potem kapitan Wesołowski został zdemobilizowany z US Navy i podjął pracę w marynarce handlowej.

Zanim się to jednak stało został zaproszony do Białego Domu, gdzie prezydent Truman osobiście podziękował mu za wybitną służbę.

Rodzina Wesołowskich uzyskała obywatelstwo amerykańskie i osiedliła się na Staten Island w Nowym Jorku. Stefan jeszcze przez dwadzieścia lat pływał pod amerykańską banderą. Jednocześnie działał aktywnie w środowiskach polonijnych. Został odznaczony wieloma medalami amerykańskimi, polskimi, brytyjskimi, francuskimi i rosyjskimi (odmówił przyjęcia tych ostatnich). Po przejściu na emeryturę zamieszkał w Miami Beach, gdzie zmarł w 1987 roku.

Jego starszy syn Zdzisław wstąpił do US Air Force podczas wojny w Korei. Po wojnie uzyskał doktorat i przez lata wykładał w Florida Memorial College w Miami. Młodszy syn Jeremi został farmaceutą i mieszka z rodziną w Yorba Linda w Kalifornii.

*Źródło: Zapiski z Granitowego Miasta
Biuletyn SPK w Kanadzie*

FORUM CZYTELNIKÓW

Wyrazem łączności Czytelników z Redakcją czasopisma są listy, bezpośrednia łączność, kontakty, współpraca. Dowodów okazywania nam sympatii, przekazywanych materiałów itp. jest coraz więcej i więcej. To wszystko cieszy, wspiera, buduje i łączy nas z sobą coraz ściślej. Spośród licznej korespondencji wybraliśmy zaledwie kilka przykładów – i to we fragmentach – które poniżej zamieszczamy.

Obok nich pozostają w Redakcji jeszcze inne, których należy wymienić:

- opracowania o Polesiu śp. ppłk Michała Aniszewskiego z Obornik Śl.,
- wspomnienia o Ziemi Kobryńskiej Pani Haliny Krajewskiej z Iławy,
- wspomnienia o Kosowie Poleskim Pani Marii Gordziejko z Warszawy,
- kolejne wspomnienia o Gimnazjum im. M. Rodziewiczówny w Kobryniu autorstwa Mieczysława Kitajczuka z Olsztyna,
- wspomnienia z Kobrynia Pana Adama Łęczyckiego z Bielska Podl.,
- wspomnienia Pani Leokadii Stanisławczyk z Gdyni, jak również szereg innych listów z różnych krajów i materiałów.

Wszystkich nie sposób zmieścić w kwartalniku z powodu ograniczonej objętości. W kopiach przekazujemy te wspomnienia uczniom polskich szkół społecznych za Bugiem.

Wszystkim Państwu najserdeczniej i gorąco dziękujemy za ponoszony trud, okazywane nam zaufanie i pokładane w nas nadzieje, które staramy się w miarę możliwości wypełniać z pożytkiem dla Sprawy Polskiej. (Red.)

A oto przykłady:

Szanowni Państwo,

Wszystko w życiu trzeba starać się przeżywać tak, żeby wynikało z tego dobro. Ta tragedia może być jak dotknięcie wieczności, może zmniejszyć powierzchowność naszego myślenia, niekonsekwentność naszych decyzji, może pomóc nam żyć bardziej świadomie, bardziej odpowiedzialnie. W ciągu 1 minuty szereg szczególnie znaczących, wpływowych osób w Polsce tak niespodziewanie zakończyło ziemski etap swej drogi i znalazło się na Sądzie Boga, którego miłosierdzie jest wielkie, tylko dla tych. Którzy rzeczywiście się nawracają. Jezus i nasz rozum powiedzieli nam już wielokrotnie, że tam nie będą

miały znaczenia nasze „sukcesy”, wpływy, kariera, pieniądze, przyjemności, itp., tam liczy się tylko wyłącznie etyczność naszego życia. Jaki użytek zrobiliśmy z tego, co tak naprawdę jedynie od nas zależy – z naszej wolności. To znaczy: na ile byliśmy wierni temu, co uważamy za prawdę, dobro i piękno, w tym zwłaszcza, ile dobra uczyniliśmy innym. W tej najważniejszej, ostatecznej perspektywie o wiele lepiej być etycznym, godziwym kierowcą kierownika, niż niegodziwym kierownikiem, o wiele lepiej być uczciwą sprzątaczką milionerki, niż nieuczciwą milionerką (...) Im więcej się uda nam uczynić przez skoncentrowaną pracę, modlitwę, miłość, bycie z innymi, tym więcej możemy sobie pomóc, tym bardziej możemy dopełnić to dobro, którego Oni już nie zdążyli dać z siebie, choć tak bardzo chcieli.

Ks. Dariusz



„Echa Polesia”

Uprzejmie zapytuję, czy byłaby możliwość druku w „Echach Polesia” mojego tekstu – wspomnienia. Dotyczy on mojej krewnej, która zmarła w Toronto w Kanadzie a przed wojną mieszkała przez wiele lat w Brześciu. Do tekstu dołączone jest archiwalne zdjęcie robione w 1944 r. w Libanie, gdzie moja krewna była żołnierzem armii gen. Władysława Andersa.

W Brześciu mieszkał mój dziadek starszy sierżant Piotr Łysiak z żoną Julianną z Romanowskich oraz czworo ich dzieci. Jedną z córek to moja mama. Dziadek pracował w brzeskiej twierdzy. Mieli dom na osiedlu Grajewka. Po wojnie zostali przesiedleni do Polski.

Wyrazy szacunku łączę

Jerzy Marciniak
Lund, Szwecja



(...) Pragnę również wyrazić swój pogląd o treściach i tematyce zamieszczanych w kwartalniku publikacjach. Jestem zdania, że Wasz społeczny wysiłek i edytorstwo zasługują na pełne uznanie. Jest wiele tego typu wydawnictw profesjonalnych, jednak nie dorównują w swej treści „Echom Polesia”, i to się naprawdę chwali!

Ciesz się mnie fakt, że kolejny numer 3(27) ma być poświęcony Kobryniowi. (...).

Łączę pozdrowienia -

Kazimierz Dobosz
Rzeszów

OD REDAKCJI:

W ostatnim numerze 2(26) „Ech Polesia”, w artykule H. Kaczan „Gimnazjum Państwowe im. M. Rodziewiczówny w Kobryniu (1915-1939)”, str. 25, wydrukowaliśmy błędne nazwisko Pana Kazimierza Dobosza, za co przepraszamy Pana Pułkownika.

Red.



(...) Jestem Wam ogromnie wdzięczna za kolejny numer „Ech Polesia”. Mogę tylko podziwiać jakie szybkie postępy czynicie w wydawaniu czasopisma, zarówno w treści jak i szacie graficznej, objętości oraz jakości. Gratuluję! Bezcenny jest załącznik SMOLEŃSK! (...)

Ważne jest to, że znów idę do przodu z monografią (dot. ks. Jana Wasilewskiego - dop. Red.) (...) Napiisałam już cały okres w Rosji: aresztowanie, wymiana z Łotwą, praca na Łotwie tj. do 1926 r. oraz ostatnie lata życia – okres na Syberii. Obecnie dopełniam dział życia i działalności na Polesiu – Pińsk, Drohiczyn. Bardzo jestem wdzięczna Państwu za przysłaną książkę ks. S. Ryżko „Trzeba zostać”. Cudowny ksiądz, wartościowe wspomnienia! Niestety, są jeszcze nie opracowane kartki z książki ks. M. Badowskiego „Wspomnienia” oraz listy od s. Bożeny z Czeladzi. (...)

Szczęść Wam Boże!

Jadwiga Radzinia
z Jelgawy, Łotwa

OD REDAKCJI:

Dziękujemy Pani Jadwidze za stałą, 21-letnią i owocną współpracę! Redakcja „EP” wraz z Fundacją im. T. Goniewiczza zamierzają drukować opracowywaną monografię o ks. Janie Wasilewskim, wybitnym kapłanie Polesia z lat międzywojennych.



Dziękuję za kolejny numer „ECHA” i za to wsparcie „Wprowadzenie”. To jest to, co wszyscy prawdziwi Polacy czują i mają takie przekonanie...

Zło się panoszy pysznie. Ale za błogosławionym ks. Jerzym mamy je dobrem, zwyciężać, ale to kosztuje, nawet życie! Heroizm na co dzień jest w wytrwałości i wierności sumieniu.

s. Konrada KDzJ



(...) Z „Echami Polesia” „zaprzyjaźniłam się” przed laty dzięki śp. Bogdanowi Mielnikowi, z którym mieliśmy wspólną ciocię Katarzynę Wemczyło, która tak jak moja babcia Adolfina Pułkotycka wywodziła się z rodu Winiarskich. Matka p. Bogdana była serdeczną przyjaciółką babci Kati.

My mieszkaliśmy w Pińsku, lecz prawie każde wakacje spędzaliśmy w Telechanach.

O swoim dzieciństwie pisałam trochę w „Echach Polesia” w artykule o przyjaźni z Ryszardem Kapuścińskim („EP” Nr 1(13)2007). W ostatnim numerze, jaki otrzymałam, znów wróciły wspomnienia, szczególnie po artykule „Biblioteki Polskie w województwie Poleskim przed 1 i po 17 września 1939 r.” Głównie zatrzymały moją uwagę dwie pozycje Nr 8 Biblioteka Państwowego Gimnazjum ul. Kościuszki 45, gdzie w tym czasie rozpoczęłam naukę i korzystałam z niej oraz poz. 16 – księgozbiór domowy pp. Twardowskich, z których córką Pepcią (Stefanią) byłam serdecznie zaprzyjaźniona. (...) Dwie córki pp. Twardowskich mieszkały w wynajętym mieszkaniu obok Gimnazjum im. J. Piłsudskiego, gdzie się uczyły. Trzecią naszą przyjaciółką z ławy szkolnej była Zosia Dzikowicka. Mam sporo zdjęć z tego okresu i chętnie je udostępnię Redakcji „Ech Polesia”, pod warunkiem ich zwrotu.

(...) Żałuję, że jestem taka wiekowa i niepełnosprawna, gdyż mam jeszcze jeden temat związany z moją rodziną i jej losami, z późniejszym księdzem a w czasie wojny z podchorążym śp. Zdzisławem Jastrzębiec Peszkowskim, kapłanem Rodzin Katyńskich.

Serdecznie zapraszam na wizytę. Z ogromną sympatią dla „Echa” –

Stanisława Mocek
Warszawa

OD REDAKCJI:

Z ogromnym żalem i bólem informujemy Państwa, że Stanisława Mocek już nie żyje!

Uznać należy, że był to ostatni list, a więc pożegnanie z „Echami Polesia”...

A tak wiele mieliśmy sobie do powiedzenia... I znów nie zdążyliśmy...

Niechaj nam wybaczy śp. Stanisława!



W pierwszym rządzie na ręce Państwa składam ogromne i najserdeczniejsze wyrazy wdzięczności i uznania za ten wielki trud przy wydawaniu „naszego” pięknego „Echa Polesia” i Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie oraz dla wszystkich ludzi uczestniczących w tym dziele.

Teraz parę słów o sobie. Urodziłam się w Łozowie, we wsi leżącej pomiędzy Sielcem i Berezą Kartuzką w roku 1930. W Berezie w 1944 roku ukończyłam szkołę podstawową, świadectwo mam w języku polskim i niemieckim. W roku 1946 repatriacja (wypędzenie) wraz z rodziną na Ziemię Lubuską. Z perspektywy moich 80 lat życia myślę, że każdy z nas Kresowian mógłby napisać swoją, czasami dramatyczną biografię. Pragnę powiedzieć, że czytając „Echa Polesia” przeżywam ogromne wzruszenia, przypominając wszystko, co przeżyłam na naszych pięknych Kresach. Dla utrwalenia pamięci o tych wspaniałych stronach i urodzonych tam Wielkich Polakach organizowałam odwiedzanie tych stron z moimi dziećmi i wnukami. Z córką dwukrotnie zwiedziliśmy okolice Kobrynia, Kosowa, Sielca i Berezę. Po miejscowości mojej rodzinnej wsi nie ma śladu, nawet garści ziemi nie mogłam wziąć. Obecnie jest tam lotnisko wojskowe. Odwiedziliśmy dawny majątek i miejsce wieloletniej pracy społecznej i literackiej Marii Rodziewiczówny w Hruszowej. Serce się krajało, patrząc co pozostało, jakie zniszczenia wielkiej pracy naszej Wielkiej Pani Rodziewiczówny. Tablica (foto obok) ufundowana przez Towarzystwo miłośników Wołynia i Polesia z Warszawy zarasta zielskiem i depcze po niej ptactwo domowe. Należałoby przynajmniej tę pamiątkę ogrodzić. (...) Zwiedziłam także inne nasze ziemie na Wschodzie. Z bólem serdecznym stwierdzamy staranne zacieranie wszelkich polskich śladów.

W kolejnym drugim liście Pani Bronisława Nowicka m.in. pisze:

(...) Ostatnio „Echa Polesia”, które czyta w mojej rodzinie wiele osób, wypożyczyłam w kilku egzem-

plarzach koleżance mojej wnuczki, która pisze pracę magisterską z socjologii na Uniwersytecie Wrocławskim o Kresowianach mieszkających we Wrocławiu w przekroju pokoleniowym. Pomoże to w poznawaniu ducha Kresów, mentalności ludzi i piękna tych Ziem. (...)

Bronisława Nowicka z d. Niemczynowska
Wrocław



Tablica pamiątkowa pod „Dewajtisem” Marii Rodziewiczówny w Hruszowej. Obok – autorka listu.



Z dumą i zaszczycem pragnę poinformować, iż zdjęcie rodaka rtm. Witolda Pileckiego z okładki Waszego kwartalnika „Echa Polesia” 1(21)2009 umieściłem w tablicy ogłoszeniowej Prawo i Sprawiedliwość w Rawiczu k/Wrocławia. Państwa czasopismo otrzymałem od brata Grzegorza z Krakowa. Ja, Józef Niemczynowski jestem ostatnim z rodu żyjący, a urodzony 19 marca 1944 roku na Polesiu w miejscowości Czerniczne k/Prużany, parafia Sielec z ojca Zygmunta i matki Bronisławy z d. Czernicka. Mam miłą wiadomość Poleszukom, iż we Wrocławiu będzie pomnik i rondo Witolda Pileckiego. Całą sprawę wzruszył i prowadzi zastępca przewodniczącego Rady Miejskiej Wrocławia p. Piotr Kuczyński. (...)

Józef Niemczynowski
Rawicz

Apel o poparcie dla projektu nowej ustawy o repatriacji Polaków ze Wschodu

W imieniu Światowej Rady Badań nad Polonią zwracam się do Państwa - Polaków w Kraju i na Obczyźnie o poparcie inicjatywy śp. marszałka Macieja Płażyńskiego związanej z przygotowaniem projektu nowej ustawy o repatriacji do Ojczyzny Polaków ze Wschodu. Projekt takiej ustawy przygotował Pan marszałek M. Płażyński tuż przed swoją śmiercią w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Projekt ten został złożony 31 maja 2010 r. w Kancelarii Sejmu RP, i jest to projekt który powstał z inicjatywy społecznej tzw. projekt obywatelski, i żadna partia polityczna nie może przypisywać sobie jego autorstwa. Aby jednak projekt ten mógł trafić pod obrady Sejmu musi go podpisać 100 tysięcy Polaków. Stąd nasza – Światowej Rady Badań nad Polonią inicjatywa przystąpienia do zbierania tych podpisów od Polaków zamieszkałych zarówno w Kraju jak i Zagranicą. Nasze Stowarzyszenie ŚRBnP wielokrotnie poruszało problem repatriacji Polaków ze Wschodu na naszych konferencjach naukowych czy w publikacjach książkowych, opracowaniach naukowych i referatach ciągle podkreślając konieczność prawidłowego i pilnego rozwiązania tego palącego narodowego problemu. Osobiście napisałem i opublikowałem szereg artykułów i referatów na ten temat nawet, na naszych łamach PAP Polonia dla Polonii (np. 29 sierpień 2001 r.) krytykując ostatnią ustawę o repatriacji z 2000 r. za to, że przenosi ciężar jej wykonania na władze lokalne, które nie będą mogły jej realizować – co się całkowicie sprawdziło.

Obecny projekt ustawy zobowiązuje władze centralne (rządowe) MSWiA do zabezpieczenia środków jej wykonania. Z pełną treścią projektu nowej ustawy o repatriacji, można się zapoznać na stronie internetowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, bo to Stowarzyszenie jest głównym koordynatorem całego przedsięwzięcia – tam też jest powołany komitet koordynacyjny prac związanych z tą ustawą, i tam można składać podpisy pod projektem tej ustawy. Swoje poparcie dla tej ustawy (podając nazwisko i imię oraz adres zamieszkania) można również składać na naszej stronie internetowej: <http://rpbnp.republika.pl> pod Apelem poparcia projektu nowej ustawy o repatriacji Polaków ze Wschodu.

Głównym celem proponowanej ustawy jest zrealizowanie akcji repatriacyjnej osób polskiego pochodzenia

ze Wschodu (a więc obywateli polskich sprzed agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 r. oraz ich dzieci już tam urodzonych z rodziców Polaków lub małżeństw mieszanych), które same bądź ich wstępni byli zesłani lub deportowani przez władze ZSRR w ramach stalinowskich represji i które wyraziły wolę powrotu do Macierzy” - czytamy w dokumencie. Projekt nowej ustawy zakłada przejęcie obowiązków przez polskie władze rządowe czyli MSWiA zapewnienie wykonania tej ustawy.

W tym miejscu warto wrócić trochę do historii. 17 września 1939 roku agresja sowiecka na Polskę (dokonana zgodnie z układem Ribbentrop-Mołotow) spowodowała zajęcie 49% terytorium II RP przez wojska sowieckie z 13 milionami obywateli polskich. Agresja była bezprawnym aktem przemocy. Z tych 13 milionów obywateli polskich 6 milionów stanowiła rdzenna ludność polska a pozostali to byli obywatele polscy pochodzenia żydowskiego, ukraińskiego, białoruskiego, litewskiego. Głównie z tych 6 milionów rdzennej ludności polskiej wymordowano inteligencję (Katyń, Ostaszków, Miednoje i inne obozy zagłady), a około 1,7 miliona (dane wg badań Normana Davisa) wywieziono w nieludzkich warunkach w głąb Rosji do niewolniczej pracy. Dziesiątki tysięcy zmarło z wycieńczenia, głodu, chorób. Z armią Gen. Andersa udało się wyprowadzić z tej nieludzkiej ziemi zaledwie ca. 120 tys. ludności polskiej (żołnierze i ich rodziny) a pozostali, którym udało się przeżyć wojnę i czasy stalinowskie, w większości już poumierali lub tkwią tam do dnia dzisiejszego. Dekretami Stalina odebrano im bezprawnie obywatelstwo polskie i przy pomocy NKWD zmuszono do przyjmowania obywatelstwa ZSRR. W myśl podpisanych przez Polskę konwencji human rights (Helsinki 1950) oraz polskich ustaw o obywatelstwie polskim (z 1920 r., 1951 r., 1962 r.) był to akt bezprawny, który niestety polskie władze komunistyczne po drugiej wojnie światowej PRL, oraz obecne po 1989 r. III RP milcząco akceptują, a wysiłki dotychczasowe pomocy Polakom na Wschodzie (repatriacje lat 1944-1946, 1957-1959 oraz Karta Polaka 2007 r.) nie rozwiązują problemu do końca.

Jakie to były dotychczasowe fale repatriacyjne ze Wschodu? Pierwsza w latach 1944-1946 objęła 1.740 tys. osób ze wszystkich republik ZSRR, ale głównie była to repatriacja z republik: Litwy, Białorusi i Ukrainy. Druga repatriacja Polaków z ZSRR to ta załatwiona przez

W. Gomułkę (Porozumienie repatriacyjne z 25 marca 1957 r. (na mocy którego sprowadzono do Polski z ZSRR 245.501 osób). Nie należy porozumienia reparacyjnego z 1957 r. (W. Gomułki), mylić z konwencją ZSRR-PRL z 1958 r. (naprawdę mało lub zupełnie nieznaną). Wreszcie repatriacja wynikająca z ostatniej ustawy repatriacyjnej po 2000 r. – sprowadzono ca 4 tys. osób z ZSRR. Łącznie od zakończenia drugiej wojny światowej sprowadzono do Polski z ZSRR ca 1,9 mln osób a więc ciągle poniżej 2 mln.

Warto przypomnieć, że 17 września 1939 r. ZSRR zagroził obszar połowy II Rzeczypospolitej z 13 milionami polskich obywateli tam mieszkającymi. Trudno się więc dziwić, że ocena naszych, polskich rządowych dotychczasowych wysiłków repatriacyjnych dla Polaków na Wschodzie jest tak niska, skoro tak niewielki procent prawowitych polskich obywateli i ich dzieci otrzymał szansę i pomoc powrotu do Ojczyzny.

Obecnie obowiązująca ustawa o repatriacji z 9 listopada 2000 r. (stosunkowo nie tak dawno uchwalona) jest praktycznie martwa, bo cały ciężar zobowiązań związanych z jej wykonaniem spoczywa na władzach lokalnych (samorządowych) w Polsce, które nie są w stanie jej wykonać (brak środków finansowych na mieszkanie, brak miejsc pracy, brak środków finansowych na zapomogi dla repatriantów). Przez cały okres dwudziestolecia niepodległej Polski (po 1989 r.) powróciło z azjatyckich byłych republik byłego ZSRR (bo tylko ten region był uwzględniony w ustawie) zaledwie około 4 tys. osób. W tym samym okresie dla porównania Niemcy sprowadziły z tego regionu 700 tys. swoich rodaków, Izrael 1.700 tys., nawet biedna Mongolia 200 tys.

Jakie są główne przyczyny takiego stanu rzeczy?

* Wydaje się, że dyplomacja III RP „chowa głowę w piasek” nie stawiając jasno na arenie międzynarodowej sytuacji Polaków na Wschodzie po II w.ś. i wynikających z tego tytułu tragedii ludności polskiej, jak również możliwości uzyskania pomocy międzynarodowej. Ten temat nie może być zbywany milczeniem, bo grozi to pogorszeniem stosunków z Rosją – jak dziś myślą i działają rządzący w III RP (nie jest to prawda a raczej niepotrzebna „nadwrażliwość” z strony naszej władzy). Tu chodzi o prawdę i pomoc Polakom na Wschodzie jak również o zawarcie szeregu umów z Rosją i krajami byłego ZSRR o możliwości zachowania ciągłości pracy oraz wypłacania świadczeń za lata tam przepracowane.

*. Cały demokratyczny świat głośno krzyczy o prawach człowieka (human rights), a my Polacy nie potrafimy zapewnić praw człowieka dla naszych Rodaków na Wschodzie. W ich przypadku dalej obowiązują dekrety

stalinowskie, mimo, że cały świat jednoznacznie ocenił okres Hitlera i Stalina.

*. Polonia na świecie współpracując z władzami III RP powinna temat Polaków na Wschodzie stawiać jako temat międzynarodowy, celem uzyskania funduszy na taką skalę aby zapewnić warunki do prawdziwej repatriacji Polaków ze Wschodu do Ojczyzny. To jest temat na sesje ONZ, Parlamentu Unii Europejskiej, Senatu USA (sprawy międzynarodowe), Banku Światowego etc. Jeżeli obalono postanowienia Jałty i Poczdamu, to trzeba likwidować tragiczne skutki tych układów w skali międzynarodowej. Problem Polaków na Wschodzie powstał w wyniku tych układów. Dlaczego polskie MSZ (m.in. R. Sikorski) nie stawia problemu Polaków na Wschodzie na forum międzynarodowym celem uzyskania pomocy finansowej międzynarodowych organizacji – to trudno zrozumieć. Samą Polskę na pewno nie stać na finansowanie całego projektu repatriacji Polaków ze Wschodu, ale przy pomocy międzynarodowej jest to zupełnie możliwe tylko polskie władze muszą o taką pomoc występować.

* Widzimy dotychczasowe wysiłki III RP na rzecz repatriacji Polaków ze Wschodu (Wspólnoty Polskiej, Senatu III RP), ale tym sposobem jeszcze za sto lat problemu tego nie załatwimy. Muszą znaleźć się duże międzynarodowe pieniądze na ten cel, a to bez jasnego stawiania spraw przez dyplomację III RP na forum międzynarodowym nie ma szans realizacji.

*. Wreszcie Polonia na Wschodzie musi przyjąć nieco aktywniejszą postawę i z pozycji „proszącego” przejść do roli współdziałającego w realizacji tego celu. Trzeba określić przy pomocy polskich placówek konsularnych i polskich organizacji i stowarzyszeń działających na Wschodzie zakres repatriacji Polaków ze wszystkich terenów byłego ZSRR oraz przygotować się organizacyjnie do takiego wysiłku. To zadanie bardzo trudne ale w XXI wieku możliwe.

Polska i Polacy na Wschodzie potrzebują dobrej ustawy o repatriacji, która wreszcie nie tylko „teoretycznie – tak jak ta obecna z 2000 r.”, ale również praktycznie zacznie rzeczywiście funkcjonować. Polacy na Wschodzie, z wyjątkiem tylko tych, którzy rzeczywiście dobrowolnie chcą tam pozostać ze względu na groby rodzinne i ziemie ich ojców czy dziadków czy inne względy osobiste, muszą mieć drzwi szeroko otwarte na powrót do własnej Ojczyzny. Nowy projekt obywatelski ustawy o repatriacji z maja 2010 r. takie warunki umożliwia, więc należy go popierać składając pod nim swój podpis, co niniejszym czynię.

prof. Walter Wiesław Gołębiowski,
prezes Światowej Rady Badań Polonijnych, USA,
18 czerwiec 2010 r.

MISTRZOWIE POLITYKI ODGŁAWIANIA

Poprzedniczka dzisiejszej Rosji, średniowieczna Ruś, od czasu wejścia na karty historii obfituje w obrębie swego terytorium w nader częste władcobójstwa. W tamtym czasie powstawały liczne księstwa ruskie i równie szybko znikwały wcielane w obręb innych księstw po zamordowaniu przywódców, twórców tych księstw. Gdy księstwo traciło przywódcę (głowę), stawało się bezwolne, podatne na przyporządkowanie się nowemu władcy. Sam Włodzimierz Wielki, ten, który ochrzcił Ruś w obrządku greckim, a później został przez Cerkiew Prawosławną ogłoszony świętym, zagarnął wcześniej księstwa swoich braci, a jednego z nich, który oddał się w jego ręce, zamordował. Zjednoczoną przez siebie Ruś Włodzimierz Wielki podzielił między 12 synów, czyniąc najstarszego z nich, Światopełka, władcą księstwa kijowskiego. Światopełk, po śmierci ojca, zamordował trzech braci i szykował się do usunięcia innych, ale energicznie przeciwstawił mu się inny z jego braci, Jarosław.

Podobne scenariusze zabójstw i odbierania sobie księstw powtarzały się na Rusi [a potem w Rosji] w następnych wiekach.

W oparciu o zapiski wczesno-średniowiecznych kupców i podróżników historycy charakteryzują Słowian tamtych czasów w sposób następujący: „Chociaż są swarliwi i porywczy, nie są wojowniczego usposobienia, a za broń chwytają tylko w potrzebie. Są łagodni w obchodzeniu się z jeńcami, charakteryzuje ich szczerść i gościnność”.

Skąd więc taki kontrast między tą charakterystyką Słowian a faktem mordowania się książąt jedni drugich na Rusi i odbierania sobie księstw?

Od VIII wieku na ziemi Słowian Wschodnich, a nawet dalej, do Bizancjum, podejmowali wyprawy łupieckie Waregowie, plemię Normandzkie ze Skandynawii. Oni też w połowie IX wieku założyli pod swoim władztwem pierwsze księstwa ruskie, podporządkowując swojej woli wolne dotąd ludy wschodnio-słowiańskie.

Nazwa Ruś wzięła się od nazwy rodu Waregów, którzy te księstwa zakładali – Rusowie. Ci samozwańczy władcy tworzonych na obszarze wschodniej Słowiańszczyzny księstw, walczyli ze sobą i mordując jedni drugich jednoczyli Ruś, by potem na powrót dzielić ją, oddając księstwami swoich synów.

Do dawnego słowiańskiego ustroju wieców (zgromadzenie wolnych mężczyzn) udało się powrócić księstwu, którego ośrodkiem politycznym, gospodarczym i kulturalnym był Nowogród Wielki. W tej Rzeczypospolitej faktyczną rolę przywódczą sprawowali bojarzy, kupcy i duchowni. Podczas zgromadzeń (wieców) wybierali księcia, wybierali dowódcę wojsk oraz zwierzchnika Cerkwi (patriarchę). W tym wolnym kraju nastąpił ogromny rozkwit gospodarczy i kulturalny (architektura, sztuka, piśmiennictwo, zwłaszcza historyczne).

Niestety, sąsiadujące z Rzeczpospolitą Nowogrodzką Księstwo Moskiewskie tkwiło w despotyzmie wprowadzonym przez Warego-Rusów, a wzbogaconym jeszcze bezwzględnością wszczepioną moskwiczanom przez Mongołów Dżyngis-chana.

Iwan III Srogi, po uwolnieniu się spod zależności od Mongołów, pod pretekstem jednoczenia ziem ruskich, pokonał i podporządkował sobie tę wolną Rzeczpospolitą, mordując i wywożąc w głąb swojego księstwa warstwę przywódczą, tj. bojarów, kupców i duchownych (1478 r.).

Blisko sto lat później, gdy Polska i Litwa zawarły Unię w Lublinie, wśród ludności Nowogrodu Wielkiego ożył duch tęsknoty za dawną wolnością. Wówczas car Iwan IV Groźny kazał zatłuc kijami i wymordować setki duchownych i kupców, a ich żony z przywiązanymi do nich dziećmi spychano do rzeki pilnując, aby nikt nie ocalał. Zginęło wówczas ponad 25 tysięcy ludzi. Odtąd w umysłach ludzi tej ziemi myśl o wolnej Rzeczypospolitej Nowogrodzkiej nie pojawiła się już nigdy.

Tę metodę mordowania klasy przywódczej i samych przywódców Rosjanie stosowali wielokrotnie także do Narodu polskiego. Podczas powstania styczniowego Rosjanie rozstrzelali lub wieszali wziętych do niewoli dowódców oddziałów powstańczych, a wytropionych i uwięzionych członków Rządu Narodowego z jego kierownikiem Romualdem Trauguttem powiesili na słupach cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 roku.

Po blisko 80 latach, w kwietniu i maju 1940 roku w okolicach Mińska, Kijowa, Smoleńska, Starobielska i Ostaszkowa wymordowano polską inteligencję, urzędników, nauczycieli i oficerów wyłapanych i uwięzionych po agresji Rosji sowieckiej na Polskę we wrześniu 1939 r. Ich żony i dzieci wprawdzie nie zostały poto-

pione, jak zrobił to car Iwan IV Groźny w Nowogrodzie Wielkim, ale wywieziono je na Sybir z myślą, że wyginą tam z głodu, zimna, chorób i ciężkiej pracy w tajdze.

Pięć lat później, gdy Armia Czerwona wypędzając Niemców wkroczyła na ziemie polskie, rozbrajała oddziały Armii Krajowej, które znalazły się na jej tyłach, a żołnierzy AK w większości przypadków aresztowano i wywożono na Sybir. To zmusiło polskie władze podziemne do pozostania w ukryciu. Ale ten stan nie mógł trwać długo.

W myśl decyzji mocarstw zwycięskich, podjętych w Jałcie, w Polsce winien powstać Rząd Jedności Narodowej. Poza tym, tak Polacy, jak i Rosjanie walczyli z tym samym wrogiem, z hitlerowskimi Niemcami. Te przesłanki przemawiały za tym, że polskie władze podziemne mogą dojść do porozumienia z Rosjanami, wyjść z ukrycia i uczestniczyć w nadawaniu kształtu ustrojowego powojennej Polsce.

Jak potoczyły się losy polskich władz podziemnych ilustruje wypowiedź członka tych władz, przedstawiciela ludowców, pełniącego funkcję delegata Rządu na Kraj, ministra Adama Bienia (Adam Bień, „Wyprawa moskiewska”, Staszów 1989):

„Któregoś dnia w pierwszej połowie marca (1945 r. – dop.ZD) na posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów, niespodziewanie zjawia się Okulicki i czyta napisany po rosyjsku list, który otrzymał od pułkownika wojsk NKWD Pimionowa za pośrednictwem osoby dziś mu już nie znanej. W liście tym Pimionow zaprasza generała Okulickiego na rozmowę, której celem będzie uregulowanie stosunków między armią sowiecką a Armią Krajową. Pułkownik Pimionow słowem honoru oficera sowieckiego zapewniał generałowi Okulickiemu bezpieczeństwo.

Wiadomość powyższą ja osobiście (przynaję to) przyjąłem z zadowoleniem – widziałem bowiem możliwość jakiegoś pokojowego uregulowania napiętych stosunków polsko-sowieckich.

Okulicki pyta wprost, jak ma się odnieść do śmiałej inicjatywy sowieckiej. ... Wszyscy jednomyślnie tłumaczymy Okulickiemu, że wobec tak uroczystej gwarancji jego obawy nie są uzasadnione. Byłem wśród tych, którzy go wtedy przekonywali i żyję teraz ciągle w poczuciu krzywdy, którą mu wyrządziłem.

Wkrótce potem odbyła się rozmowa Okulickiego z Pimionowem (w kwaterze NKWD w Pruszkowie – dop. ZD).

W dniu 28 marca 1945 roku o godz. 12 w kwaterze Pimionowa miało się odbyć spotkanie całego zespołu kierowniczego Polski podziemnej – Delegatury Rządu, Rady Jedności Narodowej, Krajowej Rady Ministrów, stronnictw politycznych i Armii Krajowej – łącznie 16 osób – z przedstawicielami władz sowieckich. Tematem rozmów z Rosjanami miała być sprawa utworzenia Rządu Jedności Narodowej z premierem Mikołajczykiem na czele”.

W wyznaczonym dniu i o oznaczonej godzinie przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego stawili się w kwaterze NKWD w Pruszkowie, licząc na to, że już tam są Okulicki, Jankowski i Pużak, z którymi utracono łączność. Tymczasem nie było tam ani trzech wymienionych głównych postaci, ani pułkownika Pimionowa, ani narady. Byli natomiast funkcjonariusze NKWD, którzy przybyłym nakazali czekać. Po dłuższych naleganiach polskich delegatów wyjaśniono im, że Okulicki, Jankowski i Pużak właśnie dolatują do Moskwy.

Następnego dnia, tj. 29 marca wywieziono pozostałych 13 przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego do Moskwy i umieszczono ich jako więźniów na Łubiance. Od 31 marca 1945 roku rozpoczęły się codzienne całonocne, dręczące, a czasem brutalne przesłuchania.

Proces polityczny 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, pod zarzutem nielegalności działania AK i Rady Jedności Narodowej odbył się w dniach 18-21 czerwca 1945 roku w Moskwie. Na kary więzienia od 4 miesięcy do lat 10 skazanych zostało 13 z 16 oskarżonych.

Generał Okulicki zginął w niewyjaśnionych okolicznościach siłą wyprowadzony z celi w dniu 24 grudnia 1946 roku. W więzieniu zmarł Jan Stanisław Jankowski – delegat Rządu na Kraj, wicepremier. W więzieniu zmarł też Stanisław Jasiukiewicz – zastępca delegata Rządu, minister. Pozostali po odbyciu kary więzienia w Moskwie, wrócili do Polski, skazani przez władze PRL na wykluczenie z życia zawodowego i społecznego.

Przytoczone przykłady losów naszych rodaków, spośród wielu innych, pokazują jaką cenę płaci się przy naszym położeniu geopolitycznym za dążenie do wolności i niepodległości.

Narzuca się jeszcze jedna uwaga, że przy dzisiejszym rozwoju techniki wszyscy ci, którzy hołdują metodom stosowanym niegdyś w polityce przez bandycko usposobionych Warego-Rusów, mają zadanie wielce ułatwione.

Zbigniew Dreła

NIEWYPLAKANE ŁZY

Koniec „pierestrojki” ukazywał coraz więcej tajemnic. Były one czasem straszne i z trudem mieszczące się w wyobraźni. Bo w jaki sposób człowiek mógł pod koniec XX wieku dojść do takiego absurdu, by tysiącami zabijać sobie podobnych, najczęściej niewinnych ludzi?

Będąc krajoznawcą, a przy tym, wiele przy tym podróżując po Polesiu, pewnego razu usłyszałem, że w lesie za wioską Wólka Horodyszczańska znajduje się zbiorowa mogiła sprzed wojny z nieznanymi ofiarami. Niestety, nie ma informacji, kto tam jest pochowany. Wiadomo natomiast, że przed wojną w Pińsku istniały aż cztery, wypełnione po brzegi, więzienia NKWD. Zgodnie z rozkazem Ławrentija Berii więzienia te, na początku wojny, trzeba było „oczyścić” z „wrogów ludu”. Jak to się odbywało – można tylko przypuszczać, bo domysłów i plotek na ten temat krąży sporo po mieście do dzisiaj.

Jeden z mieszkańców Pińska Nikołaj Paluchowicz wspominając te czasy opowiadał mi, że wraz z wybuchem wojny i natychmiastowej, panicznej ucieczce komitetu partii oraz innych przedstawicieli radzieckich władz, w mieście nastał czas całkowitego bezprawia i anarchii. Nikołaj Paluchowicz wyruszył wtedy na poszukiwanie swojej matki, która została wcześniej aresztowana przez NKWD za przynależność do cerkiewnego komitetu parafialnego. To, co zobaczył na podwórzu byłego teatru Korzeniowskiego, z którego władza radziecka zrobiła więzienie, wywołało jego przerażenie, ponieważ całe podwórze wypełniały zmasakrowane ciała pomordowanych ludzi, a ściany budynku oraz piwnic ociekały krwią ofiar. Niestety, nie udało mu się odnaleźć swojej matki. Znany jest też przypadek, kiedy na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, podczas prac budowlanych przy restauracji pińskiego kolegium jezuickiego, przypadkowo zostały odkryte przez robotników podziemia, wypełnione ludzkimi szkieletami. Z rozkazu władz piwnice te wtedy natychmiast zamurowano, ale wiadomość o tym strasznym znalezisku przedostała się poza mury byłego więzienia NKWD. Wszystko to oraz podobne inne fakty, także w czasach obecnych nie pozostawia w spokoju sumień mieszkańców Pińska. Dlatego, że do dnia dzisiejszego pozostają niepochowani. Brak nazwisk i grobów. Wynika z tego, że do dnia dzisiejszego w naszym kraju rządzą ludobójcy, duchowi naśladowcy Stalina. Nie otworzą archiwów, nie postawią pomników, nie umieszczą na nich nazwisk niewinnych, pomordowanych ludzi. Dlatego trzeba zwracać się do, niestety już nielicznych, ale jeszcze żyjących, naocznych świadków tych strasznych wydarzeń, aby zachować je w naszej pamięci i pamięci przyszłych pokoleń.

Jeżdżę więc po wioskach do ludzi, których krewni lub bliscy byli poddani stalinowskim represjom. Trzeba przecież przynajmniej cokolwiek dowiedzieć się o leśnej mogile pod Wólką Horodyszczańską. Swoje poszukiwania rozpoczynam od tej wioski.

Oto relacje jednego z mieszkańców wioski - Sylwestra Żdana, który w 1941 roku miał 16 lat:

– W poniedziałek, 23 czerwca 1941 roku ja razem z jeszcze kilkoma mężczyznami z naszej wioski pojechałem do młyna w Parachonsku. Droga wiodła przez młody las. Po przejechaniu około czterech kilometrów, zobaczyliśmy przy samej drodze świeżo zasypany dół. Pomyśleliśmy wtedy, że to pińscy Żydzi zakopali w nim swój dobytek. Wracając już następnego dnia zatrzymaliśmy w tym miejscu, i poodrzucawszy przykrywające gałęzie, rękoma zaczęliśmy odgarniać piasek. Na głębokości około 30 cm nagle ukazały się ludzkie szczątki. Przerażeni, zasypaliśmy je z powrotem i w pośpiechu odjechaliśmy do domu.

Na chwilę Sylwester przerywa swoje opowiadanie, bo jedziemy już do lasu na miejsce mogiły, którą dokładnie pamięta. Człowiekowi nieświadomemu zaś miejsce to wcale nie kojarzy się z mogiłą. Po dotarciu stwierdzamy, że ktoś jednak już był tu przed nami, nie wiadomo czego szukając, bo na miejscu mogiły leżą pojedyncze kości ludzkie. Towarzyszy nam Prezes Horodyszczańskiego „sielsowietu” - wójt gminy. W jej obecności mieszkańcy będą odważniej składać relacje. A na razie o wydarzeniach z początku wojny dalej opowiada już sama Prezes:

– Jeszcze przed samym wybuchem wojny – 20 czerwca 1941 roku trwał ciąg aresztowań i represji. W pierwszej kolejności NKWD zabierało mężczyzn, często z żonami oraz dziećmi. Skład towarowy, wypełniony „wrogami ludu” stał na stacji Pińsk do 22 czerwca 1941r. i zdążył, mimo bombardowania przez niemieckie lotnictwo, przez Łuniniec, odjechać na Wschód. Krewni represjonowanych, jednak, o tym nie wiedzieli. Wieść o zbiorowej mogile w lesie za Wólką Horodyszczańską szybko rozeszła się po okolicznych wsiach, trwając ich mieszkańców. Bo wielu z nich już wiedziało, co się dzieje za murami więzień NKWD. Pomordowanych ludzi do mogiły w tym lesie przywożono w nocy z 23 na 24 czerwca. Wszystkie 53 osoby najprawdopodobniej zostały uduszone lub zrzucone do dołu jeszcze za życia. Podczas ekshumacji zwłok, przeprowadzonej za pozwoleniem Niemców w dniu 12 lipca 1941r., stwierdzono, że wszystkie ofiary, z wyjątkiem jednego mężczyzny, były ubrane w jednakową bieliznę. Wtedy też na miejscu pochówku został postawiony nagrobek z napisem w języku polskim - „Tutaj zostały zamordowane przez komunistów 53 ofiary”.

Mieszkaniec Wólki Horodyszczańskiej Grigorij Walerjanowicz Lutyj (w 1941 roku miał 11 lat) nie był obecny 12 lipca, podczas ponownego pochówku pomordowanych ofiar. Z opowiadań mieszkańców wsi jednak wiedział, że ofiary te przywieziono z więzienia w Pińsku. Wszyscy pomordowani mieli ręce i nogi skrępowane drutami, a usta zatknięte szmatami. Przebywając wśród partyzantów, w 1943 roku był świadkiem zburzenia pomnika grobu, który wcześniej zbudowali.

A oto wspomnienia o tamtych czasach Marii Pawłowny Terleckiej (w 1941 roku miała 16 lat):

– *Naszą rodzinę represjonowano. Mnie jednak nie zdążyli zabrać, dlatego później nosiłam swoim do pociągu jedzenie. Z wysyłki powróciła tylko matka, - ojciec już nie. Po wojnie, w 1946 roku NKWD aresztowało ocalałych „wrogów”. Mnie też aresztowano. Więzienie w Pińsku było prawdziwym piekłem. Pamiętam, jak bito mnie głową o ścianę, zaciskano palce we drzwiach – wszystko po to, abym zeznała, że wydałam Niemcom deputowanych z Wólki, a ja byłam niewinna. W więzieniu ludzi doprowadzano do takiego stanu, że na salę sądową, która mieściła się w kolegium, przyprowadzano ich trzymając pod ręce, tak umęczonych, że byli gotowi przyznać się do każdego zarzutu, byle już w końcu umrzeć. Dostałam 10 lat łagrów, budowałam kolej żelazną na Pieczorze i Salechardzie. W 1954 roku zostałam zrehabilitowana.*

Na marginesie taki oto szczegół: w zamian za każdego wykrytego „wroga ludu” pracownik NKWD dostawał 50 rubli premii.

Maria Jefimowna Sieliwon, mieszkanka wsi Klin (w 1941 roku miała 17 lat), na początku nic nam nie chciała powiedzieć. Po paru minutach, jednak rozplakała się i przez łzy zaczęła opowiadać o tych strasznych dniach:

– *Rodziców moich aresztowano na dwa dni przed wybuchem wojny [1941 r.]. Kiedy dowiedziałam się o odkryciu zbiorowej mogiły w lesie - też tam poszłam. Mogiła była już częściowo rozkopana, a kilka zwłok leżało na brzegu. Wszystkie miały związane ręce i zatłane usta, wszystkie oprócz jednej w bieliznie. Zapadł mi w pamięci jeden, rudy nieboszczyk, w wieku około 50 lat. Ludzie mówili, że wszystkie te ofiary przywieziono z pińskiego więzienia już uduszone. Śladów po użyciu broni palnej na ciałach pomordowanych nie było widać. Wielu ludzi z wioski miało nadzieję wśród tych zwłok odnaleźć swoich zaginionych krewnych, ale wszyscy pomordowani mężczyźni byli nieznani. Obok wykopano drugi dół. Patrzeć na ten nowy pochówek brakło sił. Szloch i płacz było słychać w całym lesie. Po wojnie dowiedziałam się, że ojciec mój trafił na front, a matka ze starszą siostrą - wróciły.*

Nastasja Iosifowna Goroch (w. Suszick, w 1941 roku miała 17 lat) mówi:

– *Na trzeci dzień wojny pasłam krowy na błocie. Kiedy krowy uciekły do lasu, rzuciłam się, aby je wypędzić i niespodziewanie natrafiłam na miejsce z świeżo przekopaną ziemią, przykryte gałęziami. Nie wiem jak, ale coś mnie od razu tknęło, że tu są pochowani ludzie.*

Jekatierina Nikiticzna Sieliwon ze wsi Horodyszcze:

– *Aresztowano mojego męża. Gdzieś na czwarty dzień wojny po odkryciu mogiły w lesie udałam się tam razem z dwiema kobietami (matką i córką) szukać swoich krewnych. Rozkopywałyśmy rękami. Odkopałyśmy pierwszego. Był w zielonym polskim mundurze, spod munduru wystawała żółto-zielona koszula. Ręce miał związane sznurkiem, a w ustach szmatę. Na rękach – białe ślady po*

sznurkach. Twarz pociemniała. Wszyscy zostali uduszeni. Nie wytrzymałyśmy tego koszmaru, uciekłyśmy do domu.

A więc, kto był pochowany w zbiorowej leśnej mogi-le? Możemy tylko przypuszczać, ponieważ wszystkie ofiary miały na sobie jednakową bieliznę, a wszyscy naoczni świadkowie twierdzą, że nie była to bielizna chłopska, - że byli to raczej wojskowi.

Próbujemy jeszcze raz wyjaśnić okoliczności tej zbrodni, kierując się tym razem do miejscowości, położonych po drugiej stronie Pińska. Być może odnajdziemy któregoś z byłych przedwojennych więźniów pińskich? Maria Ignatjewna Czerkaszina przed wojną pracowała jako pielęgniarka w szpitalu w Pińsku. Od września 1939 roku przez jej ręce przeszło wielu rannych oficerów polskich. W grudniu 1940 roku rozpoczęły się masowe aresztowania inteligencji pińskiej. Część aresztowanych wywożono na Syberię, część została zamordowana przez NKWD. Krewnych pani Marii też zaliczono do „wrogów ludu”. W piwnicach przy ulicy Lenina pobito na śmierć jej koleżankę – pielęgniarkę Minaus. Maria Ignatjewna powiedziała nam, że do szpitala często przychodzili ludzie i opowiadali, że w piwnicach mordują ludzi. Na początku wojny, kiedy w mieście nie było żadnej władzy, z tych piwnic wynoszono zmasakrowane ciała.

Wiosną 1940 roku w okolicach Pińska, Żabczyc, Janowa utworzono cztery obozy koncentracyjne. Wśród więźniów byli: Tatarzy, Udmurci, Mołdawianie i kozacy z Krasnodarskiego kraju. Wszystkich wykorzystywano do budowy wojskowych lotnisk. W każdym łagrze trzymano po 1500-2000 osób. Jak opowiadają świadkowie, mieszkańcy okolicznych wsi, podczas wybuchu wojny, wielu więźniów z tych łagrów zdążyło uciec, inni mówią, że widzieli też jak więźniów samochodami wieziono na północ w kierunku Łogiszyna. Za Łogiszynem nieprzerwanie ciągną się bagna i lasy. W Iwacewiczach już byli Niemcy. Jaki dalszy los spotkał więźniów tych obozów? Chyba nie dowiemy się tego nigdy.

Obecnie na miejscu zbiorowej mogiły w lesie za Wólką Horodyszczańską został postawiony pomnik w kształcie krzyża. Zbudowali go mieszkańcy Pińska (oprócz komunistów). Corocznie miejsce to odwiedzane jest, by uczcić pamięć pomordowanych.

Nie gaśnie też nadzieja, że może ktoś z dawnych pińczuków przechowuje w swojej pamięci opowiadania rodziców, krewnych lub znajomych, albo własne wspomnienia i przeżycia, i że zechce z nami nimi podzielić.

Aleksy Dubrowski,
krajoznawca
Pińsk

Tłumaczenie na j. polski
Eugeniusz Lickiewicz
Prużana

Szanowni Państwo,

Uprzejmie zapytuję, czy byłaby możliwość druku mojego tekstu – wspomnienia. Dotyczy on mojej krewnej, która zmarła w Toronto, a przed wojną mieszkała przez wiele lat w Brześciu. W Brześciu też mieszkał mój dziadek sierżant Piotr Łysiak z żoną Julianną z Romanowskich oraz czworo ich dzieci. Jedna z córek to moja mama. Dziadek pracował w twierdzy brzeskiej. Mieli dom na osiedlu Grajewka.

Jerzy Marciniak, Szwecja

W Toronto zmarła Zofia Lucyna Łysiak-Antoniszyn. Harcerka, żołnierz Armii gen. Władysława Andersa, człowiek szlachetny i uczciwy. Odcisnęła swoje ślady w historii Polski, a wydarzenia historyczne odcisnęły piętno na jej długim życiu.

Zofia Lucyna urodziła się w Lublinie 27 lipca 1919 r. Była córką zawodowego starszego sierżanta Piotra Łysiaka i Julianny Romanowskiej. Ojciec jej matki pracował w majątku ziemskim Ryki, należącym wówczas do hrabiów Nowina-Jezierskich. Natomiast dziadek po mieczu był właścicielem młyna wodnego na jakiejś małej rzeczce wpadającej do Wieprza.

W trzy lata później przeniosła się z rodzicami do Brześcia. Tam ojciec jej otrzymał pracę w twierdzy brzeskiej jako zawodowy podoficer. A matka pracowała w szkole. Dom ich znajdował się na osiedlu Grajewka. Mieli też place budowlane nad brzegiem rzeki Muchawiec. W Brześciu Zofia ukończyła szkołę średnią.

I krajobrazy Mazowsza, te piaszczyste drogi w stronę Ryk z rzędami starych wierzb na pobożach, które o zmroku wyglądały jak wiejskie, żałobne kobiety, brzegi Muchawca obrosłe wierzbami i olchami, łąki nad brzegami Bugu czy Muchawca ze wstającymi mgłami o świcie, samotne drzewa na skraju pól na których rozłupywały się podmuchy wiatru na połowy, to było to do czego wracała we wspomnieniach.

Po wybuchu II-giej Wojny Światowej i wkroczeniu Armii Czerwonej do Brześcia została aresztowana a następnie zesłana do więzienia na Syberii. Po podpisaniu Paktu Sikorski-Majski w 1941 r. odzyskała wolność i wstąpiła do Armii gen. Władysława Andersa. Idąc szlakiem II-go Korpusu, jako żołnierz-sa-

nitariuszka, trafiła do Iranu a następnie, Iraku, Libanu, Egiptu i wreszcie do Włoch. Po bitwie pod Monte Cassino poznała żołnierza II-go Korpusu Bolesława Antoniszyna. Ich ślub odbył się w Rzymie w 1945 r. Szlak wojenny Zofii i Bolesława Antoniszynów zakończył się rok później w Wielkiej Brytanii.

Wśród Jej znajomych z wojennej tułaczki było małżeństwo Iredeńskich, czyli rodzice dramaturga Ireneusza. Była w Libanie Hanka Ordonówna z grupą polskich dzieci. Był w Londynie Włodzimierz Puzyna, ojciec redaktora naczelnego Dialogu Konstantego Puzyny, był Feliks Konarski czy gen. Stanisław Maczek.

Wśród wojennych znajomych był też i syberyjski niedźwiedź, który nosił na plecach amunicję. I który przeszedł z armią cały szlak bojowy, czyli z Syberii, poprzez Bliski Wschód, walki we Włoszech, krwawy bój pod Monte Cassino aż do demobilizacji w Anglii. Niedźwiedź po zakończeniu posługi żołnierskiej, już jako cywil, osiadł w ogrodzie zoologicznym Londynu. W 1956 r. Teresa, Tadeusz, Zofia i Bolesław Antoniszynowie przenieśli się do Kanady i zamieszkali w Toronto. Pasją życiową Zofii i Bolesława Antoniszynów było harcerstwo. I czynnymi harcerzami pozostali do końca życia. I przez całe życie pozostali wierni przysiędze harcerskiej, czyli bądź uczciwy i służ swojej Ojczyźnie.

Zofia Lucyna Łysiak-Antoniszyn zmarła 30 listopada 2009 r. w Toronto i tam została pochowana. Jeden z poetów kanadyjskich napisał na Jej pożegnanie wiersz, który kończył się słowami:

So when tomorrow starts without me
Don't think we're far apart
For every time you think of me
I'm right here in you heart.



Nasz wieloletni Przyjaciel i Współpracownik **Aleksander Siemionow** z Lidy między innymi pisze do nas:

(...) *Co dotyczy „Ech Polesia”, to długo nie mówiąc powiem tylko jedno – pismo FANTASTYCZNE! Przy spotkaniu chciałbym więcej o tym kwartalniku porozmawiać. Mam kilka propozycji co dotyczy wartości tego czasopisma. Bóg zapłać za wszystko...*

Len na Polesiu

Od najdawniejszych czasów ludzie uprawiali len. Bez niego, tak samo jak bez chleba, człowiek nie wyobrażał sobie życia. Len traktowano czule, z miłością. O nim śpiewano pieśni, pisano wiersze.

W dokumentach archiwum państwowego obwodu brzeskiego okresu międzywojennego są dane o rozwoju w dziedzinie uprawy i przeróbki lnu w Polsce, w tym również na terytorium województwa poleskiego.

Według danych z 1931 roku Polska zajmowała drugie miejsce wśród państw europejskich pod względem produkcji lnu. Uprawiano go nie tylko w dużych majątkach, ale nawet w małych gospodarstwach chłopskich. Inowi przeznaczone było honorowe miejsce.

Trzeba wziąć pod uwagę, że wówczas proces uprawy i przeróbki lnu był bardzo pracochłonny, a zajmowały się tym przeważnie kobiety.

Przedsiębiorstw przetwarzających len w województwie było niedużo. W 1927 roku były tu dwie przędzalnie, w których pracowało do dwudziestu osób i kilka małych przedsiębiorstw,

skierowanych na zaspokojenie lokalnych potrzeb najbliższej okolicy.

W latach trzydziestych w Polsce wydano kilka pomocy naukowych z uprawy i przeróbki lnu. Temu zagadnieniu poświęcano dużą uwagę również w wojewódzkich szkołach rolniczych. Jednak nie każdy mógł uczyć się w tych szkołach.

Żeby nauczyć kobiety wszystkich szczegółów uprawy lnu i w pewnym stopniu ułatwić im pracę, zostały zorganizowane kursy z uprawy lnu dla młodzieży wiejskiej.

W dokumentach archiwum przechowuje się sprawozdanie instruktora od uprawy lnu Eugeniusza Czarnockiego o prowadzeniu takich kursów we wsi Żabczyce powiatu pińskiego województwa poleskiego od 28 listopada do 4 grudnia 1937 roku.

W sprawozdaniu zaznaczono, że na kursy przybyło 7 uczestniczek z Pinkowicz, 4 ze wsi Ochowo, 2 z Targoszyc i 54 z Żabczyc. Przeważnie były to młode dziewczyny i młode kobiety.

Na kursach zostały wykorzystane dwie międlarki poleskie, z których jedna najnowszego typu, oraz sześć



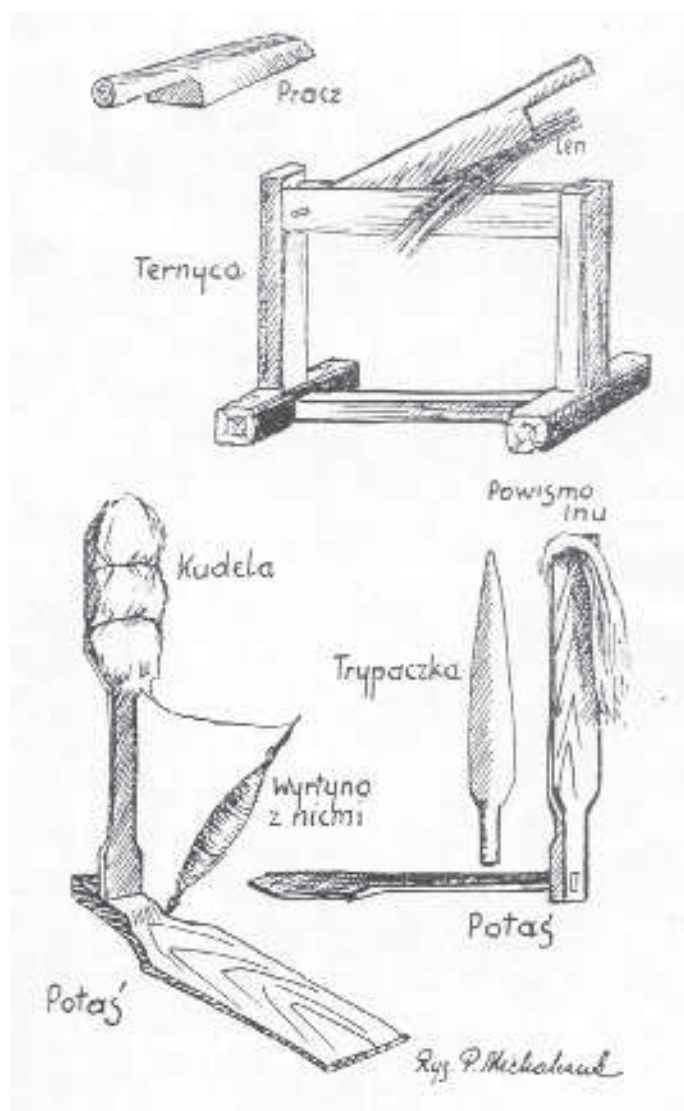
Dla Flaksa w lęgu

Rys. W. Kozłowski



Bielenie płótna w Dawidgródku.

Fot. Hochman.



Słuchockiego „Len, uprawa i przeróbka”. Takich pomocy kupiono 27 sztuk. Można było kupić również selekcyjne nasiona lnu.

Cena kursów wynosiła około 195 złotych. Z tej kwoty Izba Rolnicza pokryła wydatki w wysokości 158 złotych, pozostałe pokrył oddział powiatowy.

Po ukończeniu kursów wyłoniono najlepszą pracownicę od trzepania lnu. Została nią Olga Maniukowicz ze wsi Pinkowice (kopia w załączeniu).

Bardzo się chciało znaleźć zdjęcie uczestniczek kursów, ale to się nie udało. Możliwe, że zdjęcia nigdy nie istniało.

Po prostu wyobraziłam sobie te wiejskie piękności, bez makijażu, w lnianych ubraniach, uśmiechające się, prawdziwe gospodynie Polesia, kochające i kochane.

Możliwe, że ktoś powie, że to już czasy minione. A czy to prawda?

Odpowiedź na to pytanie da tylko czas.

Ludmiła Romanowicz
Brześć

trzeparek, z których dwie zostały wydane przez oddział powiatowy, trzy trzepakki typu „bezdańska” i jedna typu „brzeska”, ulepszona. Zostały wykorzystane również dwie pary grzebieni angielskich.

Szczególną uwagę kursantki poświęciły nowej międlarce i trzeparce brzeskiej, były zachwycone grzebieniami angielskimi.

Zajęcia odbywały się w pustej stodole Konstantego Krysia. Len do przeróbki podarował właściciel majątku Mutwica pan Tukalski-Nielubowicz.

Podczas kursów instruktorzy powiatowi wygłosili 6 referatów. Codziennie odbywały się zajęcia praktyczne z przeróbki lnu.

Uczestniczkom kursów bardzo się spodobała pomoc naukowa inżyniera

*Brylantem iskrzącym wszystkimi promieniami cnót człowieczych,
obywatelskich i rycerskich był [...] wiekopomnej pamięci R. Traugutt.*

Aleksander Kraushar

SZLAKIEM ROMUALDA TRAUGUTTA NA POLESIU

Nieskazitelną postać Romualda Traugutta nadal fascynuje wszystkich Polaków, gdyż – jak mówił historyk Stefan Kieniewicz – „Traugutta czcić powinniśmy na pewno”. Jest także chlubą Polesia, gdzie się urodził, wychował i dokąd powrócił w randze pułkownika po wieloletniej służbie w armii carskiej i gdzie w końcu kwietnia 1863 roku zgodził się objąć dowództwo nad organizowanymi w Kobryńskim oddziałami powstańczymi.

Redakcja „Echa Polesia” postanowiła przebyć szlak naszego bohatera: od miejsca urodzenia w Szostakowie, poprzez Świsłocz, miejsca bitew, cmentarze powstańców aż do Kołodna, miejscowości, w której powstańcy ponieśli klęskę. Trzydniową 800-kilometrową wędrowkę zakończyliśmy w Zakozielu, gdzie w tamtejszej kaplicy przechowywała i leczyła rannego Romualda Traugutta Eliza Orzeszkowa. Stąd potajemnie wyruszył do Warszawy, aby objąć przywództwo nad powstaniem.

Na naszym szlaku znalazły się miejscowości związane bezpośrednio z powstańcami styczniowymi tj. miejsca bitew, formowania oddziałów, leczenia rannych, cmentarze oraz miejscowości inne, jak również obiekty z tych czasów. W kilkudziesięciu odwiedzonych miejscowościach poszukiwaliśmy także miejsc i śladów po wybitnych Polkach i Polakach związanych bezpośrednio lub pośrednio z Romualdem Trauguttem, jak np. Eliza Orzeszkowa, Maria Rodziewiczówna, Helena Skirmuntt, rodzina Żuków i in. Odwiedziliśmy w rejonie Pińska kilka wiosek szlacheckich, które brały czynny udział lub wspomagały powstanie styczniowe. Na trasie znalazły się również inne miejscowości, w przeszłości związane z historią i wydarzeniami polskimi.

Przewodnikami wyprawy byli małżonkowie Wiera i Aleksy Dubrowscy z Pińska, którzy są autorami filmu pod powyższym tytułem, zaś pan Aleksy jako korespondent i współpracownik kwartalnika „Echa Polesia”, jest również autorem licznych artykułów oraz pozycji przyrodniczo-ekologicznych i krajoznawczych. Należy w tym miejscu dodać, że bez udziału i przewodnictwa pana Aleksego, niemożliwe byłoby dotarcie do wielu miejsc, nierzadko zapomnianych, czy po prostu zarośniętych pokrzywami, krzewami czy chwastami. Niestety, na naszej trasie nie spotykaliśmy Polaków. Na pytanie „czy są tutaj Polacy”? odpowiedź była: *Odni wyjechali w Polszu, drugije leżat w ziemi.*

Utrwalanie dla historii ostatnich pamiątek po powstaniu styczniowym nie obyło się bez swoistej przygody. Otóż w jednym z miast Polesia autor oddalił się od samochodu pozostawionego pośród innych pojazdów przy targu, gdzie brak było znaków zakazu, a zapragnął kupić owoce i napoje na dalszą drogę. Po 5 minutach nieobecności samochód został „skradziony” przez nadgorliwą milicję, przy pomocy ogromnego traktora(!). Po wielu tarapatach pojazd odnalazł się daleko od tegoż miejsca, gdzie należało dokonać różnych opłat, aby wreszcie uszkodzonym autem dalej podróżować. A ileż przy tym było stresu, napięcia, tłumaczenia, argumentacji, pretensji, straconego zdrowia – tego nie można pojąć bez podobnego doświadczenia, którego nie doznamy w żadnym innym kraju świata. A takie przypadki niezrozumiałego postępowania właśnie odstraszały potencjalnych turystów do odwiedzenia Polesia i Białorusi.



Fot. 1 i 2

W lesie obok Szostakowa oddalonego ok. 30 km na północ od Brześcia, znajduje się płyta z 2003 r. upamiętniająca dwór, w którym urodził się Romuald Traugutt.

Na planie fotografują: Wiera i Aleksy Dubrowski.



Fot. 3 i 4

Świsłocz, budynek gimnazjum będącego pod patronatem Uniwersytetu Wileńskiego, obecnie ośrodek zdrowia. Tutaj pobierali nauki obok Romualda Traugutta, Napoleon Orda, Józef Ignacy Kraszewski, Konstanty Kalinowski i inni. Na tablicach ukazujących postacie historyczne – podobnie jak gdzie indziej - nie znajdziemy informacji o ich polskim pochodzeniu.



Fot. 5

Obok b. gimnazjum w alei zasłużonych znajduje się oryginalny pomnik Romualda Traugutta z 1928 roku. Niestety, obok niego stoją jeszcze pomniki... J. Stalina i W. Lenina.



Fot. 6
Po drugiej stronie ulicy stoi pomnik Konstantego („Kostusia”) Kalinowskiego.



Fot. 7
Na trasie, w Mścibowie, gdzie książę Jagiełło uzgodnił z poselstwem polskim małżeństwo z królową Jadwigą, spotykamy pomnik z krzyżem z 1911 roku.



Fot. 8 i 9
Pieniuchy, nieistniejąca miejscowość;
tutaj pozostały ruiny domu, w którym urodziła się Maria Rodziewiczówna.



Fot. 10, 11 i 12

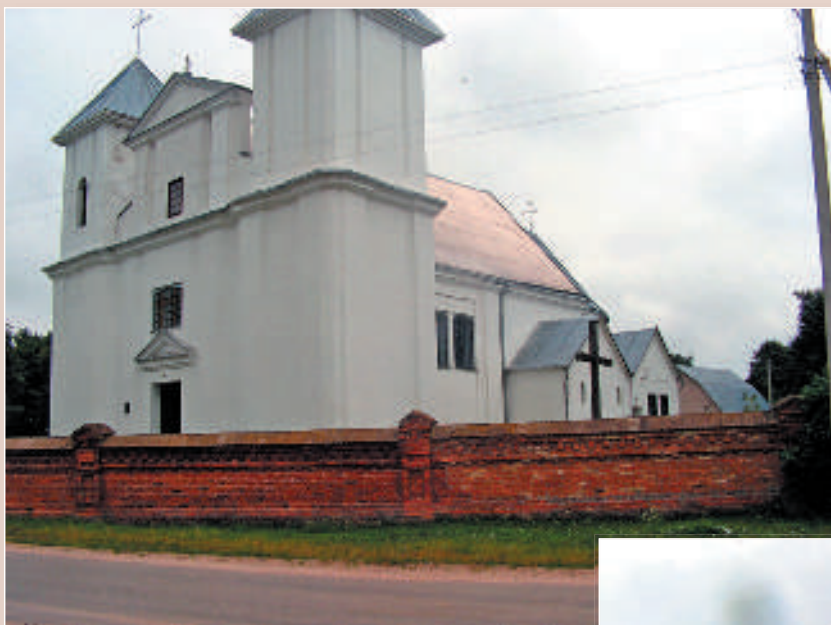
Cmentarz k/Kosowa Poleskiego; tutaj znajduje się zbiorowa mogiła powstańców styczniowych.



Fot. 13

Niedaleko od wsi Diagielec k/Berezy stoi w polu samotny dąb z krzyżem, który upamiętnia dwór z miejscem zamieszkania Białej, babci R. Traugutta, u której często przebywał nasz bohater.

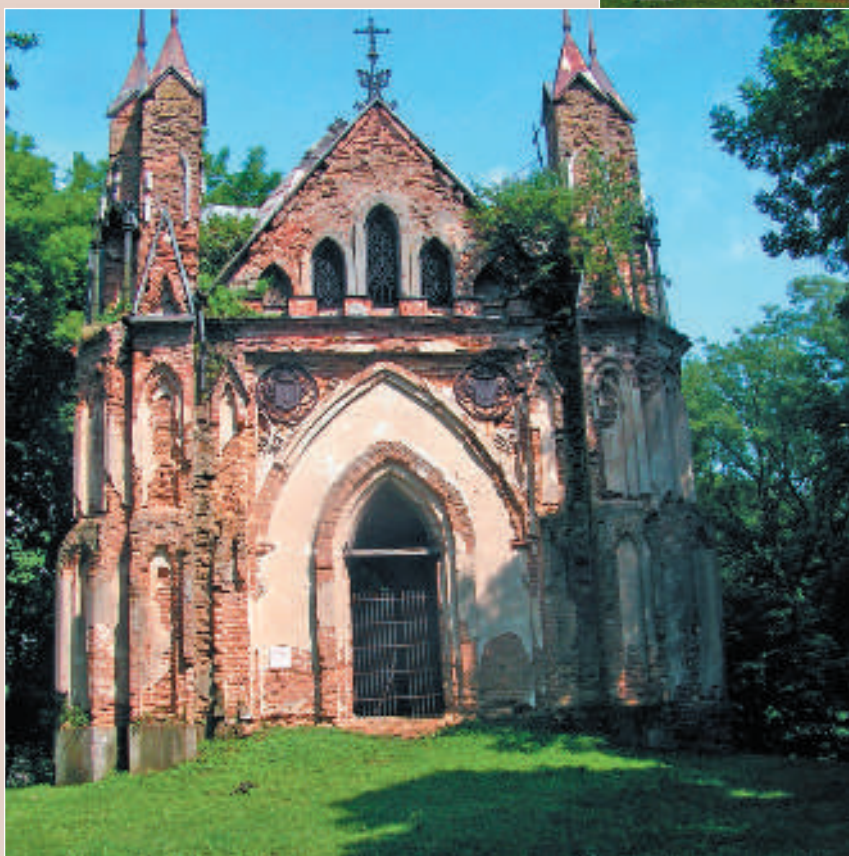




Fot. 14

Kościół parafialny w Siechniewiczach, przy którym prawdopodobnie spoczywają rodzice i babcia R. Traugutta.

Fot. 15
Na trasie naszego szlaku mijamy Perkowicze, w których znajduje się pałac Wysłouchów, obecnie sanatorium.



Fot. 16

Zakoziel, kaplica Orzeszków a potem Tołloczków, w której E. Orzeszkowa ukrywała R. Traugutta.



Fot. 17 i 18

Ludwinowo; w miejscu dworu Orzeszków znajduje się kamień pamiątkowy, zaś obok ocalał jeszcze budynek kuchni.



Fot. 19 i 20

Nowa Popina – kolejny pomnik powstańców styczniowych. W centralnym miejscu znajduje się pomnik Stefanii Żukowej, która za pomoc w powstaniu była na Syberii. Z drugiej strony Pomnika napis – DOBRA PANI



Fot. 21

Matka-Tatarka przy grobie syna i wnuka.



Fot. 22

Szolomicze, wioska szlachecka czynnie wspierająca powstanie styczniowe, za co car zmusił do zapłacenia okupu w postaci 25 złotych rubli. Obecnie zamieszkuje tutaj 25 starszych osób, zamiast dawnych 240. Podobna sytuacja odnosi się niemal do wszystkich wsi na Białorusi.



Fot. 23

Przykład wyszywanki we wsi Szolomicze



Fot. 24, 25 i 26
Christibolowicze, to wioska, w której
czas zatrzymał się
na epoce powstania styczniowego...,
lecz bociany czują się w niej
najlepiej.



Fot. 26



Fot. 27
Wieś Sicieck, w której zachowała się dawna bita droga.

Fot. 28
Brodcze – pomnik Antoniego Szołomickiego,
powstańca styczniowego i Sybiraka.





Fot. 29 i 30

Radczyck – cerkiew ufundowana przez Aleksandra Skirmuntta (1792-1845), marszałka powiatu pińskiego, który „z własnej woli pragnął tutaj spocząć”.



Fot. 31

„Narub” – kłoda drzewna z krzyżem na grobie cmentarza w Boryczewiczach, która „nie pozwalała duszy wyjść z grobu i szkodzić okolicznym mieszkańcom”.



Fot. 32

Cerkiew w Płodnicy



Fot. 33 i 34

Kołodno, miejsce ostatniej bitwy R. Traugutta na Polesiu.

Obok pamiątka-wizerunek Heleny Skirmuntt, łączniczki powstania styczniowego, która miała wyjść za R. Traugutta.



Fot. 35 i 36

Na trasie do Pińska – znów bociany,
których spotkaliśmy niezliczoną ilość na naszej trasie.



Tekst i foto – Józef Adamski

Do zobaczenia...!

Jeszcze kilka tygodni temu przebywałem w Brześciu, pełniąc obowiązki Konsula Generalnego RP w Brześciu. Czas płynie jednak szybko, nieubłaganie szybko... W sposób nieunikniony nadszedł czas powrotu – i wspomnień.

Perspektywa wspomnieniowa na razie niewielka – wiele spraw jeszcze nie zdążyło „ostygnąć”, przejść do historii. Ale przez to silne jeszcze poczucie obecności miniony okres pozostaje wciąż żywy i bardzo plastyczny... Bo cztery lata spędzone na brzeskiej placówce nie należały do lekkich. To było ważne doświadczenie – tak w pracy konsularnej, jak i w skali życiowej. Wiele osób gratulowało mi miejsca pracy – to tak blisko Polski, jak byś był w domu – mówili. Po pewnym czasie moja odpowiedź była jednakowa – fakt, że blisko, ale z wielu względów wołałbym, żeby było dalej...

Mimo, że często nie było lekko, to zawsze mogłem liczyć na czyjąś pomoc i zrozumienie. Okazało się, że są w Brześciu ludzie i środowiska gotowe do współpracy, działania i daleko niekiedy idących poświęceń w imię spraw, co do których żywią głębokie przekonanie o ich słuszności. Ze są osoby mogące podjąć trud morderczej pracy organizacyjnej, tak potrzebnej – a nawet niezbędnej! – dla wsparcia wielu działań naszego Konsulatu. Nie podejmuję się wytłumaczyć, jak

to możliwe, że w początkach XXI wieku, w centrum Europy najbardziej dynamiczne środowiska polskiej mniejszości muszą działać – jak to się eufemistycznie ujmuje – w warunkach nielegalności. Tym niemniej to

głównie dzięki współpracy z „nielegalami” z brzeskiego ZPB udało się zorganizować tak wiele imprez służących nie tylko brzeskiej i polskiej Polonii, ale i lepszemu poznaniu i zrozumieniu pomiędzy społecznościami polsko-białoruskiego pogranicza. Te działania mają w moim najgłębszym przekonaniu wartość nieprzemijającą – umacniały bowiem (albo odtwarzały po latach zamilczania) aktywne środowiska polskie, silne przeszłością –

ale z ducha młode, otwarte na wyzwania nowoczesności, znające Polskę, gotowe współpracować z Europą. To wartości, jak na razie, rzadkie na Białorusi, a przecież tak bardzo potrzebne dla stworzenia perspektywy lepszej, wzajemnej przyszłości. Jakkolwiek droga do niej byłaby trudna i niepewna... Środowisko ZPB dobrze się tu Ojczyźnie zasłużyło!!!

Jednak nawet ci, którzy formalnie działali legalnie – także musieli liczyć się z wieloma trudnościami w realizacji swoich zadań statutowych. Jednak i tu upór i konsekwencja przyniosły efekty. Ostatnie Dyktando Polskie w Brześciu odbywało się już w normalnych warunkach (kto pamięta jak wyglądało to sprzed



Konsul Generalny J. Książek z nauczycielami języka polskiego obwodu brzeskiego

2 lat, organizowane w ostatniej chwili w budynku KG w Brześciu, ten najlepiej zrozumie o co chodzi...), PMS „Polesie” zdobył duże doświadczenie w organizacji konferencji poświęconych wybitnym postaciom z historii Rzeczypospolitej – pochodzących z Brześcia i Polesia. Tablica Rejtana w Lachowiczach stanowi piękną ozdobę świątyni – i oby była pierwszą spośród wielu innych. Bo historię mamy jedną – i innej nie będzie...! Trzeba ją utrzymywać, popularyzować i utrzymywać – do skutku.

Jestem pewien, że Polacy piszą kolejny rozdział swej historii na Białorusi – i jeżeli mogłem w czasie swej czteroletniej pracy być w tym pomocny, to jest i będzie to dla mnie ogromny zaszczyt.

Trudno w kilku słowach ująć wszystkie treści przewijające się w trakcie czterech lat pracy w Brześciu. Bo to przecież i sprawy wielkie – choć niekiedy z pozoru mające charakter techniczny. Np. tak ważna sprawa wiz – to nie tylko technika, to sprawa nabierająca wielkiego, niekiedy ocierającego się o politykę, znaczenia. Zawsze staraliśmy się, by w ramach ogólnych uregulowań prawnych, wizy (a pamiętajmy – teraz są to wizy nie tylko do Polski – ale do całej prawie Europy!) nie stanowiły problemu we wzajemnych kontaktach. I – jak się wydaje – po wykonaniu wielkiej pracy przez cały Zespół pracowników KG takiego problemu w praktyce już nie było.

Trzeba także podkreślić, że bardzo jasnym punktem w pracy konsularnej były kontakty z duchowieństwem, głównie – ale nie tylko - katolickim. Staraliśmy się zawsze współpracować dla dobra polskiej społeczności na Białorusi – i za to także serdecznie dziękuję! Korzystając z okazji chciałbym także raz jeszcze pokłonić się z szacunkiem i życzyć jeszcze wielu lat pracy Wielkiemu Autorytetowi – nie tylko Kościoła ale i całego Narodu – ks. Kardynałowi Kazimierzowi Świątkowi!

Na koniec – ważny i konieczny wątek osobisty. Wiele zamierzeń nie udało się zrealizować, gdyby nie

wielka praca i anielska niekiedy cierpliwość mojej Żony. Bez tego z pewnością wiele przedsięwzięć nie nabrałoby odpowiedniego rozmachu lub w ogóle by do nich nie doszło... Jej artykuły publikowane w prasie (także lokalnej, brzeskiej – głównie w „Wieczornym Brześciu” poszerzały zakres wiedzy wielu Czytelników o historii i dniu dzisiejszym Polski. Elu – dziękuję!!!!

Trudno w kilku zdaniach zawrzeć wszystkie myśli, jakie przychodzą do głowy, kiedy piszę niniejszy tekst. Przyjdzie na pewno czas na pełniejszą refleksję i szersze wspomnienia. Na razie pozostają wrażenia i odczucia, które staram się pomieścić jak najkrócej. Ogarniam wzrokiem nie tylko Brześć, ale i inne miasta i rejony – pobliskie Czernawczyce, Peliszczce, Terpilowicze, Wysokie Litewskie, Kamieniec, Kobryń (ukłony i życzenia dla Dostojnej Nestorki polskości Pani Ariadny Telemant!), Różanę, Szereszewo. A dalej historyczny Pińsk, Baranowicze z Domem Polskim, Bereza, małe Siegniewicze, leżące na pograniczu województwa brzeskiego Iszkołdź, Poloneczka, Łysków... Trudno wymienić wszystkie bliskie sercu miejsca – i działających tam ludzi. Wszystkim dziękuję!!!!

Z pewnością realizując zadania postawione KG RP w Brześciu napotykałem na liczne rafy, o które rozbijało się wiele pomysłów, planowanych przedsięwzięć. Niekiedy otrzymywałem rady, by zważać na okoliczności, świata za szybko nie zmieniać, czekać, dogadywać się. Ale jak wtedy marzyć, że „mury runą, runą, runą... i powstanie nowy świat”? Niekiedy zatem trzeba było bić głową o ścianę – ścianę obojętności, a niekiedy i niechęci okazywanej mniej lub bardziej oficjalnie. Ale czasami po „drugiej stronie” można było dostrzec, choćby gdzieś na marginesach prywatności, objawy zrozumienia, a może i sympatii dla naszych działań. Więc może jednak było warto?

Jarosław Książek

b. konsul generalny RP w Brześciu

